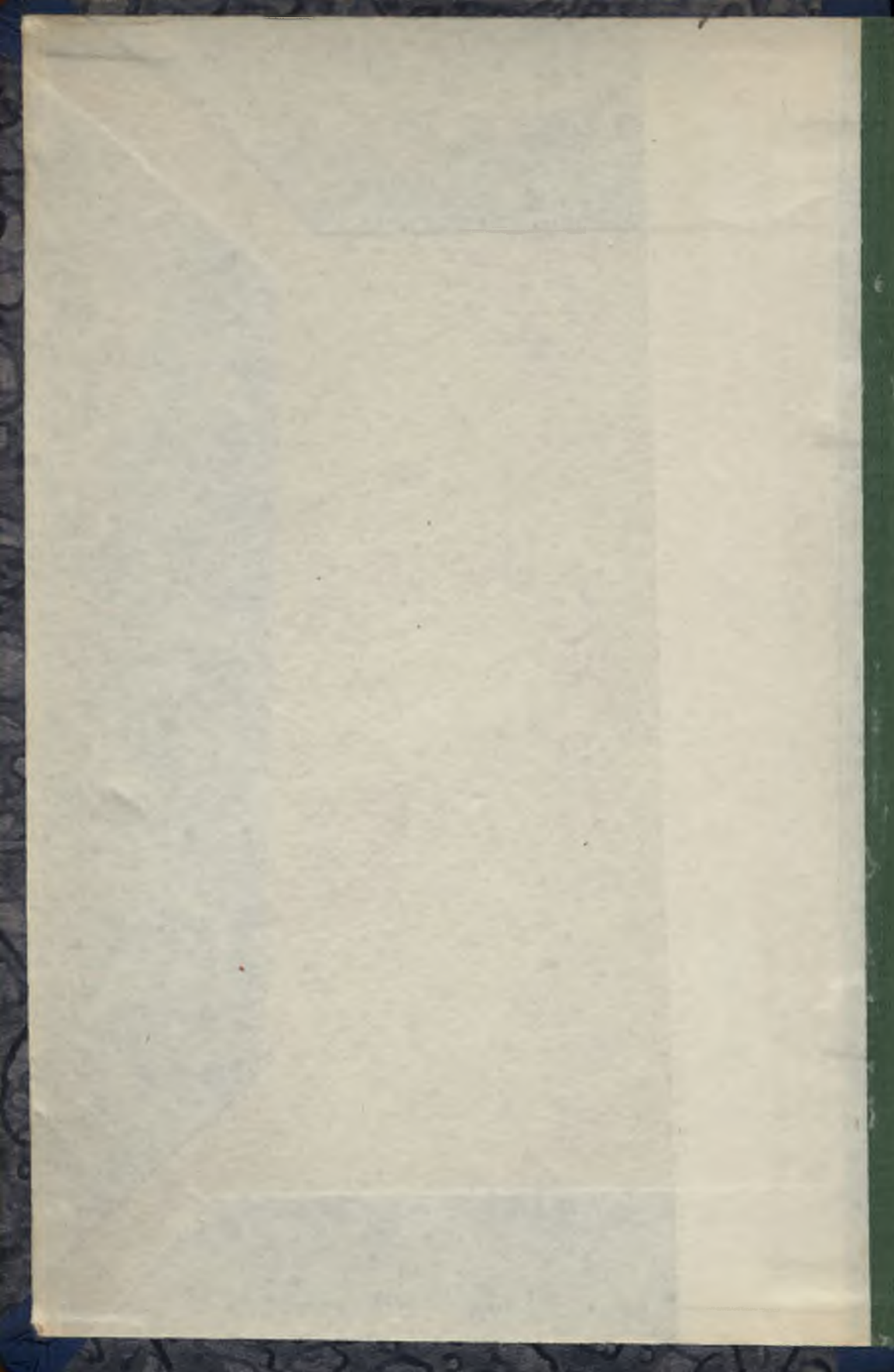
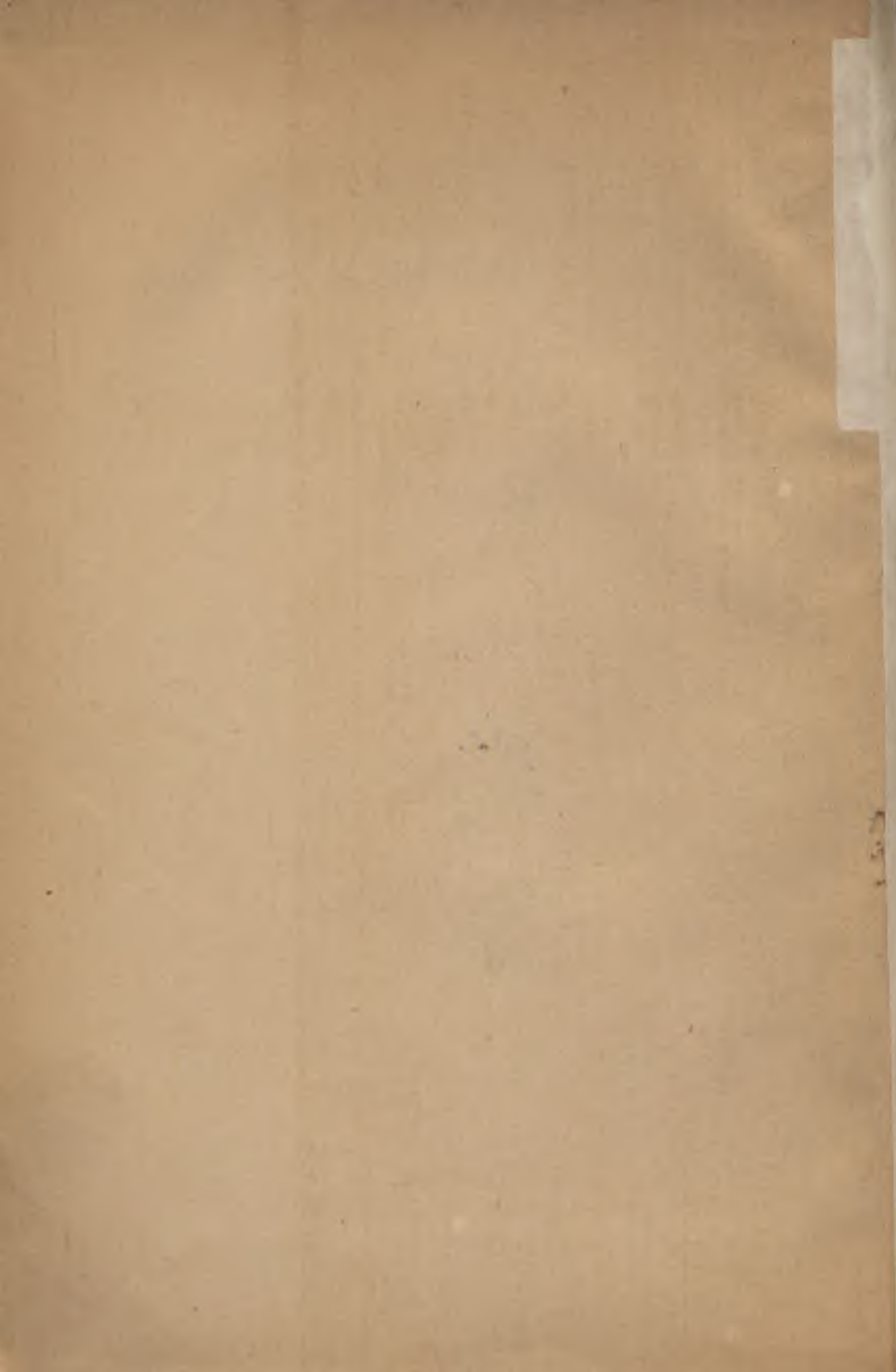






ZŁOWROGI SIERPIEŃ 1914 R.

Księgozbiór
M i W. Frąckiewiczów
L. 932.



EDMUND MIECZYSŁAW STARCZEWSKI

ZŁOWROGI SIERPIEŃ 1914 R.

Księgozbiór
M i W. Frąckiewiczów
L. 932

KALISZ 1933

DRUKARNIA ZIEMI KALISKIEJ, KALISZ, ALEJA JÓZEFINY 11.

Hil 1283

376829

11

/ Fige Kte
20, 11-68

30. -



*„Schwein ist mein
Schein ist dein
Poincaré wird bezahlen!...”*

Bez wstępu.

...Przyszliśmy do was jako wasi odwieczni wrogowie — z przyłbicą spuszczoną; przez otwory jej patrzymy na was oczami odwiecznej nienawiści — poczętej za waszych dawnych królów.

Przyszliśmy wziąć odwet.

Krwawą wykonać zemstę za wasze wypady;

za słupy graniczne w Odrze,

za rozdwojenie państwa krzyżackiego,

za Grunwald i Hołd Pruski.

W nas jest zemsta i pragnienie zemsty!

Zemsta musi być krwawa!

Złóżcie — wy, dumni — daninę z krwi waszej.

Dość mamy dzieci wrzesińskich i wozów Drzymały.

Nad nami orzeł czarny szeroko rozwija skrzydła.

Pragnie objąć niemi domy wasze — wasze łany — ziemię waszą! Ona nam potrzebna!

Idziemy — ażeby brać!

Es lebe Seine Majestät Kaiser von Deutschland und König von Preussen!

Równo!

Raz — dwa; raz dwa!

Ostro! Ćwiczebny krok!

Naprzód, m—a—r—s—z!

Daleko — daleko!

Do Wisły!

1922/68

— 6 —

Po ziemię! Po byt! Po panowanie!
...Fest steht und treu die Wacht, die **Wacht am Rhein!**
Niech silna stanie straż.
Wiernie, Cesarzu, czuwać będzie nad **Wisłą!**

376829

II

l. Fig. k-e
w. n. 68 30. —



Nach Osten!

Mobilizacja!

Na wschodnich rubieżach cesarstwa przyczailiśmy się gotowi do krwawych zapasów.

Z ręką na cynglu.

Z armatami gotowemi do wystrzału!

Gdy rozległo się donośne „nach Osten“ — pierwsze zastępy 155 pułku piechoty wyruszyły.

Na bój!

Na krwawy „für Got, Kaiser und Vaterland“ bój!

Wysunęły się czołowe patrole.

Czujnem okiem objęły okolicę — szukając nieprzyjaciela.

Poszły pierwsze kompanje.

Cicho — potajemnie — by niespodziewanym wypadem zaskoczyć wroga.

Silnem uderzeniem oszołomić go.

Objąć w śmiertelnym uścisku.

Opasać odrazu mackami i wyssać żywotną siłę.

Złamać pierwszy zapał; w zarodku zdusić podświadome drgnienia samoobrony i przerazić okrucieństwem.

A potem iść!

Pchać otumanionych moskali.

Tropić! Mordować! Bić!

Śladami genjuszów wojny.

Nasycić się rozlewem krwi i wreszcie światu całemu obwieścić błogosławiony pokój.

Zatwierdzić go dziesiątkami układów i hegemonją naszą na morzu i na lądzie.

Kraj przywiślański dołączyć do Ostmarkvereinprovinzen!

I spocząć na laurach!

W granicznym Kaliszu był wróg; wnet wycofał się w popłochu — pozostawiając w pierwszym dniu wojny smugę dymiącego śladu — podpalony dworzec.

Od strony Ostrowa — przez Skalmierzyce — skradały się oddziały naszej piechoty.

Zdała słyszeliśmy bicie dzwonów na wieżach kościołów kaliskich.

Była niedziela.

2 sierpnia 1914 r.

Mimo ciepłego, pięknego południa sierpniowego, zimny dreszcz przebiegł mnie od stóp do głowy.

Wszystkich.

Staliśmy kilka kilometrów od Kalisza.

Wysłane czujki długo nie wracały.

Tymczasem odgłos dzwonów rozlegał się coraz donośniej; huczał w uszach złowrogiem requiem — odbity tysiącem ech, powracał w rozedrganym pyle igrających promieni słonecznych.

Wydano rozkazy.

Karabiny nabite! Zaczęliśmy się zwolna posuwać.

Podeszliśmy do podmiejskich peryferyj.

Oczy badawczo obejmowały domy — drzwi — ba, każde okno oddzielnie.

Spodziewaliśmy się głuchego trzasku karabinowego.

Z poza węgła chat spozierały — w złudzeniu zdawało nam się — lśniące lufy armat.

Wróciły czujki. Przyniosły wieści, że nieprzyjaciel opuścił miasto — że nastrój ludności spokojny.

Trudno było uwierzyć.

To też posuwaliśmy się może nie z obawą — ale z pewnego rodzaju lękiem — jaki człowieka ogarnia wówczas — gdy mu wyobraźnia podsuwa skrajne obrazy śmierci.

Szliśmy z ubezpieczeniem.

Dopiero w pierwszej ulicy — na widok mieszkańców — spokojnie i z zaciekawieniem przechadzających się — ogarnęło nas zdziwienie.

Jakto?

Spodziewaliśmy się wroga i kul — a tymczasem na głowy nasze posypały się kwiaty.

Rozlega się gromkie „hoch“.

Panie w białych sukienkach witają nas owacyjnie.

Na twarzach żydowskich mieszkańców i mieszkank Kalisza maluje się raczej — miast spodziewanej chytrej nieufności — radość onieśmielona.

Dziwne było to powitanie.

Przygotowani na najgorsze, z gotowym planem pierwszego wystąpienia, byliśmy zaskoczeni.

Ten pierwszy etap naszych działań mieliśmy sobie zabezpieczyć świstem kul, jękiem rannych.

Jakżesz tu w biały, słoneczny dzień strzelać do ludności bezbronnej.

Na przyjazne okrzyki powitania odpowiedzieć karabinem i bagnetem?

Czuliśmy się nieswojo!

Nadając sobie pozorny wygląd zwycięzców, czuliśmy jednak, że ta buńczuczność ośmiesza nas.

Niewiadomo było, co ze sobą zrobić.

Ogłoszenie zajęcia miasta, nakazanie ładu i spokoju było sztuczne; wydawało się czczym rozkazem wobec rozradowanych tłumów.

Zapadła noc. Niepokój wzrastał.

Zrozumieliśmy nasz obowiązek.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi wszystkich na wiadomość o nadchodzących kompanjach pod dowództwem majora Preuskera.

Całą noc spędziliśmy pod grozą niewidzialnego wroga.

Czyhał w zakamarkach zabrudzonych ulic — czaił się w cieniach mroku — zagubiony wśród rozlicznych załków i ślepych uliczek.

Major v. Preusker.

Na siwym koniu, buńczuczny, dumny, rozkazujący.
Major v. Preusker.

Wejście jego odbyło się bez żadnego wypadku.
Odetchnęliśmy.

Był wódz — którego znają żołnierze i który zna
swoich.

Zajął miasto; ulokował się w hotelu Europejskim.
Wydał rozkazy. Zażądał dostarczenia kawy, mięsa i chle-
ba dla ludzi — furazu dla koni. Szybko i sprawnie.

Pod grozą rozstawionych już w mieście karabinów
maszynowych. Najlżejszem drgnieniem powiek nie zdra-
dził się, że spokojna postawa mieszkańców zaskoczyła go.

Dopiero po wydaniu pierwszych rozkazów zagłębił
się w plany. Szukał punktu zaczepienia dla swoich za-
miarów.

Chciał działać.

Zatracił się w sobie — zapomniał o uciekającym
moskalu i widział jeno przy sobie rozpalone twarze znie-
nawidzonych Polaków.

Postanowił uciec się choćby do subtelnej, niedo-
strzegalnej prowokacji.

Wydał odezwę w formie ciężkiej, niemal obraźliwej.
Ogłosił stan wojenny.

Odesłał furaz, podobno zatruty.

Pienił się, złościł i szukał — ciągle szukał jakiej
myśli — planu, któryby w oczach świata usprawiedliwił
jego wystąpienie.

Pierzchły wnet obawy.

Odpowiedzialny był tylko wobec cesarza, a nie wo-
bec świata, cywilizacji i kultury.

Szedł przecież zwyciężyć!

Przystąpił do wykonania swoich zamiarów.

Nałożył 30.000 rubli kontrybucji na mieszkańców.

Tym pierwszym czynem zaznaczył, że jest w kraju wrogim — wśród nieprzyjaciół.

On, zwycięzca, silną rękę dumnie kładzie na miasto, ujmuje w nią życie i mienie mieszkańców.

Zamyślił się.

Rzucił się, jakby przed zbudzonym sumieniem.

Zagasła w nim dusza krzyżackiego majora.

Ale wnet pograżył się w wizjach cudnej przyszłości.

Ujrzał się, po ukończonej wojnie, otoczony przyjaznemi twarzami, ozdobiony orderami zasługi, jako ten, który z pierwszych najpierwszy szedł torować drogę.

Ordery błyszczały chwałą zdobywania — spojrzenia przyjaciół wyrażały hołd i uwielbienie.

Zwycięzca! Bohater!

Ocknął się.

Przebudził i ujrzał szarą rzeczywistość.

Plan dojrzał.

Wyprowadzić hufce na bój! Rechotać każe karabinom — grzmieć armatom. I bić, bić — mordować, i palić, i niszczyć, i grabić!

Poszły rozkazy.

Zamknięty w murach ciasnego hotelu, przechadzał się Preusker niecierpliwie.

Czekał. Długo czekał.

Aż oto zdala, het, gdzieś od rogatki, odezwał się suchy trzask. Odbił się echem w ścianach pokoju szefa i zamilkł.

Chwilę później strzał drugi, jakby przyspieszony, nerwowy, niespokojny.

Znowu zaległa cisza długa, aż w uszach dzwoniło.

Znieruchomiał major. Stał w otwartym oknie i czekał.

Słyszał bicie własnego serca. Przerażała go ta cisza, gnębiło milczenie.

Czyżby nie zrozumiano rozkazów?

Ale oto nagle, wybuchowo, przy zapadającym zmroku rozległa się żywiołowa wrzawa strzałów. Przemówiły trajkocące karabiny. Rozlegały się miarowe salwy ręcznych i przeciągłe ta-ta-ta - - maszynówek.

Zadrgały fale powietrzne, roznosząc popłoch wśród zdumionych mieszkańców.

Tu i owdzie otwierały się okna, wychylały głowy.

Wyszedł nowy rozkaz. Pozamykać wszystkie domy, oświetlić okna! Odezwa do mieszkańców głosiła stan wojenny i nałożenie kontrybucji w wysokości 50.000 rb.

Poprzecinano druty telefoniczne. Zamknięto miasto, opasane wojskiem i strzeżone przez armaty.

Salwa strzałów umilkła. Słysząc było jakby dudnienie kroków. Gonienie i uciekanie.

Nowa fala strzałów przepłynęła ulicami. Zatrzasły się gwałtownie okna. Kule świstały dalej nad głowami.

Z za węglów domów ukazywały się w zmroku i światło lamp cienie raz za razem dymiące jakby ogniem karabinów.

Ktoś uciekał — ktoś kogoś gonił.

Rozległy się jęki rannych.

Zaczęło się wykonywanie właściwego planu.

Zamknięto hotele i restauracje. Nad mieszkańcami zawisła groza rozstrzelania. Odezwa Preuskera groziła śmiercią co dziesiątemu mieszkańcowi. Przy akompaniamencie rechocących karabinów przygotowaliśmy się do wykonania planu.

Rozkazy szły jeden za drugim.

My — byliśmy tylko wykonawcami.

Już tu i ówdzie potykaliśmy się o leżących ludzi. Na środku jednej z ulic zgromadzono stos trupów.

Kto zorganizował akcję niesienia pomocy? Nikt z nas nie mógł odgadnąć. Kto zbierał rannych i zabitych? Trudno było dojrzeć w mrokach nocy. My strzelaliśmy tylko. Do kogo? Do cieni, które, jak nocne widziadła, snuły się pod murami, przekradały się chyłkiem, zapadały w ziemię, ginęły w zaułkach i kanałach.

Strzelaliśmy, bo taki był rozkaz.

Trzeźwość i spokój, jakie nas ogarnęły w chwili zajęcia miasta przez Preuskera, ustąpiły teraz tej złowrożej niepewności. Byliśmy chartami, wystawiającemi zwierzynę.

Każde „en avant“, albo „apportez“ dowódcy — spełnialiśmy z iście germańską dokładnością. Nie chcieliśmy chybić nawet na milimetr.

Tylko jak tu wystawiać zwierzynę, gdy człowiek nie widzi nic, zgoła nic?

Rozkaz, święte słowo!

Obowiązek nałożony; mus, pod grozą kuli w łeb.

Tak — było zawsze tak!

Nie -- pozostało nie!

Byliśmy wojskiem karnem jego cesarsko-królewskiej wysokości.

Strzelaliśmy!!!

Kalisz.

Mieliśmy dwugodzinny wypoczynek w mieście.

Poraz pierwszy mogłem swobodnie rozejrzeć się po najbliższem otoczeniu, ująć mniejwięcej całokształt miasta ogólnie, zgóry, boć trudno ostatecznie w kilku godzinach wczuć się w charakter miasta i do tego takiego miasta, jak Kalisz.

Najbliższe granicy niemiecko-rosyjskiej, typem odbiega od naszych miast granicznych schludnych, miłych i czystych.

Kalisz, miasto dalekiego południowego wschodu. Ulice kręte, długie, przechodzą w ślepe zaułki, ciągną się ciemnymi sklepieniami, pasażami, giną w mroku błotnistych podwórz.

Obok gmachów długich, zakratowanych, rządowych, niskie rudery, niekiedy walące się chaty, pochylone chałupy, w ogród cofnięte, z filarkami na bocznych uliczkach, obdrapane, bez tynku; murki, płotki, parkany bez desek, szalety, a wszystko jakieś zagubione, przygarbione latami gnicia i zmurszenia — strasznie prowincjonalne — nieraz pretensjonalne, a zwłaszcza w dzielnicy żydowskiej — brudne, śmierdzące i otoczone gruzliczno-wegetującymi kwiatkami w doniczkach, korytkach. Zapach zgnilizny, kotów, psów i o! o! o! wszędzie cebuli, cebuli i ostrego czosnku. Przelotnie, gdzieś dojrzyć można jakiś domek prosty, kształtny, o możliwym froncie.

Czasem to i owo zarwie gdzieś zdaleka bliskim zachodem, kulturą. Pozatem zaułki portowe Neapolu, przedmieście Aten, i w pełni żebracza dzielnica Konstantynopola. Warunki higieniczne jaknajgorsze, właściwie — żadne.

I tak bezmała wszędzie, zarówno w domach prywatnych, jak i urzędowych.

Zdobywaliśmy prochownię. I tu ten sam brud, ten sam smród walał się po stołach, po zakurzonych szafkach. Porozlewane płyny, leżące niedopałki, papiery, kilka obrazków na ścianie, portret brodatego cara Mikołaja II, popstrzony od much i nieład, jakby Rosjanie zli się z jerozolimskimi żydami.

A przecież miasto bogate. Fabryki, garbarnie, młyny, banki, instytucje, zakłady, szkoły świadczą o finansowym rozwoju miasta, o magnaterji mieszkańców. Tylko ten brak inwencji, rzutkości, poczucia ładu i składu.

Zaszliśmy do kilku domów. Stan posiadania mieszkańców duży. Mieszkania prywatne urządzone niedbale, ale z pewnym komfortem, nawet smakiem. Pokoje małe, wąskie, stąd przeładowanie meblami, sprzętami i srebrem.

Dziwne, a jednak tak: srebrem!

Srebrne kandelabry, złożone sztuce, zastawy, na wierzchu na stołach, szafach, szafkach, stolikach, komodach, ukryte w drugim dniu wojny pod łózkami, w sieniach, piecach, tajemnych skrytkach, pod schodami, zakopane w piwnicach i ogrodach.

Bogactwo i brud!

Dwie rozbieżne potęgi: pierwsza — klucz, otwierający bramy spokojnego życia!

Druga — niechlujstwo, choroby, gangrena społeczeństw południowych, duszenie się w pełni życia, kochanie bez powietrza!

Ohyda!

Bogactwo i brud!

W zestawieniu zwycięża brud, panoszący się wszechwładnie. Bogactwo — jakby niepotrzebne. Ludzie nie umieją go zużytkować, wykorzystać. Puszczają w ruch olbrzymie maszyny, pomnażają pieniądze, wzrasta byt materialny, ale życie pozostaje wtyle, wlecze się ociężale, jakby zbyt ciężkie, zapomniane.

Bogactwo!

Teraz, w dniach wojny, bezpańskie, walające się po śmietnikach, błyszczące wśród trupów, niczyje!

Nie! Nasze — zwycięzców! Mamy prawo. Ale co z tem robić?

Złota, srebra, wspaniałych misternych świecidełek taka ilość, takie mnóstwo, że wagonami możnaby wywozić. Zabieramy to i owo, drobnostki, czasem pierścionek, małą kolijkę, złotą broszę, bez celu, tak sobie, na pamiątkę.

Bo i poco? Pójdziemv dalej; dźwigać w kraj obcy ten ciężar? Zapychać kieszenie i plecaki i nieść w pocie sierpniowych gorących dni?

Głód króla Midasa!

Wysyłać mogą oficerowie. Niektórzy korzystają, ładują na szerokie wozy, co się da. Jadą wozy, na nich zbieranina: fotel głęboki, stylowy, obok zwyczajna deska stołu kuchennego, wspaniały materac, na nim niekształtne stoliki, ciężkie, kute skrzynie, meble, szafy, graty niewiadomego użytku.

Słusznie! Mają, pozbawione właścicieli. gnić na słońcie nadciągającej jesieni? Służyć za posłanie psom, kotom, lub paść łupem okolicznych hijen, żerujących na nieszczęściu bliźnich?

Kierunek Ostrów via Skalmierzyce. Tam czekają żony oficerów. Panowie-mężowie sami pilnują ładowania, pomagają, krzyczą, klną. Prędko, prędko, nerwowo. Dziś. Koniecznie dziś. Za godzinę, dwie, dzień, może być zapóźno...

My, szeregowcy, mało bierzemy. Ten i ów chwyci coś, obejrzy, przyniesie do obozu, jeszcze raz zbada, zważy w rękę, pomyśli długo i odrzuci. Inny zapakuje, papierosami przekupi kursorów między Kaliszem i Ostrowem i wyśle do... ojczyzny.

O ojczyzno! Matki! Siostry! Lieschen, Gretchen, Friedchen, Trudchen — gdybyście wy wiedziały?!

Szukajcie! Na lichtarzach srebrnych, na atlasowych siedzeniach zdobycznych foteli, na złotych pierścionkach szukajcie łez i śladów krwi. Znajdziecie.

Są kamienie, które hartują stoczoną łzę; są perły, które, odbite w wieczornem śmietle kinkietów balowych, błyszczą krwawo, krwią splamione. Naszyjniki, które palą gołą szyję — kolje zimnym dreszczem przejmujące piersi. Zdjęte z trupów. Zdarte z nagich, zbuczonych ramion.

Gdybyście wiedziały!

Ale wy się nie domyślacie. Intuicja wasza jest bezmyślnością bawiących się lalek. O matki, siostry, kochanki!

— — — — —

Ulice Kalisza przedstawiają widok coraz gorszy. Rozwleczone trupy mieszkańców walają się, pod zamkniętymi bramami jęczą ranni, słoma, papier, odpadki wszelakiego rodzaju, kule, łuski karabinowe, rozerwane jezdnie, oto widok Kalisza.

Okno rzadko otworzy się; drzwi ustępują pod siekierą. Wszędzie pusto, głucho, miasto wygląda jakby wymarłe, jakby po przejściu strasznej dżumy.

Czasem chyłkiem przesunie się skurczona postać.

Czasem rozlegnie się gwizd, krzyk, wołanie jakby o pomoc. Poza tem jednostajna cisza.

Częściej ukaże się wychudzony pies; zrudziały kot przeskakuje przez niski parkan, a wieczorem swobodnie, jak w swoim żywiole, harcuja szczury. Obrzydliwe. Szkielety przedwczoraj, dziś wyżarte, spęczniałe. Na ulicach leżą przecież trupy. Zerowisko od lat niewidziane.

Miasto powoli pustoszeje. Coraz częściej spotykamy na bocznych drogach uciekinierów, boso, wystraszonych, czasem na wozie z całym bagażem. Zapelniają szerokie trakty. Tłumnie uciekają mieszkańcy drożynami, ścieżkami, gołem polem, byle dalej na wschód. Są i inni. Kierują się na zachód, do nas. Tych niewielu — to Niemcy. Z dziadów osiedli w Kaliszu, w drugim dniu zajęcia przez nas miasta wysłali do Preuskera poddaną niemiec-ką Bachmann, z prośbą o radę, z zapytaniem troskliwym o dalszy przebieg i skutki okupacji.

Tego samego dnia, godzinę później, już ich nie było.

Papiery, pieniądze, jedno ubranie, glejt od Preuske-
ra i — odjazd. Bez łez, bez oglądania się na ojco-
wiznę.

Byli przecież rodakami, obywatelami niemieckimi.

A w dwie godziny później już grały armaty. Szedł
ogień huraganowy na śródmieście, drżały wypadające
szyby, waliły się pierwsze dachy i kominy. Pogrom —
pierwszy objaw wojny.

Naszych już w mieście nie było.

A żydzi, Polacy?

Późno zorientowali się w sytuacji. Ratowali mienie
własne wówczas, gdy płonące krokwie spadać zaczęły
na pochylone karki, gdy w pierś trafiała kula i płynęła
krew.

I znowu straszna niezaradność, brak energii, za-
marłe życie. Zato szli teraz, szli gromadnie, w popło-
chu, z płaczem wśród jęku. Uciekali w nocy, przez o-
grody, tylne wyjścia, narażając się wskutek przekrocze-
nia przepisów o stanie oblężenia na nowe szykany, na
kule. Każdy schwytany w nocy — to szpieg. Najgroź-
niejszy wróg!

Kula w łeb. Bez sądu. Bez skrupułów.

Wpadliśmy w nocy, około godz. 11-ej do domu
kupca polskiego. Rewizja, poszukiwanie. — Nic nie zna-
leźliśmy! Była matka i córka, lat może 15, może wię-
cej. Mąż i ojciec nieobecny. Podejrzany był o uprawia-
nie szpiegostwa na rzecz Rosji. Na pytania, obie odpo-
wiedziały z płaczem, że zginął; wyszedł wczoraj i więcej
nie wrócił. Jeden z towarzyszy zabrał się ostro; kazał
ręce podnieść w górę, poświecić we wszystkich poko-
jach. Nic. Patrzeliśmy pod łóżka, przerzuciliśmy szafy,
nie było go. Feldwebel nawymyślał im i już zabierali-
śmy się do odejścia. Wyszliśmy z sypialni do pokoju
jadalnego. Wówczas, w progu już, dostrzegłem w oczach
dziewczyny jakiś błysk, ulgę, lekkie odwrócenie spojrze-
nia w kierunku sypialni. Zauważyła, że ją obserwuję.
I nagle, jakby złapana na gorącym uczynku, przypadła

do moich kolan z jękiem, okrzykiem: „Nie. Ojca nie-
ma, poszedł, zginął, umarł, ale go w domu niema. Idź-
cie panowie, nie męczcie nas. Zlitujcie się nad matką
moją“.

Zdradziła się. Hans, stojący nieco z boku, w cieniu
świecy, dojrzał moment wahania — ulgi, chwycił ostrem
spojrzeniem zapamiętanie jej wzroku. Przypadł, odep-
chnął brutalnie, wyrwał starej świecę i wpadł do sypial-
ni. Okrzyk dziewczyny, załamanie rąk matki, kazały
domyślić się reszty. On był tam, w pokoju. Szukaliśmy
długo, starannie. Wreszcie, wśród przekleństw, Otto
chwycił starą za ramię, wrzeszcząc, by pokazała kryjów-
kę męża. Krzyk, bolesne szamotanie, targanie za włosy
i jakieś ciężkie: Jezu, Jezu!

I wówczas stało się, czego nikt z nas się nie spo-
dziewał. Z szafy, tej szafy, którą Hans tak skrętnie
zrewidował, wyskoczył wysoki mężczyzna, z czarną bród-
ką, odepchnął Ottona od żony i rzucił się ku nam, zdu-
mionym: „Jestem, bierzcie mnie, ale nie znęcajcie się
nad bezbronnymi kobietami“!

Za szafą, była druga w ścianie, niewidoczna, tam
siedział ukryty.

Zdradził go nerwowy ruch córki.

Sprowadzono ich do Preuskera. W pół godziny
później, wyprowadzeni za miasto, pod wiatraki, obok
dział, rozstrzelani oboje: mąż i żona.

Córkę trzymało dwóch żołnierzy. Chciała iść pod
kule. Darowano jej życie. Widziała śmierć rodziców.
Puszczona, osunęła się na ziemię. Zemdlała. Mówiono
później, że poszła naprzelaj przez pole; — na trupy ro-
dziców nie spojrzała.

Wyrodne dziecko?!

Nazywała się Maszyńska, może Muszyńska.

Tymczasem rozkazy nadchodziły coraz to inne.

Zrazu chaotyczne, później dopiero zaczęły się lepiej
układać. Wreszcie, po kilku dniach pobytu wśród wroga, wy-
czuwalimy już dokładny plan rozkazu naszego dowództwa.

Pierwsze strzały były zmieszane, nierówne.

Swist ich jakoś głucho odbijał się o mury tego nieprzyjacielskiego miasta.

Była w nich nerwowość żołnierza - człowieka, który strzelał jeszcze do człowieka; nie nauczył się w nim odróżniać wroga.

Nie nauczył się jeszcze strzelać do ludzi, jak do zajęcy: ot, dla zabawki nieraz: trafię — nie trafię.

Kule są.

Widzieć nie będę.

A sumienie?

Przygłuszyła je wrzawa pierwszych dni.

Elastyczne, jak u znacznej części żołnierzy, nie dominało się o prawa sprawiedliwości.

Zresztą ta sprawiedliwość była zgóry zasugerowana oficjalnym komunikatem o rozstrzelaniu przez mieszkańców Kalisza dziewięciu naszych żołnierzy.

Byliśmy więc już nie tylko bezmyślnymi pionkami, posuwanymi ręką dowódcy.

Staliśmy się mścicielami.

Wieść o podstępnej zamordowaniu kamratów wzbudziła w sercach naszych nienawiść do „polskich moskali“.

Z zadowoleniem też przyjęliśmy wiadomość, że major Preusker nałożył na miasto wysoki haracz.

Nadto w komunikacie, wydanym do mieszkańców groził, w razie nieujawnienia sprawców śmierci tych dziewięciu, rozstrzelaniem każdego dziesiątego mężczyzny.

Spodziewaliśmy się buntu.

Przygotowani na najgorsze, czekaliśmy.

W tym dniu przed południem odchodziła poczta. Wszyscy niemal wysłaliśmy listy i kartki do swoich najbliższych; ostatnie, zdawało się nam, słowa pożegnania.

Po dwugodzinnym odpoczynku otrzymaliśmy rozkaz posunięcia się w kierunku śródmieścia.

W mieście, jak dnia poprzedniego, panował właściwie spokój; czuć było jednak pewne rozdrażnienie.

Na jednej z ulic widniały barykady, ustawione z wyrwanych kamieni kostkowych.

Niespodziewanie zaczęła się strzelanina.

Dwa karabiny maszynowe, ukryte za barykadą, w nerwowych odstępach wyrzucały pociski, które, świszcząc i bzykając, odbijały się o mury, nie wyrządzając nikomu szkody.

Pod osłoną karabinów weszliśmy na rynek.

Przed głównem wejściem do ratusza leżało kilku ludzi; twarzą do ziemi; sami mężczyźni; widać to było po obrośniętych, obnażonych nogach. Wszyscy byli w koszulach tylko. Jeden z nich, podobno prezydent miasta, ustawicznie poruszał głową. Siwe włosy kręciły się w miarę przesuwania głowy. Na niego przedewszystkiem baczna uwagę zwracał strażnik.

Mówiono nam później, że w celu ułatwienia zakładnikom tej niewygodnej pozycji leżenia na brzuchu, dopomagano im uderzeniami karabinów.

Raz w głowę kolbą i leżał godzinę spokojnie, bez odwracania się i podnoszenia głowy! Wygodnie!

Trudno! Prawo wojenne!

Nieprzyjaciel we wrogim kraju! Inaczej nie wolno nam postępować.

Wprawdzie niektórym z nas wydawało się, że układanie żywych choćby i nieprzyjaciół razem z krwawiącymi trupami, może być jednak przykre. To tortury XX wieku. Tortury moralne, gorsze od średniowiecznych skomplikowanych łóżek męczeńskich i krzeseł kurczących.

Przemawiało za nami prawo zwycięzców. Może jednak, tak nam się zdawało, było ono źle zastosowane? Może jego forma była nieodpowiednio wyrażona?

Powiedział nam dzisiaj komendant naszego plutonu, że nie umiemy czuć się jeszcze żołnierzami-zwycięzcami.

Ma rację! Potrzeba nam ćwiczeń, wiele ćwiczeń praktycznych.

Za mało wojny!

Każdy nasz powrót do miasta miał odtąd być nacechowany nową falą rozstrzeliwań, nową, prawdziwą okupacją miasta.

Za nieposłuszeństwo! Za cichy bunt!

Za śmierć kolegów!

Z naszych kilku poległo. Nikt nie wiedział, kiedy i jak. Znaleziono ich zwłoki z twarzami sinemi, jakby przejętymi grozą śmierci. Wyłupiaste oczy, wygaśnięte były jakby poprzez mgłę. Zdawało się, że leżą zwaleni na ziemię wódką, zmożeni snem. Ale mało, ledwo widoczne czarne otwory, u jednego na plecach, u innego na głowie, u tamtego znowuż na piersiach i niewielka pod ciałami kałuża zakrzepłej krwi, powiedziały o wszystkim.

Nie żyli! Padli na posterunku! Zginęli!

Bohaterzy!

Uroczyście i manifestacyjnie odbyło się złożenie ich zwłok do grobów na miejscowym cmentarzu.

Dowódca von Kirchbach żegnał ich w imieniu ojczyzny, stroskanej rodziny i współtowarzyszy:

„Poszli, — tak mówił, — pierwsi.

„Cześć im!

„Pionierzy naszych zwycięstw, ofiary barbarzyństwa nieprzyjacielskiego. Pamięć o nich nie zginie. My, pozostali, pójdziemy pomścić ich śmierć bohaterską.

„Za życie ich wziąć musimy życie podwójnej, potrójnej liczby wrogów. Towarzysze! Pamiętajcie!

„Żegnajcie umarłych! Cześć wam!”

Przemówienie to wywarło na nas głębokie wrażenie. Salwa, oddana nad grobem zabitych, zbudziła nas z odrętwienia.

Usłyszeliśmy hasło do boju.

Szliśmy mścić śmierć tych dziewięciu. Tak bywa zawsze.

Wojna, raz zaczęta, sama dostarcza powodów do wzajemnego zabijania się, do mordowania, do grabienia, do palenia.

Żołnierz, zrazu pionek tylko, w ogniu nieprzyjaciel-

skim zatracą swoje człowieczeństwo, ale życie swoje chce drogo oddać i życie to umie cenić.

Zmieniło się wiele. Cała sympatja, jaką skrycie niejednen z nas obdarzał nieszczęśliwych mieszkańców, ustąpiła nienawiści. Śmierć towarzyszy rozpętała w umysłach żołnierskich pragnienie zemsty, głuchą chęć odwetu.

Odtąd każda istota ludzka, spotkana na ulicy, była wrogiem, dla każdego mieliśmy tylko kulę w zapasie. Każdy dom był fortecą, w której czaiły się wrogie nam siły. Szliśmy zdobywać! Nieśliśmy śmierć.

Żołnierz zapominał się, szedł naoslep, szedł zadawać cios po ciosie. Szedł grabić i niszczyć wszystko, co nosiło ślad własności wroga. Pchał naprzód, pędził, podżegany słowami dowódcy, oszołomiony wódką...

A tam, z cmentarza wołały na niego świeże mogiły.

Zdała, z chat wiejskich odległej Wirtembergji szły do niego szłochy opuszczonych rodzin...

„Za mało trumien Polaczkowie!”

„Braknie ich dla was!” — wołał Hans, gdyśmy mijali skład z trumnami.

Nie starczy, nie starczy Polaczkowie! Ani dla was, ani dla waszych shańbionych żon, ani dla dzieci. Niech z wodą popłyną wasze trupy, niech psy rozniosą wasze kości!

Za naszą krew! Za naszych bohaterów.

Tak myśleli wszyscy żołnierze-Niemcy.

— — — — —
Jednego popołudnia komendant Preusker wydał rozkaz do mieszkańców, nakazując otwarcie wszystkich składów. W mieście rozniosło się już pewnie echo przemówienia na cmentarzu dowódcy von Kirchbacha. Kupcy, jakby przeczuwając jakiś podstęp, niechętnie podnosili ściągnięte załuzje. Lotne patrolki, rozrzucone po śródmieściu, czuwały jednak nad wykonaniem rozkazu. Gdzie nie pomogły słowa, skutecznym był topór. Kilka ciosów w zamknięte drzwi i wnet ukazywał się brodaty żyd, któremu zwykle, dla nastraszenia, zabierało się kil-

ka cenniejszych drobnostek. Ot, nie dla grabieży, ale z pustoty żołnierskiej.

Pod wieczór miasto przybrało dość normalny wygląd. Tu i ówdzie ślady kul karabinowych; tam znowuż jakby zeschła krew, ale poza tem ruch, jak zwykle. Ulice ożywiły się trochę. Ciekawe panie załatwiały nawet swoje codzienne zakupy. Chodziły po sklepach, jakby pragnęły stwierdzić, czy nie zabraknie produktów żywnościowych. Tu i ówdzie, w sklepach sukienniczych, rozbijakowali żołnierze. Takie składy kobiety skrzętnie omijały. Zmuszone do wejścia, z grozą patrzyły na zamykające się za niemi drzwi, na rozrzucone wewnątrz sukna... Niektóre wychodziły po długim czasie, dziwnie podniecone, ze sztukami towarów...

Wypadki kaliskie rozgrywały się z błyskawiczną szybkością. Walka była nierówna. Z jednej strony my, najeźdźcy, z drugiej strony 60-tysięczny tłum mieszkańców, idący, jak barany, na rzeź. Czasem okrzyk grozy, przeciągły, długi; czasem chrapliwe rżenie. Poza tem nic, najmniejszego bodaj odruchu samoobrony.

I to było męczące.

Walka zamieniła się w rzeź. Piętrzyły się stosy trupów, cuchnąc na słońcu, śmierdząc uchodzącą krwią.

Na rozkaz komendanta wyprowadzono w kierunku dworca około siedmuset ludzi, samych mężczyzn.

Konwojenci oświadczyli zakładnikom, że od spokojnego zachowania się mieszkańców, pozostałych w mieście, zależy ich życie. Moralna groźba zawisła nad głowami zakładników. Szli w głuchem milczeniu, z głowami pochylonemi. Tylko niespokojnie rzucane raz po raz spojrzenia zdradzały burzę wewnętrzną, straszną męczarnię, obliczanie tego „dziesiątego”, skazanego na rozstrzelanie.

Nagle, od strony miasta, padł strzał rewolwerowy. Konwojenci bez namysłu oddali salwę do zakładników, którzy w tej niemal samej chwili rzucili się na ziemię. W ostrym galopie nadjechał Preusker i z miną, która

zbyt wiele kazała się domyślać, zaczął krzyczeć na żołnierzy:

„Himmelkreuzdonnerwetter! Halunker! Czego strzelacie? Kto wam kazał? — Kreuzdonnerwetter!“

A żołnierze, pierwszy raz od czasu opuszczenia przez nas koszar, żołnierze roześmiali się niedyskretnie wobec przełożonego. Spoglądali na siebie porozumiewawczo...

Preusker odjechał.

Zakładnikom oświadczono, że będą rozstrzelani. Feldwebel kazał im zrobić rachunek sumienia.

W grupie zakładników było kilku księży katolickich i kilku rabinów. Zaczęli oni wypełniać swój obowiązek kapłański. Na twarzach zarówno ich, jak i ich penitentów malowało się zmęczenie.

Spowiedź w obliczu śmierci!

Czyż wielki Bóg nie musi grzechów odpuścić? W takim położeniu?

Zamiera wówczas w człowieku całe jego życie dotychczasowe. Jak w kalejdoskopie przesuwają się wypadki tego życia.

Potem przychodzi głębokie zrozumienie jego treści i wielka, wielka rezygnacja.

Bóg wysoko, a śmierć tuż czyha, wyszczerzając długie zęby...

Dziwił się, że żaden z zakładników nie umarł, nie zemdlął nawet. Ze strachu, z grozy nadchodzącej śmierci. To nas, zamiast wzruszyć, rozwściekiło.

Z rozkazu Preuskera wyprowadzono wszystkich zakładników do Szczypiorna. Ale nasz komendant mądry, chytry! Znał naturę ludzi; kombinował; obliczył, że potęgające się zmęczenie ciała, zdoła i ducha znużyć.

Czekał!

Kazał zakładników sprowadzić tą samą drogą koło dworca kaliskiego. Cekał ciągle, czekał na przyznanie się do winy. Zrozumieliśmy: komendantowi chodziło o ślady. Chciał usłyszeć od zakładników jedno tylko słowo: „strzelaliśmy“.

Zrozumieli i zakładnicy. Przejrzeli plany Preuskera. Niewiadomo, czy nic nie wiedzieli, czy też pragnęli prawdę zataić. Milczeli.

A Preusker ciągle jeszcze czekał i liczył na zmęczenie.

Ustawiono zakładników pod wiatrakami... celem rozstrzelania. Minuty oczekiwania na strzał stawały się coraz dłuższe, męczące zarówno dla jednej jak i dla drugiej strony.

Setki ludzi, z pozornym spokojem, patrzyło w wymierzone lufy karabinów; mała garstka rozstrzeliwujących z biciem serca obserwowała zachowanie się dowódcy.

Nadjechał Preusker. Widać było, że postanowił rzucić na szalę ostatni atut: przemówić do kobiet, matek i żon...

Wybrał jednego z pośród zakładników i wysłał go do miasta, ażeby oznajmił mieszkańcom, że wszyscy zakładnicy będą rozstrzelani za strzelanie do żołnierzy, jeżeli nikt dobrowolnie do winy się nie przyzna.

Część zakładników zwolniono. Pozostałych ulokowano w wiatrakach. Oznajmiono im, że będą spaleni.

Zamknięci przez trzy dni z rzędu, storturowani moralnie, wygłodzeni, tłoczyli się jeden przy drugim, wstrząsając się za każdym odgłosem z zewnątrz. Żadnej łączności, żadnej wiadomości o bliskich rodzinach. Nic, zgola nic. Tylko ciężkie dudnienie wokół całej ziemi kazało im się domyślać, że z armat strzelają. Strzały padały coraz częściej i coraz pewniej.

Preusker biegł jak opętany. Pomylił się w swoich rachubach. Liczył na zmęczenie ciała, ale nie przewidywał twardej wytrzymałości ducha.

Trzeciego dnia wyprowadzono zakładników i połączono, nie kazać im się oglądać, w kierunku Skalmierzyc. Obaj z Hansem należeliśmy do konwoju. Przydzielono nas do podoficera Hirschmanna, znanego z okrucieństw. Na jego rozkaz ulokowaliśmy zakładników

Następny dzień.

Zagubiłem wątek moich wczorajszych wspomnień. Widzę zresztą, że zamiast pisać o mojem życiu obozo-wo-żołnierskiem, roztkliwiam się nad przeszłością. Preusker przyjechał tak cicho, że nikt niemal nie zauważył go. Dopiero donośne „Na Kameraden“ wyrwało nas z bezruchu. Nic więcej nie powiedział.

Głos jego brzmiał jakby z góry. Mówił z konia, chociaż nie było go widać; coś tylko jakby sylwetka zarysowała się na tle gwiaździstego nieba. Widziałem jakby kontury jakiegoś potwora. To pewnie złudzenie zwroku, bo oko z trudem odróżniało jeźdźcę od konia, tak że człowiek i zwierzę tworzyli raczej jeden wspólny kształt.

Jeszcze jedno „Na“ i Preusker pojechał, ale dokąd? Poco? Pochłonęła go wnet noc, a odgłos kopyt końskich tłumiała zorana wokół ziemia. Odnieśliśmy jednak wrażenie, że głos Preuskera był drżący. Pewnie nam się zdawało. Może uszy, w których wprost dzwoniła ta cisza „ruskiego“ kraju, za bardzo stały się wrażliwe na głos ludzki? Nie było zresztą czasu na roztrząsanie takich błahostek, bo w tej chwili rozległo się stłumione trąbienie; znany, dobrze znany, jakby się wyrazić, hejnał spoczynku. Ta, ta, ta, t-a-a-a, tak bardzo wyraziście przez nas zawsze tłumaczone na słowa:

„Żołnierze mają do koszar wracać, a nie z dziewczętami na ulicach wystawać. Do koszar — kosza-a-a-rl!“

Znak odpoczynku i snu. Była godzina może 2-ga w nocy; już gwiazdy zbladły. Nad miastem, w oddali, rysowała się biała smuga świtu, gdyśmy znużeni, rzucali się na ziemię.

Tak! W pierwszych dniach wojny.
Dla ciebie ojczyzna i dla cesarza.

Zbliżał się szary czyn. Szło bohaterstwo dnia, godziny, minuty. A dnie nadchodziły codziennie, wlokły się długim sznurem bezbarwne, monotonne — w męce szły i krwi. Kartacze miotały przekleństwa, kule armatnie wyły zgrozą, głucho trzaski karabinowe jęczały upodleniem. Biegło za nami widmo kościstej ręki, w której zaciśniętych palcach błyszczał symbol zemsty.

Za mord i gwałcenie!

Za pożogę!

Pierwsze dni wojny były dla nas szkołą życia. Dawniej, w szkole, w koszarach uczono nas, że mamy być pośrednikami do świata prawdy, pracy i przyszłości. Kochać mamy bliźnich i maluczkich. Dopiero pierwsza krwawa ofiara, pierwsze, o przydrożne drzewo roztrzaskane dziecko, przekonały nas o moralnem bankructwie naszych ojców, matek i wychowawców, o ich utopijnej, czczej gadaninie. My, wykonawcy twardego obowiązku, stojący na straży ojczyzny u wrót wojny, pionki, posuwane w imię świętych haseł wolności i braterskiej miłości ludów. Oni, myśliciele i „obmyśliciele“ wojny, gloryfikujący wzajemną myśl o obronie własnego mienia!

Ogarnęło nas najpierw zdumienie, potem rozgoryczenie, które rychło ustąpiło tej cudownej obojętności na wszystko, co nie śmierdzi obrzydłą, cuchnącą zakrzepłą juchą ludzką.

Nie było czasu na cikliwe rozmyślanie, takie słowa jak: duch, dusza, litość, wykreśliłszy z naszego słownika, zastępując je bardziej realnemi, zapożyczonemi od kaprali wyrazami o prostej, swojskiej treści...

Powtarzały się one stale w naszych rozmowach, odmieniane we wszystkich przypadkach deklinacji ze wszelkiego rodzaju przed i przyrostkami, po setki razy dziennie przytaczane nabierały tak różnego a barwnego znaczenia, że z powodzeniem zdołały zastąpić skomplikowane wyrażenia języka literackiego. Były przedewszyst-

stkiem, mimo różnorodności znaczeniowej, dla wszystkich zrozumiałe. Docierały zawsze do zastygłej zobojętności na sprawy nadziemskie. Żołnierz pełza przecież nisko, niziutko, grzęźnie w błocie, jest surogatem człowieka cywilizowanego. Ubabrany w kałużach, może tylko i w słowach błotem bryzgać. To jeno inna odmiana człowieka, „homo sapiens”. Lekki nawrót ku prymitywności życia. Skłonienie wybujających mózgów ku realizmowi, panującemu wśród grubijaństwa i chamstwa tego życia.

Ważniejsze nad wszystkie mądrości i filozofje całego świata są: grochówka i brudna onucka. Zresztą w wolnych chwilach od służby, to znaczy od strzelania i mordowania, każdy śpi, jakby na konto swojego przyszłego bytowania pragnął Bogu wykraść każdą minutę, każdą sekundę życia. Śpi w lepkiej glinie, w parku na ławie, na trawie, na ulicy, podścielając pod siebie garść zgnitej słomy. Śpi nieraz w marszu.

Spanie i jedzenie — to dwa zagadnienia, około których krążą myśli żołnierza. Na wszystkie inne jest poprostu ogłupiały. Nic zresztą innego nie potrzebuje rozumieć. Kim bowiem jest żołnierz? Jaki cel jego istnienia? Jakie jego nadzieje?

Z chwilą przestąpienia bramy koszarowej przestaje być sobą, więcej, przestaje być człowiekiem. Jest martwą bryłą, którą siła rozkazu pana dowódcy może przenieść z miejsca na miejsce. Wcielony do pułku, zaimatrykułowany, skuty koszarowem odrętwieniem, żyje, ale tego życia nie czuje, bo ono jest zamknięte w ciasnych granicach władnego rozkazu i służalczego obowiązku. Przestaje myśleć i czuć. Mowa jego koszarowa to jakieś odruchowe gesty, zamknięte najczęściej w monosylabowych: rozkaz panie... tak jest... szeregowiec X melduje posłusznie...

Och posłusznie!

Posłusznie staje na baczność przed wszechwładnym panem sierżantem jak piesek, któremu każą służyć na dwóch łapkach.

Staje na baczność i, w odpowiedzi na wielkokalibrowe przekleństwa kaprała, jedną ma nurtującą go myśl: czy też aby nogi w tej chwili obcasami buta dobrze się schodzą..., czy aby ręce dobrze przylegają końcami palców do spodni?...

— — — — —

Na gołym polu, na otwartych ulicach, zostaliśmy wojownikami. Zmieniła się dusza żołnierza. Na wierzch, jakby odwieczna naleciałość, wyszła brutalność. Jędrne, żołnierskie plugawe słowa nabrały życia. Wytworzyły się nowe, nieznane dotąd pojęcia, ukazały się nowe horyzonty. Przyszła wojna ze wszystkimi symptomami, krwawa, mordercza wojna!

Nie było czasu na filozofję czynu.

Czyn był czynem, prostym wynikiem rozkazu, koniecznością. Nikt w tych dniach nie dociekał jego pragmatyzmu. Szło się poprostu na wroga bez zastanowienia, dla samego pragnienia krwi. Resztki fanatycznych pojęć o ludzkości, o braterskim obowiązku, o hasłach ideowo genewskich—wypędzała ze słabych mózgów wódka. Alkohol, szczerze wydzielany, zagłuszył przedwojenne nawyczki do zdawania sobie sprawy ze swoich poczynañ. Alkohol zaślepił, mgłą zaciągał oczy... jeden w nich pozostawał widoczny kolor — odróżniona czerwień krwi.

Zrodziło się coś, jakby koszmarny pajak, który gęstą siecią oplótł nasze czyny. Nitki tej pajęczyny były przedziwne wabiące, jaskrawo czerwone, migocące tą drażniącą barwą w promieniach słonecznych.

Na zew ojczyzny stawiliśmy się. Stanęliśmy w szeregach, równo, spokojni, z palcem na cynglu, my, wierni tej ojczyzny synowie i walecznego cesarza poddani.

Przemawiała za nami tradycja wielkich czynów. Spoglądał na nas z wyżyn przeszłości Sedan, zaufaniem napelniał wielki Generaloberst von Hindenburg.

W każdym z nas była wiara i poczucie świętości obowiązku. I w tem poczuciu szliśmy na bój, dumni z pierwszych kroków w kraju nieprzyjacielskim.

Taka była od wieków nasza zasada: nie pozwolić się zaskoczyć we własnym kraju, ale niespodziewanym wypadem sparaliżować wroga na terytorjum jego państwa, tam palić i grabić i iść, iść naprzód, bez szkody dla własnej ojczyzny.

Przekroczenie granicy, pierwszy krok w kraju wrogiem, uczyniły z nas wrogów. Poczuliśmy się odrazu żołnierzami. Pierwsze kule, krwawy chrzest, spędziły resztki koszarowego rezonowania.

U wrót kraju nieprzyjacielskiego otwart się przed nami bogaty śpichlerz zapasów, skarbiec czynów. Gromkie hurra, okrzyk powitania i radości — okrzyk grozy, krew mrozący w żyłach. Rozszedł się odór krwi, wyszła zapowiedź rozszalałej żądzy.

Kraj okupowany miał stać się żniwem dla zwycięzcy. Wnet rozbiegły się oddziały wojska, węsząc nie za wrogiem, którego ślady wskazywały dymiące od wschodu pożary, ale za żerem...

In Polen ist viel zu holen!

Zabierano co wpadło pod rękę. Kury, kaczki, gęsi, świnie, krowy padały pastwą zaczynającego żyć żołnierza. Zrazu nieśmiało, niepewnie, potem z brawurą, żywiołowo. Ciemny ludek ruski, słowa nierozumiejący po niemiecku, skamlał, i płakał, i bronił, i wydzierał. Uspokojono go zapewnieniem, że państwo niemieckie za wszystko będzie płacić. Kura, kaczka, gęś, i świnia, i krowa, wszystko, wszystko szczegółowo będzie hojnie zapłacone każdemu, kto wykazać będzie się mógł pokwitowaniem za rekwirowane zwierzęta.

A pokwitowania wydzielaliśmy szczerze, wśród wybuchu śmiechu:

„Schwein ist mein, Schein ist dein, Poincaré wird bezahlen!“

Wieśniak drapał się po zawszawionej głowinie, patrzył ze zdumieniem na niezrozumiałe słowa, chował świsstek głęboko za pazuchę i kłaniał się tym panom żołnierzom, którzy byli grzeczni. Nieraz jego Jagnę taki chwycił pod brodę, uszczypnął matkę w ramię, dał

poćmić papierosa, po przyjacielsku poklepał, tłumaczył zawzięcie coś długo w tym niezrozumiałym szwargocie, a potem dał „Quittung“ i pojechał.

Dobre chłopcy! Jenó się juchy jakoś śmieją...

Żyliśmy szeroko, dobrze i wygodnie.

Niepokoił nas trochę Kalisz, ale poza tem zapuściliśmy zagony daleko, wparliśmy się tego pazurami w ziemię ruską, by nabrać sił, potrzebnych do rozmachu na wojnę.

Nasi wodzowie dobrze pojęli taktykę wojenną. Plany strategiczne, zakrojone na miarę najlepszych polityków wojennych, były pomyślane z nadzwyczajną dokładnością. Jasno czytaliśmy w umysłach naszych wodzów już w trzecim dniu wojny.

Żołnierz — ażeby mógł być dobrym żołnierzem, musi wiedzieć, dokąd idzie i poco idzie. Znać musi przynajmniej tę część planu, którą ma wypełnić czynami. Inaczej traci rezon i idzie na stracenie.

Wielka swoboda, ujęta jednak w karby karności, powiedziała nam wszystko.

Karność i suchy rozkaz istniały, ale stały się jakby odleglejsze, wychodzące z poza formy podwórzowo-koszarowej. Inne miały brzmienie i inne zewnętrzne cechy. Żołnierz łatwiej je znosił i chętniej przyjmował; były dla niego, w okresie tych pierwszych dni bezgranicznej swobody i wolności, hamulcem, wałem ochronnym, za którym powstrzymywał rozpętaną żądzę użycia.

Nie imaly go się kule; nauczył się szybko poznawać po gwizdaniu ich kierunek, czasem bezwiednie schylał głowę i poznał, że nie wszystkie jednak kule zabijają.

Odezwało się w nim pragnienie życia.

Nie wiedział, że to przedśmiertna dawka użycia, którą los gotuje śmiertelnym...

Nie wiedział i nie rozumiał. Wojna wiodła go w nowy kraj, zapoznała go z innem życiem. Pragnął wychylić kielich żywota do dna, do ostatniej kropli...

Więc hulał, i szalał, i mordował, i grabił...

Wobec siebie usprawiedliwiony, w obliczu narodu nieodpowiedzialny, on — ślepy wykonawca szerokich planów.

Swobodny i w tej swobodzie niezależny, bez przekraczania granicy karnośći wojskowej, dowolnie występował miarę poczucia człowieczeństwa, byle żłopać i chleptać do sytości, do nadmiaru z tej szarej, pospolitej codzienności.

A życie niosło w tę codzienność swoje urozmaicenie.

Wypadki dnia zbiegały się w godzinę; tygodnie całe skupiały się w jednym dniu; to, co wykonać się miało w ciągu długich miesięcy, stało się w jednym tygodniu.

W pierwszym tygodniu wojny...

W okresie odmierzonym, wykradzionym wieczności...

W dniach siedmiu...

— — — — —
Trudno, á la guerre, comme á la guerre — kule sypały się ze wszystkich stron, trafiając często niewinnych i jakby skrętnie omijając winowajców.

Staliśmy w obliczu wroga, tylkośmy tego wroga nie widzieli.

Kazano nam strzelać — strzelaliśmy.

Kazano milczeć — milczeliśmy.

Mordować — nasadzaliśmy pod rozkazem bagnety na karabin i szliśmy do ataku... szukać tego wroga.

Początkowo zamykało się oczy i kłuło bagnetem naoslep, ale jakoś cios zawodził, częściej uderzał o mur, o płot. Bagnet tępił się. Wroga trzeba było szukać po ogrodach, na wązkich, wijących się schodach, pełnych specyficznie żydowsko-czosnkowego zapachu, ugaaniać się za nim po jego mieszkaniu, szturmem brać otwarte jego pokoje i wreszcie w odnalezionego, skulonego w kącie z całą rodziną, pchać bagnet w miękkie, ciepłe ciało.

Najpierw on, wróg właściwy, pan domu i ojciec rodziny, potem jęcząca kobieta, a potem rozbeczane

bachory, lepiące się brudnymi łapami do krzepnących ciał rodziców. Jakie to wstrętne i niskie! Plugastwo żydowskie! Wszy pasożytnie!

A wszystko skamlące, szwargocące jakimś nieartykułowanym „gwałt” — „Herr je“, a potem rżące, plujące krwią na długo przed ostatecznym zdechnięciem,

Nauczyliśmy się już wielu słów żydowskich. Chętnie je też powtarzamy, z zaciągnięciem istic żydowskim, przedrzeźniając wiernie mimikę wymowy żydowskiej: „Na, lcek, czemu ty potrzebujesz się kryć przed nami? Pójdź tu, na światło, ja tobie lcek nic nie zrobię, ty jeno mi powiedz, czemu ty strzelasz do naszych? Czy my twój wróg? Powiedz, łagodnie, ja ciebie proszę“.

Przytykało mu się bagniet do piersi; żyd łypał ślepiami, dygotał na trzęsących się nogach. Zaczynało się znane już w takich wypadkach „Herr je“ — zaklęcia, wołania o pomoc wszystkich jehowów, zaklinania i przysięgi na swoją niewinność — a oczy tymczasem chytrze spoglądały wkoło, jakby oszalałe pod wpływem strachu lub szukające ucieczki...

Dość tego. Rozkaz! Wciśnięcie bagnetu; dziki wrzask... Żeby jeszcze nie krzyczał, żeby się bronił, ale nie, wrzeszczy przeraźliwie, łypie ślepiami, kurczowo chwytą za bagniet...

W palcach czuć przy pchnięciu, jak bagniet zesuwa się po kości, idzie miękko, jakby się ślizgał; potem znowu napotyka na coś twardego; hałt, dalej nie chce iść; to ściana! Scierwo żydowskie wisi z łbem spuszczone, jeszcze chrapliwie czekające... Wisi na bagnecie. Jedno silne pociągnięcie i bagniet wysuwa się. Teraz dopiero człowiek widzi, że bagniet czerwony, unurzany we krwi, że żyd pada całym ciężarem ciała na ziemię, kurczowo drapie paznogciami podłogę. Coś budzi się w człowieku, coś szarpie, coś zrywa i woła, chce wołać, domagać się uczuć ludzkich dla... ludzi... Ale nie czas na filozofję; nie pora na rachunek sumienia. Zabija się błyskawicznie, szybko. Z jednego do drugiego domu człowiek ściga człowieka, znów go dogania, znowu kłu-

je i morduje, ażeby nie być samemu ściganym, kłutym i mordowanym.

Tai się poczucie kultury i ogłady. W człowieku zrywa się zwierzę, wszechwładny instynkt, każący ciągle pchać naprzód, pchać bez wytchnienia.

Nieraz w takich chwilach zamroczenia zmysłowego chciałoby się żłopać tę bryzgającą juchę, jeszcze ciepłą i słoną. Czuć ją wszędzie. Świeża — ma zapach fal morskich, zakrzepła — śmierdzi jatkami.

A wszędzie jej pełno: na schodach, progach, pokojach, na ulicach, obryzganach ścianach, w parku... wszędzie krew, ludzka krew, czerwona, ciemno - czerwona, jak purpura, a wszędzie krew.

Zydowska, narodu wybranego — jucha.

Włada nami jakaś dotąd niezapoznana siła — tajemnicza moc, która każe i zmusza.

Człowiek staje się potulny i posłuszny.

Na co zresztą zdałby się opór?

Za pierwszy objaw nieposłuszeństwa — kula w łeb. Czuwa wiernie nad tem pan feldwebel Oskar Meinzel i pan porucznik von Kirchbach, i pan major — wszechwładny nasz w Kaliszu komendant i najlepszy dowódca — Preusker.

„Im Feindeslande sind wir da —“ W nieprzyjacielskim kraju!

Panowie życia i śmierci!

Życie bierzemy — śmierć wzamian dając. Hojnie i szczerze. Nieprzyjaciel winien poczuć naszą siłę, naszą szeroką dłoń, która wynagradza sprawiedliwych synów ojczyzny, a surowo karze nieposłusznych.

Niema w niej pobłażania dla wrogów, ogarniętych pychą innej narodowości, wówczas, gdy stać się mają obywatelami naszej ojczyzny. Za opór — kula w łeb i bagnety w pierś.

Za uległą wierność, za służbę zwycięską — order, nagroda i życie w łasce promieni najjaśniejszego.

Wybór wolny.

My, Niemcy, nie zmuszamy.

Wskazujemy tylko drogę do wolności, drogę szeroką, wygodną, wybrukowaną niezdartym językiem germańskim i cnotami wszystkich w rejestrze ułożonych mądrych praw człowieczych.

A nad tem życiem nasze godło: „czarny dwugłowy orzeł”.

— — — — —

Mundur wojskowy zmienia człowieka. Nie to, że męczyzna w mundurze nabiera odmiennych form zewnętrznych — wysuwa pierś naprzód — prostuje się — ruchy ma harmonijne... nie. Mundur przedzierzga duszę człowieka. Zaczyna się ten proces raptownie. Ani się spostrzeżesz cywila, jak szybko pierzchnęły twoje dotychczasowe myśli, twoje pewne wyrobione sądy, twoje uczucia — już patrzysz innemi oczami, zmienia się cały twój światopogląd. Wstąpiłeś w szeregi militarne — sam, jakby od urodzenia żołnierz z krwi i kości. Koszary, ćwiczenia, stają się spójnią — twoim światem.

Wojna! Krwawy chrzest!

Przestałeś być żołnierzem, powiedzmy takim cywilnym, teraz ciąży na tobie obowiązek obrony granic, uświęcony przelaniem krwi.

Tak było i dawniej.

A jednak...

Zmieniło się coś; tam, w głębi, wewnątrz. Meta-morfoza objęła całe jestestwo duchowe, śmiałym rzutem pozbywając się zbytecznego balastu: „sentymentalnego romantyzmu”.

Ukazał się instynkt, nieomylny i nieodstępny towarzyszy żołnierza.

Ale...

Są w życiu żołnierza dziwne chwile.

Stanęliśmy dzisiaj w Szczypiornie, o kilka kilometrów od Kalisza. Spodziewany był nocny wymarsz. Nie spaliśmy. Pozwolono rozpaść kilka ognisk. Przy jednym z nich zgromadziło nas się kilkunastu — rozłożyliśmy się — wyciągnięci nogami w stronę ogniska. Feldwebel opowiadał:

Wysłany poprzedniej nocy na obchód Kalisza, siedł długo w ciemności; on i dwaj przydzieleni mu żołnierze. Szli. Spotkali raz grupkę uciekinierów. Szli dalej. Znowu coś zamajaczyło przed nimi — płoty — wyjście na jakąś dróżynę. Stanęli. Tędy, według odebranej wiadomości, miał przechodzić najsprytniejszy szpieg rosyjski, jakiś Poniatowski. Czekali długo. Cisza. Zmęczeni, senni, postanowili rozdzielić się i w trójkę objąć cały najbliższy teren; zrekonstruować.

Szedłem, opowiada, zupełnie sam drogą; skradałem się pocichu, przystawałem, słuchałem. Nic.

Oparty o przydrożne drzewo, stałem długo, czekając na gwizd, umówiony sygnał kolegów. Czułem, jak karabin opada coraz niżej. Byłem zmęczony.

Nagle, jakby przez sen, doszedł mnie głos, niby płacz cichy, niby kwilenie dziecka. Było to tuż, obok, pode mną. Ocknąłem się momentalnie; odskoczyłem o krok z karabinem nastawionym. Rzuciłem pytanie raz, drugi — nic. Zagroziłem strzelaniem — cisza. Zacząłem poomacku wodzić bagnetem. Acha — to krzewy obok wierzby. Znowu zapytałem — i znowu żadnej odpowiedzi. Zniecierpliwiony już, zacząłem systematycznie żgać bagnetem w krzew. Wchodził miękko, uchylał gałązki. Cisnąłem silniej. Bagnet wszedł jakoś inaczej, ślizgał się w czemś, suwał... szarpnąłem. I znowu jęk silniejszy, przejmujący, jakby budzenie się człowieka i równocześnie cichy płacz dziecka. Poniatowski — przemknęło mi przez myśl. Pchnąłem jeszcze raz bagnetem. Wyrwały się dwa straszne głosy: płacz dziecka i bolesny okrzyk kobiety...

Ściągnąłem wartujących kolegów, wróciliśmy do miasta.

Urwał.

Dokończenie znaleźmy. Widzieliśmy dzisiaj. Na drodze, pod miastem, koło wierzby leżała nieżywa kobieta z przekłutym brzuchem; do odsłoniętej piersi kurczowo przyciskała przebite dziecko, małego trupka, którego

niezarośnięta pępowna wskazywała, że urodziło się w nocy.

Tam, w krzewach, zdala od swoich, powstało życie i w zarodku zostało stłumione, zgniecione.

Feldwebel milczał.

Zapatrzeni w wystrzelające języki ogniska, poddaliśmy się wrażeniom chwili. W żołnierzach, twardych, zahartowanych na ból i troskę, zbudziło się serce, wypełzła pozostała resztką głupiego sentymentalizmu, przełamanie się duszy żołnierskiej. Przyszły wspomnienia...

O czym myśleliśmy?

O dalekich stronach rodzinnych, o bliskich nam — matce, siostrach,... a może o śmierci dziecka niewinnego?

I duszy naszego feldwebela?

— — — — —

Poniatowski!

Chłop, zwyczajny, prosty, od wideł i gnoju chłop polski. Ongi, przed wojną, znany przemytnik, dziś — szpieg pono najgłówniejszy.

Poniatowski!

Widoczny wszędzie, na każdym odcinku, w najgorętszym ogniu, pod obozem, w pobliżu kwatery, w mieście. Zawsze nieuchwytny, wymykający się stale z rąk.

Otrzymujemy rozkaz.

Obławę na Poniatowskiego. Widział go żołnierz. Pod wieczór wchodził tylnem wejściem na podwórze hotelu Europejskiego, do głównej kwatery Preusker'a.

Obstawiliśmy wszystkie wejścia, zamknęli bramy, drzwi, — gotowi do strzału.

Przeszukano całe podwórze, stajnie, ustępy. W poszukiwaniu brali udział żołnierze, oficerowie, wszyscy, kto żył. Sam Preusker chodził po podwórzu.

Znaleziono go.

Siedział na strychu stajni, ukryty w słomie. Zbiegliśmy się wszyscy na podwórze.

Człowiek średniego wzrostu, o ostrym profilu twarzy,

z małą bródką, wyglądał niepozornie, wystraszony, przelekły.

Przedwstępne badania na podwórzu nie dały żadnego rezultatu. Odebrano mu jakieś dokumenty. Zaciął się, nie powiedział ani słowa.

Nagle strzał tuż, blisko, pod hotelem. Alarm. Wartownik dojrzał jakiegoś chłopca w kożusku, wybiegającego z pliką papierów z hotelu.

Wybiegliśmy w pośpiechu: zdala, na zakręcie, koło kościoła, mignęła szara sylwetka...

Pogoń nie dała wyniku. Szpieg przepadł w nadchodzącym mroku, zapadł się pod jednym z licznych mostów, uszedł kanałem.

Chłop, przytrzymany na podwórzu hotelowym, jak okazało się, był tylko narzędziem w ręku Poniatowskiego. Odwrócił uwagę od wejścia do kwatery Preuskerą; dokoła swej osoby skoncentrował straż na podwórzu i ułatwił pracę Poniatowskiemu.

Odebrał zasłużoną karę...

Z kwatery zginęły ważne papiery. Podobno plan Kalisza, opracowany przez sztab generalny.

Wykradł Poniatowski.

Jak zeznali licznie zbadani świadkowie, Poniatowski od kilku lat nieuchwytny nawet przez zręcznych kozaków, był świetnym pływakiem.

— — — — —
W mieście był rozlokowany jeden bataljon 155. pułku, drugi baon za miastem.

W myśl tajnej instrukcji, należało każdego spotkanego mężczyznę, podejrzanego czy zwracającego niepewnem zachowaniem się na siebie uwagę, natychmiast rozstrzelać, bez sądu, by szpiegostwo wytepić w zarodku.

Czelność Poniatowskiego jest najlepszym dowodem, że zewsząd otacza nas żywioł niepewny, wrogi, myślący o powrocie Rosjan.

Dość gry i zabawy w ciuciubabkę.

Odtworzony plan okupowania Kalisza trzeba bezwzględnie wykonać.

Poniatowskich jest więcej. Rosjanie czuwają!

Należy ich uprzedzić!

Idea zaskoczenia wroga musi mieć odpowiednie zastosowanie.

Wykradzenie planu — to hasło do czynu, sygnał, że godzina wybiła.

— — — — —

Wieczór. Godzina 11-ta. 7. sierpnia 1914 r.

Skonsygnowanie obu baonów pod miastem. Ostatnie przygotowania. Krótkie przemówienie majora, gromkie: za cesarza i ojczyznę. Zmieszane rozkazy.

Poszły, oddział za oddziałem, w odstępach, miarowo, w bój.

Ciężko nad nami grały armaty, dudniła ziemia, szły długie, głębokie bum-bum-rum-ruuum!

Miasto, pogrążone w ciemnościach, wysuwało się w niebo strzelistemi wieżami. Podchodziliśmy do pierwszych domów.

Jeszcze nie czas.

Dalej — do śródmieścia.

Warknęło jeszcze kilka pocisków, przeszedł świszczący górą łoskot — prucie powietrza; zaległa głęboka cisza.

Tylko odzywał się miarowy stuk kutyh butów o kocie łebki uliczne. Słyszać było cichy szept i szeleszczenie niesionych wiązek słomy.

Szliśmy porządnie. Raz przecież celowo, z całą świadomością tego, co czynić wypadnie.

Przystanek. Kilka rozkazów. Weszliśmy do miasta.

Migotało mdłe światółko w górnem piętrze ratusza, wyłaniały się kontury sąsiednich domów.

Ostra salwa zboku. Strzały szły górą.

Rozkaz. Salwa. Bieg, ile tchu w piersiach, w ciemnościach nocy, o czarne mury odbite „hurrrra-hurrrra“!

Wpadliśmy na wyznaczoną ulicę.

Po trzech, czterech, pięciu do jednej kamienicy.

Nie ta, następna.

Tak — ta, napewno ta.

Brama zamknięta. Oknem, nisko.

Hans rozwał drzwi. Otto wywał okno. Werner wciskał słomę. Ja stanąłem już na parapecie okna. Silne pchnięcie, ramy ustąpiły. Weszliśmy wszyscy.

Od góry.

Precz żydowico.

Kolba, bagnet, strzał! Bieganina w górę i znowu drzwi. Żydziaki psiekrwie!

Za nogi! Oknem go. Temu w łeb.

Spokój! Mordy zamknąć!

Wal w łeb! Dobra.

Hallo Hans! Tu pierzyny...

Trzask, błysk, płomień... w porządku!

Psiakrew! Zepchnij tę ryczącą cholere na dół.

Uciekać niżej; na pierwsze piętro. Słomę! prędzej! pospiesz się!

Nie mam.

Szukaj. Patrz tu, kotara! Suknie! Pal!

Wyrznij temu szczeniakowi kolbą — niech nie wrzeszczy!

Jazda, uciekamy!

Druga kamienica. Nie, nie ta. Już się pali, nie widzisz?

Tu, do cholery! Za mną! Naprzeciwno!

To hotel. Na podwórze! Do stajni — jest słoma, siano. Pędź na piętro!

Hans! Nie tak wysoko. Na pierwszym, pójdzie, nie bój się, nie zgaszaj!

Podkurz ich! Wywalaj śmiało!

Bydło! Zamknęli się. Patrz, pod schodami worki — ognia! Jak wróble będą wyskakiwać. Trzecie pięterko. Ładny kawałek drogi.

Znowu ta psiakrew. Strzelaj! Uwaga! Chce wyskoczyć.

Żyd, co?

Niech skacze, byle łba nie rozbił. Ten już ma dosyć.

Co? Ranny?

Kto? Hans?

Tak, rozdarłem gdzieś lewe ramię.

Cofaj się! Na rynek.

Czasu niema. Idziemy. Chłopcy dalej!

Trzask, huk, dym, oślepiający żar, wysuwający się oknami, drzwiami. Płomienie objęły dachy, ukazują się z przodu, z boku, z tyłu.

Jazgot karabinów.

Nie strzelać. Halt! Halt! Tu swoi! Stać!

Naprzód!

Gdzie się pchasz? Droga zatarasowana. Kamienie, gruzy, belki. Szafa leży.

Po ciężką cholerę wyrzucają meble!

Palić, podpalać! Od piętra! Nie wyrzucać.

Tego parcha chwycić za łeb. Krzesło się spali — daj spokój.

Dym rozciąga się nad nami. Na ulicy jasno, jak w dzień. Parzy, piecze, pali.

Dym obejmuje nas, opada gęsty, śmierdzący, dusi zapachem skwierczących ciał, oszołamia zaduchem płonącej materji, wciska się w oczy.

Rany boskie!

Wrzaski, krzyki, strzały i ten dym!

Nie można wytrzymać. Cofamy się. Uciekamy z piekła.

Odwrót zamknięty. Wszędzie ogień, wszędzie dym.

Strzał armatni. Jeden, drugi, trzeci. Hasło! Z biedą słyszymy. Nad nami ogień, z boku ogień, wszędzie ogień obejmuje nas, żre, swędzi, pali.

Głowy na dół! Niżej! Ratować się! Za mną!

Tu, na prawo!

Człowiek — trup — drugi, trzeci i dziesiąty, osmolony, strawiony ogniem.

Wydostaliśmy się na rynek. Jedna kompanja już wycofała się. Uciekamy w popłochu. Za nami szaleje, syczy, piszczy, jęczy, woła! Morze ognia, górą białe, dymiące, dołem czerwone, smrodliwe.

Za późno! Stało się. Musimy iść naprzód, nie wolno ustawać, nie wolno cofać się.

Przekroczyliśmy Rubikon. Patrzy na nas cesarz, patrzą nasze matki i ojcowie i całe Niemcy w nas wierzą.

Sądzić nas będzie opinia świata. Ale to nic.

Światem dla nas Niemcy. A świat dla Niemiec. Na nasz czyn czeka cesarz. My, synowie wierni, obywatele prawi, kość z kości Niemcy i krew z krwi germanowie.

Pragnęliśmy inaczej. Inaczej się stało.

W pierwszym dniu krew, mord i pożoga. A może tak miało być? Zapisane w księgach losu, wypełniło się?

Koleiną codopiero przejeżdżających armat, śladami naszych stóp, rozpylone w kurzu przydrożnym wlecze się za nami przekleństwo.

Rozlega się cicha skarga, jęk rozbitego dziecka, mamrotanie mordowanej staruszki, silna duma konających mężczyzn, żałosny, przeraźliwy krzyk młodych kobiet...

Ilu z nich ojców pójdzie w świat bez nóg, bez rąk?

Czem, kobiety - matki karmić będą dzieci, germański płód, skoro obcięto im piersi?

Gdzie udadzą się ze skargą? Kto wysłucha zgębionych i porzuconych?

Okrutna wojna, wyścig demonów, kłębowski rozpasanego instynktu krwiożerczych wampirów.

Ludzie z ludźmi spotykają się, a są dla siebie wilkami.

Dłoń przyjaźnie podaną liże się szorstkim językiem tygrysicy, do krwi.

A potem jeszcze raz kula, krew, grób i wieczny spoczynek.

Bohaterzy!

A my?

Zwycięzcy, ozdobni w ordery walecznych, przybrani krzyżami zasługi. My, wyznawcy wojny i dawcy jej ofiar.

My bohaterzy!

Tych poległych i zabitych — przeciwnicy.

Rozłączyła nas wojna. Rozdzielił patos politycznych
pożądań. Aleśmy dzieci jednego Boga, z tej samej
ulepieni gliny.

Jedno w nas życie. Takie samo u wielkich i u ma-
luczkich, u zwycięzców i zwyciężonych.

Jedno, szare, przyziemne... jeno lśniące raz barw-
niej kolorami tęczy, albo odbite promieniami słońca
w kałuży błota.

Ale zawsze, oddawna, po wsze wieki jedno, jedy-
ne, to samo życie.

Odmierzone na lata, godziny, minuty; zawarte w se-
kundach... a wobec wieczności znikome.

Jeden, niedostrzegalny błysk, świetlik migocący —
to życie. Dawcą i panem?

Wszchemocny!

Ojcowie i matki?

Słabe narzędzie w ręku Boga. Rodzą, sami spło-
dzeni i zrodzeni.

Żywią, sami karmieni.

Ich życie?

Życiem ojców, i matek, i dziadów. I to od wieków,
zawsze to samo jedno, jedno tylko krótkie życie.

Wojna?

Krwawe wystąpienia przeciw prawdzie życia, bunt
wobec Wielkiego. Postawienie ciężkiej stopy na pulsie
życia, zatamowanie biegu krwi, bicia serca.

Śmierć!

Tym, których wojna nie zrodziła.

Na ich miejsce przyjdą nowi, z krwi zwycięzców
spłodzeni.

Zaludnią się opuszczone ziemie, z ruin powstaną
zburzone miasta.

Nadejdzie okres rozkwitu, chwały i radości życia.

Zapomnienie o przeszłości, pogrzebanie „wczoraj”,
troska o byt, o codzienny chleb.

— — — — —

Jak na żołnierza jego cesarskiej mości, ładne refleksje; wcale, wcale...

I pomyśleć, że takie komunały wypisuję ja, Rudolf K..., starszy szeregowiec drugiego plutonu III kompanji 155 pułku piechoty. Przed wojną nauczyciel gimnazjalny, lat 26, wcielony nie wiem poco i zaco w szeregi armji?!

Właściwie, jeżeli już mowa o przeszłości, powinienem być jakim leutnantem, ale... otóż to ale... było to w 20 roku życia... Stąd jestem, jak i Hans, tylko szeregowcem.

Koledzy złośliwie spoglądają na nas; ale co tam, furda opinja kolegów. .Wszyscy jesteśmy mniejwięcej w jednym wieku, młodzi, zdrowi, czerstwi, no i żyliśmy się jakoś. Hoch Kameraden! Na bój i zwycięstwo, zawsze razem, nierozłączalni.

Tak jak ongi w koszarach.

Razem na zbiórki, spojeni węzłami jednego rozkazu, szorowaniem tych samych garnków, przyjaciółkami żołnierza: pocziwami wszami... złączeni wspólnością kochanek...

Nie rozstajemy się nigdy. Idziemy wszyscy. Cieszymy się radością jednego i płaczemy za wszystkich.

I latryna nas nie rozdziela.

Taki los żołnierza od wieków, od czasów greckich, rzymskich, z długiego średniowiecza. Taki sam i teraz.

Los bohaterów-żołnierzy.

Jak w koszarach.

Tylko, że w godzinach wieczornego spoczynku mniej mówimy.

Stało coś pomiędzy nami!

Złączeni jednym szeregiem, cuchnącą słomą wspólnego legowiska, przytulamy się jeden do drugiego, jakby w obawie, że dziś ostatni raz... że jutro już będzie inaczej.

Nie będzie mnie, ciebie towarzyszu...

Będiesz leżał gdzieś w parku, pod drzewem, na śmierzdzącym podwórku żydowskim, pod murem, z gło-

wą rozbitą, piersią przestrzeloną... będziesz sobie bracie przez mgłę śmierci patrzeć na błękit nieba, ale nie dojrzysz już gwiazd błyskotliwych, nie usłyszysz trąbki alarmowej, płaczącej grającej do odwrotu... i nie będziesz słyszał głosu naszego, twoich wiernych nie ujrzysz więcej kompanów.

Tak druhu dziś wierny i serdeczny!

Jutro możesz być sam, opuszczony, zmasakrowany, jak ci, których — widziałeś? — mijaliśmy dziś w południe.

Stłoczeni, zbici, zakrwawieni, leżeli na jednym stole, na środku ulicy.

Pamiętasz? Musieliśmy obchodzić ich z boku. Było chyba ich ze dwadzieścia.

Głową na dół. Ręce pomieszane wybiegały, wiadomo do którego trupa należące... gdzieś pomiędzy nogami rozbitego dzieciaka wysuwały się długie, zlepięte krwią włosy kobiet... wdół opadłe suknie kobiece ukazywały gołe, grube nogi...

A wszystko splątane, zjuszzone, obrzydłe i... i... pokazywałeś towarzysz — sam pokazywałeś palcem... ta głowa odcięta, z szeroko rozwartymi oczyma... ustawiona na wierzchu... wyglądała, jakby człowiek żywy stał w środku śmierzących trupów, obłożony niemi po szyję...

A to była tylko głowa, krwawą, przeciętą szyją osadzona na śmiertelnem wzgórzu.

Dziś oni — jutro my!

Tak samo cuchnący, obrzydliwi, bez życia!

Policz swoje palce, zapamiętaj ręce i nogi, i wszystkim policz ruchome członki twojego ciała, abyś ich potem na wspólnym stosie nie zagubił, bo nie odnajdziesz cię matka staruszka, nie doszuka kochanka płacząca — przyjaciel serdeczny.

Wystaw pierś swoją szeroką — mężnie! Niech towarzysze widzą — jak giniesz od złowrogiej kuli, padasz na ziemię.

Podniosą, pocieszą, zamkną ci oczy i w jednym pochowają grobie...

Inaczej biada mnie, tobie, wam wszystkim towarzysze i dowódcy! Nie zginiesz na placu boju, dosięgnie cię zdradziecka kula wówczas, gdy przywarujesz na chwilę, na moment.

Zgnie cię niespodziewanie wrogi nóż, gdy sam, o krok od towarzyszy zabłąkasz się na obce śmieci, w cudze podwórko...

Nie wrócisz, nie przyjdiesz!

Zaginie o tobie wieść wszelka, nie pozostanie ślad.

Zagrzebany w gnojowisku, wtłoczony w ciemne lochy ustępów, zuchniesz, zgnijesz, bez echa, bez głosu... i pozostanie po tobie żal, wspomnienie...

Ale, wybaczyć jedyny, nie na długo.

Patrz, my mężczyźni, musimy iść naprzód.

Zakrwawiony rękaw otrze łzę serdeczną. Nie zostanie po tobie nic.

Słowa twojej pamięci zginą w okrzyku atakowego marszu: niech żyje król i ojczyzna — zagłuszą myśl o tobie.

Ty jesteś pył i kropla.

Niech płacze matka. Chce, stęskniona kochanka. Ale wierz, i ona zapomni; ukoi ból w ramionach naszych... jest żyjąca!

Pozostanie ci jedna matka, staruszka siwiuteńka.

Wybacz towarzysz.

My idziemy naprzód, nie mamy czasu.

Zegnaj bracie kochany, druhu miły!

Idziemy...

Mieszkańcy miasta nie mogą nas zrozumieć. Nie mogą pojąć naszych dobrych intencji, wczuć się w nowe położenie.

Taki stan wytwarza wzajemne nieporozumienie, zaożnża dotychczasowe warunki, przesuwa punkt ciężkości sytuacji i zmusza nas, zwycięzców, do stosowania metod wojennych.

Trudno. A mogliby przyjąć przecież nasze nad ni-

mi panowanie. Sądzę, że wówczas podniósłby się stan posiadania, zmieniłby się charakter całego miasta.

Novus rex, nova lex!

A tam, gdzie stanie stopa naszego cesarza, wyrastają nowe prawa, nowe obyczaje, dźwiga się cywilizacja i kultura.

Ale cóż poradzić: mieszkańcy Kalisza albo są zbyt dumni, albo też ciemni. W naszym mniemaniu, ostatnie określenie bardziej przemawia za nimi i tłumaczy ich.

Może też są dumni i nie chcą chylić karku pod nowe jarzmo?

Milczeniem i tą hardą uległością utwierdzają w nas przekonanie, że to jednak oni dali hasło do pierwszej krwawej masakry na ulicach miasta. Potem przychodzą z butnymi pretensjami, powołując się na przestarzałe konwencje genewsko-międzynarodowe...

Odwołują się do humanitarności ogólnie - państwowej i roszczą sobie pretensje, dziwne pretensje...

Ciekawi ludzi!

Nie można ich przekonać, że my jesteśmy tylko częścią, awangardą potężnej, miljonowej armii cesarskiej, która lada dzień zaleje ich kraj nadwiślański.

Przyszliśmy do nich, ażeby „faire l'histoire“, zmienić ukartowanie polityczne Europy. Nam bowiem słuszenie należy się większy obszar ziemi.

Dążymy ekspansywnie naprzód, wyprzedzamy ludzkość w mechanice, technice, w życiu.

Trzeba nam powietrza do szerokiego rozpędu, który na nowe tory popchnie całą ludzkość...

A ludzkość, dziwna ludzkość, obojętnie patrzy na nasz rozmach polityczny, liczy nasze kroki wprzód i... buduje schrony obronne.

Chaos w pojęciach, niezrozumienie celu, brak uświadomienia ducha czasu.

Spodziewaliśmy się przyjęcia gorącego, serdecznego.

Uniosło się wprawdzie w górę kilka czapek, kilka mdłych hurra wydobyło się z opadłych i obrzydliwych piersi żydowic kaliskich... a poza tem najzupełniejsza obo-

jętność, a przynajmniej udatne maskowanie tej obojętności.

Więc tak przyjęto nie wrogów, ale nas, poświęcających się dla ludzi zgnuśniałych w azjatycko-rosyjskiej ciemnocie?

I ta pewność siebie! Ta piekielna zarozumiałość!

U Preuskera byli dziś księża katoliccy z prośbą, dumną prośbą, o pozwolenie grzebania poległych.

Na! Halunker!

Czy to nie szczyt „einer dummer Frechheit”? Jeszcze może długi kondukt żałobny, wielu księży, przemówienia, przypominanie cnót przodków, nawoływanie do wytrwania w miłości ojczyzny...

Na! Jakiej ojczyzny? Co oni mówić będą o ojczyźnie?

Vaterland to my, dla nas samych i dla nich, a nie żadna uciemniona ojczyzna.

I jeszcze może salwa na cześć zmarłych?

— Nein, meine Herren, so dobrze nie jest. Precz z oczu, bo natychmiast każę was rozstrzelać.

— Żadnych pociech religijnych, żadnych requiem! To czuć spiskowaniem.

— Ja! Prawa majowe! Kulturkampf!

— Precz!

Zrozumiałe było dla nas uniesienie Preuskera.

Nie, żeby zdobyć się na coś podobnego, jak ci księża! Przechodzi granicę ludzkiej wyobraźni.

W środę, 5 sierpnia udał się jeden z poważnych kupców miejscowych do Preuskera, legitymując się paszportem niemieckim, z prośbą o ochronę swego składu broni przed rabunkiem.

Otrzymał poświadczenie ze słowami:

„Niech pan to wszystko zaraz zapakuje i w skrzyaniach ukryje w piwnicy“.

Po południu tego dnia stwierdzono, że okoliczni ziemianie znoszą potajemnie do tego składu posiadaną broń.

Drugiego dnia wyszedł rozkaz od Preuskera, naka-

zujący, pod grozą rozstrzelania, wydanie wszelkiej posiadanej broni.

Kupiec w porę uciekł. Broń schował.

W kilka dni później pełniłem straż z kolegą przed ratuszem.

Przyszła do nas jakaś pani z dwiema dziewczynami, służącymi pewnie.

Wszystkie trzy trzymały ręce podniesione w górę. Pani owa, trzymając w ręce paszport niemiecki, zwróciła się do nas z prośbą o zaprowadzenie do komendanta. Mówiła po niemiecku.

Mieliśmy, według rozkazu, karabiny wymierzone.

Odpowiedział jej kolega ostro, że komendant nie ma czasu na pogawędki z paniami. Ku naszemu zdziwieniu, roześmiała się swobodnie i odezwała się do mojego towarzysza:

„A! po akcencie poznaję, że pan jest Saksończykiem“,

Rzeczywiście, pochodzi z Plauen w Saksonji. Ona знаła to miasto. Była w nim przed wojną. To wystarczyło.

Tę, niejako towarzyską rozmowę, przerwało nadejście oficera i dwóch z nim idących żołnierzy z workami. Oficer chodził od składu do składu, zaglądał przez wybite drzwi. Gdzie było co ciekawszego, wysyłał żołnierzy. Worki napelniały się. Po chwili nadszedł kilku wyższych oficerów konno. Wspaniałe konie, onegdaj zabrane ze stajni wyjazdowej okolicznego majątku, szły niespokojnie, tańcząc w lansadach i podskokach na dwóch nogach.

Dowódca ostrym kłusem podjechał do trzech kobiet, rozmawiających z nami. Pani wyciągnęła rękę, pokazując paszport niemiecki. Machnął lekceważąco ręką, kierując konia wprost na nią. Podeszła śmiało do konia, poklepała go odważnie po lśniącem karku; uspokoił się, rzucając łbem i niecierpliwie gryząc wędzidła.

Ta odwaga kobiety udobruchała dowódcę. Wysłuchał życzenia. Prosiła, ażeby jej pozwolił ratować to-

wary ze sklepu. Wskazała mu swój dom. Obok niego, po obu stronach, budynki już płonęły.

Porozmawiał z nią grzecznie, zapewniając, że jej dom nie ulegnie zniszczeniu. Polecił przytem, ażeby natychmiast sprowadziła się z przedmieścia do tego domu, zaopatrzyła się w prowiant, bo przyjdzie wojsko niemieckie; otrzyma kilku oficerów na kwaterę.

Może być zupełnie spokojną. To, co się pali:

„dass alles haben die Russen gebrannt“.

Odpowiedziała, że nie wie kto spalił, bo nie widziała. To jedno jest wszakże pewne, że gdyby Kalisz nie palił się, wojska niemieckie doznałyby jak najlepszego przyjęcia.

Dowódca, wypytawszy szczegółowo, który to dom jest jej, przyrzekł raz jeszcze, że może być zupełnie spokojną. Pod ochroną nocy pomoże jej ratować nasze wojsko.

Świsnąwszy ostro szpicrutą, pojechał z drugimi, rzucając jeszcze słowa: „Nasze wojsko i tak musi doznać jak najżyczliwszego przyjęcia!“

Wszyscy oficerowie mieli zasłonięte kaski; numery pułków na epoletach były poodrywane, u niektórych zakryte. Na naszych czapkach poodwracaliśmy numery.

Taki wyszedł rozkaz po pierwszym wystrzale w Kaliszu.

Wieczorem tego samego dnia umieszczono w sieni tego domu kilka snopków słomy. Mieszkańcy cieszyli się, w przekonaniu, że na tej słomie czuwać będą żołnierze.

W nocy rzucono w sień domu krótkie:

„Rette sich, wer kann“

Potem w sień i okna pierwszego piętra puszcza z materiałem wybuchowym!... ogień w mgnieniu oka obejmował cały parter i pierwsze piętro.

Metoda ułatwiona po pierwszych, nieprzyjemnych próbach podpalania domów wewnątrz przez poszczególnych żołnierzy!

Kobiety z rozpuszczonemi włosami, w koszulach uciekały już przez płomienie ognia, szalejącego w klat-

ce schodowej. Płonące, napół nagie, z dziećmi na rękach, uciekały jak szalone. Towarzyszył im świst kul.

Wykurzono je z ciepłych łóżek o północy. Spały spokojnie, zabezpieczone słowem oficera, który w tym samym czasie drzemał na twardej kulbace, w otwartym polu, wśród deszczu i przejmującego wiatru.

— — — — —

Przed jednym ze spalonych domów na wiadrze siedziała młoda kobieta. Otrzymała od komendanta pozwolenie na wywiezienie ukrytego w piwnicach towaru. Kilka dziewczyn wynosiło z lochów wspaniałą broń, starannie poowijaną, wysmarowaną. Niektóre sztuki uległy zniszczeniu wskutek gorąca szerzącego się ognia.

Obok, w sąsiedniej uliczce, siedzieli oficerowie na krzesłach, wyniesionych na ulicę. Z piwnic hotelów wynoszono wyborne tiunki. Uderzeniem o kamień odrącano szyjkę; jeden, dwa łyki i butelkę wyrzucano. Najlepsze koniaki, wyborowe wódki dosłownie płynęły rynsztokiem. W powietrzu unosił się zapach koniaku.

Jeden z oficerów dostrzegł siedzącą kobietę. Podszedł z dwoma innymi, prosząc o gwoździe. Wskazała mu ręką podwórze spalonego domu, mówiąc, że tam jest gwoździ b. wiele.

Bez słowa zaszedł od tyłu, przyłożył jej lufę rewolweru do pleców. Wstała, musiała ich zaprowadzić. Obawiali się zasadzki.

Na szczęście, gwoździe znaleziono. Przy wychodzeniu z podwórza oficer znowu szedł za nią, opierając lufę rewolwerową o jej plecy. Gdy doszli do bramy wyjściowej, podniósł rewolwer w górę i nad jej uchem wystrzelił w powietrze. Paszport niemiecki uratował ją od śmierci.

Wszyscy trzej oficerowie własnoręcznie deskami zabijali wejście do piwnicy, skąd sięgano broń.

Tej pani zabrano jeszcze 120.000 rubli w złocie.

Dobrze były ukryte! Życie jej darowano. Polskie jej nazwisko dowodziło, że była obywatelką rosyjską!

Za to spalono dom, chociaż obok zostało kilka całych, te jednak należały do Niemców!

— — — — —

Zachowanie mieszkańców było w stosunku do nas obrażające. Klękali przed każdym kościołem, jakby tam na nich czekało zbawienie.

Zamiast nas przyjąć, ugościć, ciągle nas prowokowali. Swojem zachowaniem wzbudzali niepotrzebny niepokój. Stąd ta niepewność naszego pobytu w mieście, stąd ciągle alarmy, marsze, napady. Ustawiczne przetrzucanie denerwowało żołnierza w najwyższym stopniu. Nic więc dziwnego, że żołnierz za każdorazowym powrotem do miasta mścił się za te ciche „obelgi“, że najpierw palił, a potem kradł.

W pierwszym dniu wydano nam kartki, za które kupcy kaliscy zobowiązani byli wydawać żywność. Pieńędzy przecież na prowadzenie wojny w nieprzyjacielskim kraju nie mieliśmy. Żołnierz musiał chodzić do sklepów z kartkami, które komendantura miała potem pokrywać.

Kupcy odmówili wydawania towarów.

A więc znowu prowokacja!...

W ustawicznym podnieceniu, w ciągłym oczekiwaniu na moskali, nie mieliśmy żywności, patrząc na nią wystawioną poza oknami.

Wprawdzie uboga ludność odniosła się do nas bardziej przychylnie. Nawet niektórzy zamożni kupcy miejscowi cieszyli się z naszego przybycia, wyrażając głośno nadzieję, że pod rządami naszej kultury i cywilizacji ulice Kalisza wyglądać będą jak lustro.

Tak, ale, gdy chodziło o dostarczanie żywności na kartki, odmówili.

Potem, gdy na jakimś rynku ogłoszono rano, kilka minut przed godziną 5-tą, że punktualnie do godziny 5-ej wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy mają opuścić domy, że wszystkich czterech stron rynku rozległa się gwałtowna strzelanina z ukrytych karabinów maszynowych.

Na dwóch rogach rynku strzelali nasi. Przez kogo były obsadzone dwa drugie? Gdzie i czyje ukryte były karabiny maszynowe?

Wprawdzie po kilku godzinach dopiero wykazało się, że to ze wszystkich stron strzela wzajemnie do siebie nasze wojsko. Ale z czyjej winy?

W naszym i naszych dowódców mniemaniu — wyłączną bezwzględnie ponosili mieszkańcy.

To też żołnierz szedł do nich z uprzedzeniem.

Szedł sam brać.

W chaosie pierwszych niespokojnych dni płynęły ulicą długie furgony, zaprzężone w najlepsze konie wyjazdowe.

Żołnierze wbiegali do sklepów po żywność, w nerwowym pośpiechu zabierając wszystko, co wpadało pod rękę.

Szedł żołnierz z miednicą w ręce, w drugiej karabin, na nim bochenek chleba, na ramionach zarzucone wspaniałe futro. Inny na kasku nocne naczynie, na ramionach damską bieliznę, w ręce pustą, zwyczajną walizę. Bez ceny, bez wartości.

Żołnierz brał, aby brać.

Dopiero później odbywało się planowe oczyszczanie domów. Zabierano dosłownie wszystko, nie pozostawiając nawet metalowych okuć. We wnętrzach spalonych domów wisiały prawie w powietrzu piece, balkony, belki, pręty żelazne, gdzieś na 3-ciem piętrze w kącie zachował się garnitur umywalni. Wszystko rewidowano skrupulatnie, badano, szukano, biorąc to, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Za prowokację, za cichy bunt!

Za krew zaginionych towarzyszy!

Według rozkazu!

A w ojczyźnie o nas śpiewano:

„Ihr färbet gern mit Eurem Blut den Sand
Für Eurem Kaiser und für Vaterland“.

W Kaliszu przelewaliśmy krew.

Zaczął się palić jeden z kościołów kaliskich.

Podobno kula armatnia zerwała belkowanie i wkrótce kościół zaczął płonąć.

Kościół, dom Boży. No tak, ale ostatecznie my nie bierzemy za to odpowiedzialności. Nikt nie podpalił z rozmysłem. Nikt nie podminował, tylko kula...

Jeden Bóg może wiedzieć... człowiek tylko strzela.

Akcję ratunkową utrudniała gęsta strzelanina z dział.

Podobno kilka kul armatnich spadło na podwórze szpitala Czerwonego Krzyża.

I znowu o to awantura.

Naczelny lekarz szpitala wystąpił do Preuskera z żądaniem na naszych artylerzystów.

Jak zawsze u tych mieszkańców, tak i teraz wielkie powoływanie się na względy humanitarne, na konwencje itd., twierdzenie, że kule działowe dziwnie tylko w biały dzień trafiają w szpital, a w nocy omijają go.

Bardzo dwuznaczne powiedzenie.

Co jest względne? Na wojnie?

Dla nas jasne było, że artylerja strzelając, nie mogła wiedzieć o położeniu szpitala.

Chorągiew Czerwonego Krzyża?

I na ratuszu też wisiała chorągiew czarnego orła, a jednak...

Któż może na odległość strzału armatniego rozpoznać, czy wogóle dojrzeć wiszącą gdzieś chorągiew, którą zasłaniają inne budowle?

A opowiadanie, że kule tylko w dzień trafiają, a w nocy nie?

Strzelaj pan, panie lekarz, w nocy do zajęcia!!!

Przypadek, prosty traf, nie?

I konwencja genewska!

Tu miasto, Grenzstadt Kalisz!

Genewa?

Daleko w Szwajcarii!

Humanitarność? Co to jest humanitarność, my wam to wytłumaczymy, poczekajcie!

U was to są puste słowa, pod którymi kryją się

uczucia synowskiego przywiązania do smutnej tradycji waszych królów, waszej ojczyzny.

Są to knowania spiskowca, w lochach, w norach, byle nie przy świetle dziennem.

Przejrzelśmy wasze zakusy, wasze zamiary.

Point de rêveries!

Cały personel lekarsko - szpitalny wyprowadzono z gmachu szpitalnego. Ustawiono pod murem do rozstrzału. Porucznik dał znak i wówczas stało się coś, czego nie oczekiwał ani on sam, ani skazani, czego cała armja niemiecka, jak długo pozostanie armją cesarską, wstydzić się musi, okryta niezmazaną hańbą:

Żołnierze odmówili posłuszeństwa.

Okropne!

Tak spokojnie, bez krzyków, bez próśb, opuścili karabiny.

Co się stało? kiedy umówili się? Nikt nic nie wie.

Nie strzelali! Do wroga! W kraju nieprzyjacielskim!

Nie strzelali, bo, głupie żarty, zobaczyli przepaski Czerwonego Krzyża na rękawach skazanych.

Oficer, zdumiony, przecierał oczy, nie mógł zrozumieć, pojąć. Jakto? Karny, wyćwiczony żołnierz niemiecki, jego poddany?

Tak wielkie było jego zdumienie, że, zamiast podbiec do pierwszego żołnierza z brzegu z rewolwerem i jak psa zastrzelić, kazał przeprowadzić ścisłą rewizję w szpitalu, grożąc personelowi, że w razie pozytywnego rezultatu rewizji, i opaski Czerwonego Krzyża nic nie pomogą.

Nic nie znaleziono.

W szpitalu leżało kilku naszych, ranionych w pierwszym dniu zajęcia Kalisza.

Oficer klnąc, zwolnił uwięzionych, a sam wycofał się ze swoim oddziałem za miasto.

Nie miał odwagi strzelić sobie w łeb. Nie ratował zagrożonego honoru i czci oficera pruskiego.

Hańba! Po trzykroć mu za to hańba!

Echo bowiem tego wypadku szybko rozniosło się

wśród szeregów, powtarzane, odbite w tysiącnym rozdrobnieniu, poczęło siać demoralizację.

Zło należało usunąć w zarodku, a nie pozwolić mu panoszyć się po szeregach zwyczajnych żołnierzy, poddawać je komentowaniu i rozwałkowywaniu.

Stało się źle!

W kilka godzin później tenże oficer, przejeżdżając konno na czele oddziału koło szpitala, dojrzał w otwartym oknie stojącą siostrę miłosierdzia. Błyskawicznie wyciągnął rewolwer i strzelił.

Ale, bo co też za sytuacja! Podobno ta siostra pokazywała mu język.

Niepodobno przecież przypuścić, że, stojąc w oknie, na języku szukała śladów choroby.

Co za prowokacja ze strony mieszkańców?

W kolisko szarej pospolitości wtargnął nielitościwy bóg wojny.

Rozpętał żywioły, drzemiące pod powłoką kultury i cywilizacji. Zbudził siły mocarne i wionął niemi ku ziemi zbiedzonej.

W krąg swoich zamiarów wciągnął ludzi, rzucił ich naprzeciw siebie z bronią w rękę, zawsze, od wieków, sam milczaco-uśmiechnięty.

Sfinks nieodgadnięty...

Stał zboku i patrzył.

I widział tłumy, rzucające się na siebie; dobiegał go szczęk oręża, jęk konających, bryzgała na niego krew niewinnych.

A on, bożek nieśmiertelny, stał i patrzył na krwawą zabawę swoich poddanych.

Poddani szli mężnie na poszukiwanie wroga.

Okupowali miasto raz, i drugi, i trzeci. Tyleż razy je opuszczali, by po kilku godzinach, z zapasem nowych sił, nowych planów, powrócić.

Oficer, o którym była mowa i cały jego oddział, otrzymali niespodziewanie translokację na północno-zachodni front.

A więc i tam, gdzieś w Belgji, jest wojna? I, co gorsze, front? U nas frontu niema. Bo nie można przecież za front uważać jedno graniczne miasto. Jest wróg i ten dał nam się już we znaki, ale frontu, wyraźnie rysującej się linii bojowej, jeszcze niema.

Nieraz wolelibyśmy jednak walczyć oko w oko z nieprzyjacielem, strzelać do siebie wzajemnie, widzieć się.

Taka walka, jednostronnie jawna, jaką obecnie prowadzimy, jest męcząca i nadzwyczaj denerwująca.

Wroga czujemy. Siedzi ukryty. Prowadzi z nami zaciętą kontrofensywę. Zdaje nam się nieraz, że zajmujemy pewne gmachy, których rozlokowanie świadczy o planowości walk. Wpadamy do takiego domu, przewracamy wszystko od góry do dołu raz i drugi i, zamiast spodziewanych karabinów maszynowych, zamiast bomb wybuchowych, odnajdujemy chałaciarskie żydostwo, lamentujące, wystraszone nagłą rewizją. Wroga ani śladu.

Zaczyna się zawsze od początku: strzelanina na chybił trafił, atak na jakiś dom, niby jakiś odkryty ślad i znowu wpadamy w błędne koło. Rozbijanie drzwi, krzyki, wrzaski, jęki, kilkanaście trupów, a potem cisza, która obejmuje rozwalone cielska, zburzone mieszkania, zgaszone ogniska, symbole rozbitych rodzin.

Wątek podejrzeń, tak misternie utkany i z wielkim trudem uchwycony, wysuwa się z opadających rąk i ginie w mroku niepewności.

Nie posunęliśmy się o krok naprzód. Stale wracamy do tego samego punktu wyjścia, szukamy pozoru.

Weichselmädchen.

Pewnego dnia, około godziny 11-ej wieczorem, pełniłem służbę w pobliżu parku. W mieście obowiązywał stan oblężenia. Nikomu nie wolno było wychodzić na ulicę.

Długimi krokami odmierzałem przestrzeń między mostem i parkiem. Pamiętam: mało zajmowały mnie sprawy wojenne. Pograżony w głębokiej zadumie, chodziłem trochę leniwie; głupio było tak samemu stać na straży w obcym mieście. Nie bałem się, ale jakoś byłem dziwnie niespokojny. Zdała, z biwaku żołnierskiego, dochodziły wrzaskliwe odgłosy. Raz poraz na ulicy, wiodącej do parku, przemykali się ukradkiem żołnierze, a ja, taki odosobniony, dopiero zacząłem pełnić służbę. Chodziłem coraz wolniej. Mostu miałem pilnować jeszcze całą godzinę. Kroków było najpierw 20, potem już 25, a jeszcze później jakieś 30. Snułem w myśli te spostrzeżenia, zajęty raczej obserwacją leniwie wysnuwanych wniosków, jak patrolowaniem poruczonego mostu. Przyzwyczajony do oglądania tłukących się po ulicach, pod murami, pijanych kolegów, nie zwróciłem również uwagi na grupkę zataczających się żołnierzy. Miałem rozkaz legitymowania, z prawem ewentualnego rozstrzelania wszystkich cywilów. Ci koledzy, nic mnie nie obchodzili. Przecież wczoraj ja też łąziłem napół pijany.

Wtem jednak doleciał mnie odgłos cichego stąpania od strony parku. Jakiś cień, lekko majaczący w świetle gazowej latarni, starał się przesunąć niepostrzeżenie przez most w tym czasie, gdy byłem tyłem zwrócony do parku.

Podskoczyłem z głośnem: halt! halt!

I dopiero w cieniu ulicy, przy pomocy towarzyszy, przytrzymaliśmy kobietę. Podprowadziliśmy pod latarnię. Ze zdumieniem spostrzeegliśmy, że to była młoda dziewczyna, lat najwyżej siedemnastu.

Na pytanie, co o tym czasie robi na ulicy, odpowiedziała, że idzie do domu. Wszystkie inne indagacje, a więc: skąd wraca? dokąd idzie? gdzie mieszka? były daremne.

Była żydówką. Nazywała się Majtela... nazwiska nie zdołała już wypowiedzieć, bo w tym momencie uchwyciły ją silne ręce żołdackie. Jeden ręką zatkał usta, drugi chwycił za ręce, inny za nogi i wynieśli za most, do parku. Szamotała się, rwała, szarpała, gryzła, chciała krzyczeć, ale jej któryś wpakował brudną chustkę do ust. Pozrywali suknie...

Jeszcze się szamotała, ale już pijackie gęby przylepiły się do piersi. Już ich ręce, ze zwierzęcą niechlujnością, dotykały ciała dziewczęcego. Wypreżyła się jak struna. Zdawało się, że w jednej chwili świadomość kobieca zatraciła trzeźwość człowieczą, a półświadomie zbudziła się samica, która bezwiednie poddaje się aktowi zgwałcenia. Potem nastąpiła scena, która na długi czas utkwiała mi w pamięci. Kolejno, jeden za drugim, znęcali się wszyscy, a było ich pięciu, nad bezwładnie leżącym ciałem dziewczyny. Już nie ruszała się. Leżała jak nieżywa. Raz tylko, jeden raz, poprzez wciśniętą w usta chustkę, wydarł się głuchy, rozpaczliwy okrzyk. Potem zamilkła. Zemdlała. Towarzysze rzucili ją wreszcie. Jeden z nich, z głupkowatym uśmiechem, patrząc na mnie, zawołał: „była dziewczicą“.

Zostałem sam. Zbliżała się północ. Podeszedłem do leżącego ciała, wyjąłem chustkę z ust, narzuciłem strzępy potarganych sukien na krwawiące ciało. Poruszyłem ją kilka razy, nie drgnęła; zdawało się, że nie żyje. Po długim dopiero czasie cicho westchnęła. Pochyliłem się nad nią, ująłem pod ramiona i posadziłem na ziemię. Z ramion opadły zarzucone łachmany. Dopiero

teraz, jakby ze strachem, spostrzegła, że jest prawie naga. Odruchowo, rękami napół bezwładnymi, zakryła piersi. Widziałem, jak przytomniała.

Nagły błysk świadomości: szeroko rozwarte oczy, zrozumienie strasznej rzeczywistości.

Jezus, nigdy jeszcze na mnie tak nikt nie patrzył, jak ta młoda żydówka. Było to spojrzenie kopniętego psa, wzrok zranionej samicy, której się z łona wydiera młode, gdy ona, bezsilna, leży na barłogu.

Nie było łez, ale był płacz, wielkie błaganie o miłość, mowa bez słów i jakaś prośba, straszna prośba.

Zrozumiałem. Mnie uważała za sprawcę pohańbienia. Mnie nienawidziła, jak tylko nienawidzić może szczute zwierzę. Patrzała mi długo w oczy blisko, blisko, że dreszcz mnie przebiegał. Wówczas dopiero zacząłem błyskawicznie zastanawiać się nad tem, dlaczego jej nie broniłem. W wyobraźni stanęła mi inna postać kobieca, patrzyły na mnie inne oczy, te oczy, które kochałem od dwóch lat, w których blasku zawsze widziałem siebie odbitego. I te oczy, tę twarz, tę drogą postać ujrzałem teraz, w tej chwili, złamaną, zmiętą, jak zużytą ściereę, leżącą na ziemi.

A gdy dziewczyna z trudem powstała, wlokąc jak coś ciężko nogami, spojrzała znowu na mnie, bez słowa, temi swojemi wypukłemi oczami i ociężałe pociągnęła się w kierunku rzeki, oddalonej o kilka kroków. Nie wiem, co się ze mną działo; szedłem za nią, jak zahypnotyzowany, zapatrzony w jej oczy. Wlokłem się o krok za nią, zgięty jak ona, jak ona ociężały. Ciagle, idąc nieco bokiem, widziałem jej szeroko rozwarte oczy. Na moment jeden, w świetle latarni, spojrzała na osadzony bagnet.

Była to tysięczna część sekundy; — zrozumiałem...

Na drugi dzień, w parku, około tamy, wyłowiono z Proсны ciało młodej kobiety. Na ciele były ślady zgwałcenia; z lewego boku, poniżej młodej piersi, wid-

niała szeroka rana, jakby pchnięcie bagnetem.... W zwłokach rozpoznano żydówkę Heiszrekównę Majtelę.
Przekłute było serce.

Był w naszej kompanji jeden Polak, Ignacy Matlak. Zawsze spokojny, zrównoważony, teraz dopiero, podczas okupowania Kalisza, uległ przeobrażeniu. Zmienił się. Mówił mało, chodził lekko pochylony. Zżółkł na twarzy. Obserwowałem go od kilku dni. Chodziliśmy w jednej czwórce: Hans, Ignac, Otto, i ja czwarty. Rozbijając się w mieście na mniejsze oddziały, nigdy nie rozdzielaliśmy się. Nasza czwórka była murowana.

Otrzymaliśmy rozkaz strzelania, strzelaliśmy wszyscy równo, miarowo, rytmicznie.

Raz, jeden tylko raz, spostrzegłem, że koniec lufy karabinowej Matlaka był lekko wzniesiony w górę, powyżej poziomu naszych karabinów. Strzelał spokojnie, tylko jakoś bardziej zaciskał usta; w oczach migotał błysk jakby złośliwości, czy nienawiści...

Podczas odpoczynku siedział zboku, o krok od nas. Jadł mało, zawsze zapatrzony w dole leżące miasto. Patrzył, jakby się czegoś dopatrywał w strzelistych wieżach kościołów, jakby szukał zagubionego echa swojej ojczyzny...

Długo nie mogliśmy go zrozumieć. Był przecież żołnierzem jego cesarskiej mości, był obywatelem państwa naszego, niemieckiego.

Dopiero raz w nocy, gdy, znużeni całodziennem uganianiem się po norach żydowskich, legliśmy na słomie, rozległ się w ciszy chrapliwy głos, ciężkie westchnienie człowieka konającego, suche trzaskanie słomy...

Wydało nam się, że ktoś, tuż obok nas, umiera, rżęży, przeży się w ostatnim skurczu przedśmiertnym...

Ktoś jęczał, łkał... ktoś szeptał: „Nie można, Boże, nie można tak! to moi, bracia moi...” szept zamienił się w ciche syczenie i zamilkł, wsączony w wilgotną ziemię...

Na drugi dzień, podczas rannego apelu, Ignacy Matlak otrzymał rozkaz natychmiastowego udania się do Ostrowa, do garnizonu.

Wyprężył się, zasalutował, zbladł, spojrzał szybko, przelotnie na pozostałych i odmaszerował w kierunku Skalmierzyc. Coś, jakby uśmiech, jakby westchnienie ulgi, przewinęło się przez jego usta...

Denuncjował go Otto!

Byli serdecznymi przyjaciółmi!...

Strzały karabinowe zerwały nas na równe nogi. Echo niesło ich odgłos nie z miasta, ale szło gdzieś z boku. Rozlegały się salwy nierówne, zmieszane, jakby trwożliwe.

Biegł goniec za gońcem.

Jęczał dzwonek polowego telefonu; zgromadziła się cała kompanja, nadjechał Preusker.

W sąsiedniej wiosce, położonej na wzniesieniu ponad doliną Proсны, spostrzeżono moskali.

Ruszyliśmy w pośpiechu.

Hans próbował cicho żartować:

„Na, chłopcy, teraz koniec; dostali nas. Nie żałuję jednak pobytu w mieście. Jestem dobrym żołnierzem. W trzech dniach — patrzcie — wyciągnął ku nam kolbę karabinową — widzicie? Tu, na lewo — czerwone znaczki: to kobiety; młode... siedem...

„Więcej na prawo: niebieskie. Mężczyźni... zdaje się, że żydzi... pięciu! Wszyscy pewni! Kul nie liczyłem! Choćby więc i mnie teraz ubili, będę umierał spokojnie; zrobiłem swoje“.

W tej chwili jednak nikt nie miał ochoty do wisielczego humoru, do czcnych przechwałek.

Zimny dreszcz przebiegł mnie wzdłuż pleców.

Poranek był chłodny.

Szeroko, na wysokiem niebie rozwlokły się gęste chmury. Jakoś ponuro zrobiło się na świecie. Prysł czar cudownych, w słońcu roześmianych dni sierpniowych, a ziemię zaległa mgła. Lekkie jej tumany, pędzone wiatrem ku ziemi, przypominały szelest żółtych liści... cisnęły w roztesknioną głuszę powiewy szumiącego lasu, echa niedawnych chwil, wspomnienia pięknych dni, odbicie przeszłości...

W powietrzu, gdzieś nad nami, krążyło stado kraków, złowrogo kracząc. W wierzeniu ludu kruki są zwiastunami nieszczęścia. Gromadami opadały na ziemię, jakby instynktownie wietrząc padlinę...

Nad nami, wysoko nad nami, w sferach ponadgłównych, los gotował niespodziankę. Odbывała się narada sił złowrogich, burza nieszczęścia ściągała swoje siły... w rozedrganym eterze zawisło pytanie:

Kto pierwszy?

Na dalekich horyzontach niebios rysował się kontur krwawych zmagai, zaczątek pierwszego okresu wojny i ostatni rozdział naszego bytu.

Dochodziły echa dalekich drgnień milionów serc... wołał zew ziemi...

W ciszy oczekiwania tłumili się głębokie westchnienia...

Tylko zdala, poprzez mgłę, dochodziły odgłosy spokojnego życia. To ciche, w odległej wiosce psów szczekanie, przerywane, krótkie, to, w mglistą dal rannego wschodu wymykające się „ho hej” pastusze i wreszcie ten niespokojnie długi chaos beczenia krów, wychodzących gdzieś na skąpe ugory i rżyska, zwykle srebrnolśniące babskiem latem, a dziś niewidoczne, ponuro zapadały w duszę, budząc radość oczekiwania czegoś niespodziewanego, wynurzając z otchłani przeszłości wspomnienia przeżyte. Jakiś niepokój, dziwna tęsknota, tak tkliwie, szarpiąco powoli, jak fale leniwie toczącej się rzeki, obejmowały umysł i nużyły zmysły.

Mgła gęsta, niby poły olbrzymiej szaty, zaczęła falować, tu i ówdzie wyginając się, jakby w poszukiwaniu przedmiotów, godnych królewskiego zaiste okrycia.

Pod jej ciężarem chyliła się skromna postać człowieka, w niemem zamarła pytaniu:

Czemu?

Bo człowiek zrozumieć nie chciał prostej prawdy przyrody. Pod wątlym czerepem gorzał bunt. Wśród gruźlicznych uwięzione płuc, tłukło się serce, stargane wyuzdaną rozkoszą, rozdarte miłosnem ogłupieniem, a teraz śmieszne wobec grozy niepewności...

Usadowiliśmy się na wzgórzu, ukryci za porozrywanymi płotami kilku gospodarstw. Z za węgła pochyłonej stodoły spoglądałem na odległą dolinę rzeki. Gęsta mgła, unosząca się nad wodą, przesłaniała widok.

Zagrały karabiny maszynowe; urwały nagle. Słychać było świst — potem cisza — oczekiwanie. I znowu trajkotanie maszynówek, przeciągły gwizd kul, a potem znowu przerażająca cisza.

Wysłane czujki i patrole dotarły do rzeki, a, nie mogąc jej wbród przebyć, cofnęły się, przynosząc wiadomość, że za rzeką słychać jakieś odgłosy, rozmowę, nawoływanie: hej, hej! jakby szczęk broni...

Rozkaz: ognia! Raz, drugi i trzeci! I znowu raz, i drugi i trzeci!

Posypały się kule w białą dal, zniknęły we mgle, za wodą, świszcząc ostro gdzieś, daleko...

Cała kompanja strzelała.

O ataku nie mogło być mowy. Przed nami rzeka, nieznane brody, za rzeką moskal.

Upewniły nas o tem strzały. Szły gdzieś od lewej, raz z boku, to znowuż nad nami. Górowały, nie sięgając nas.

Pozostaliśmy na wzgórzu, nie ruszając się z miejsca. Cofać się nie wolno. Iść naprzód nie było celu.

Przed nami wdół opadała szeroka dolina, idealna płaszczyna traw, bez żadnych wzniesień i naturalnych schronów.

Oczekiwanie jest denerwujące. Człowiek stoi w obliczu wroga, ale tego wroga nie widzi. Przeraża nas to wyglądanie i szukanie go. Nad nami wschodzące słońce, wdole gęsta mgła, rozfalowana, błyskotliwie migocąca, chyląca się ku ziemi, to wznosząca się gęstemi słupami w górę, zawsze nieprzenikliwa, drżąca.

Jesteśmy jak chore dziecko, które w majaczeniu ogląda potworne widziadła, wytwory rozgorączkowanej wyobraźni, fantasmagorie rozpalonego umysłu.

Stoimy nad głęboką, przepastną szczeliną, pełną tajemnic, cichą i głuchą, ciemną i bezdenną. Nad wąwozem śmierci!

Wydaje mi się w tej chwili, że stoję wobec czegoś, co już kiedyś dawniej widziałem; znałem, zdumiony, każdy szczegół.

Kiedyś, dawno, dawno temu, w latach chłopięcych, w młodości, sen miałem taki:

Byłem wodzem tysiąca żołnierzy. Szliśmy na wroga. Na granicy naszych państw była przepaść wąska, głęboka, oddzielająca dwa kraje, dwa odrębne narody.

Oparty o krawędź tuż nad przepaścią, stałem jakby w loży teatralnej. Naprzeciw, o stóp kilkanaście, w tej samej pozycji był wódz wojska nieprzyjacielskiego. Na dane hasło obaj wyciągnęliśmy szpady. skrzyżowali końcami ponad przepaścią.

To było powitanie.

Szpady, rzucone wdół, trzaskały, obijając się o wystające głazy przepastne, a my, wodzowie, sięgaliśmy po siebie rękami.

Zwycięzcą miał ten być, który wroga swojego wrzuci w głęboką przepaść. Dwa tysiące naszych wojsk przyglądało się w milczeniu tym zapasom.

Ręce wyciągały się coraz więcej. Chwyciliśmy się za ramiona, potem za szyję, za włosy... ręce stawały się dłuższe, wychodziły ze stawów.

Zadrżała mi noga. Trwożliwa myśl o klęsce przebiegła. Twarde uderzenie o kamień, a potem szaleńczy pęd wdół, niżej, w przepaść... zbudził się błysk świadomości...

Obudziłem się drżący, spocony, leżałem na ziemi!

Wiem, to była ta łąka przepastna, nad którą dziś stoimy, rzeka niedostrzegalna, granica dwóch mocarstw.

Widziałem już. To też oglądam się i z uśmiechem spostrzegam dawno znajome szczegóły. Chaty i stodoła, i ta sama, jak wówczas, niezgłębiona biała mgła...

Krwawa rozgrywka na śmierć i życie, zwycięstwo albo klęska.

I znany dreszcz nogi, stopy, gwałtem odrywanej od ziemi...

Br. br. — febra mną trzęsie, niezdolne zimno, wiozące zdołu od rzeki.

Mgła nagle pochyliła się; przypadła na moment, otworzyła widok na przeciwległe wzgórze i zwarła się, podniosła. Ale był moment jeden, krótki... dojrzelismy!

Jest. Napewno jest. Blisko, naprzeciwko. Zmajały ciemne punkty, poruszały się, zbiegały długie z pochyłości pagórka. Przez szeregi, poprzez szczeliny płotów, wzdłuż chlewów i obór przeleciał dreszcz, kurzowy szep:

Nieprzyjacieli.

Ostatnie przygotowania. Poprawianie pozycji. Szczęk karabinów. Otwieranie torb z kulami.

Wystrzał w kierunku pewnym. Każdy mierzył. Cisza, oczekiwanie niecierpliwe.

Wysoko na niebie ukazało się słońce. Parzy w plecy.

W czwórce leżymy w ogrodzie, wyciągnięci za płotem. Ciśnie plecak, pali słońce, a tam, przed nami znowu nic, cisza, żadnej odpowiedzi, żadnego strzału.

Męczy nas ten spokój wroga. Straciliśmy podobno łączność. Tyły niezabezpieczone. Z jednej strony miasto, przed nami nieprzyjaciel, my na wysuniętym cyplu wzgórza, wierzchołku trójkąta, którego bazę stanowią Skalmierzyce i dalej Ostrów.

A mgła nie opada. Męczymy się coraz więcej, niepewni, czy nieprzyjacieli nie zachodzi nas od tyłu.

Czekamy milcząco, ale każdy drży w głębi serca. Rozkaz! Uwaga!

Mgła rozchodzi się. Jeszcze faluje i opada, ale znika coraz bardziej. Wylaniają się przeciwległe wzgórza; przebiegamy niespokojnie oczami, szukamy, patrzymy niżej, ukazuje się zielona płaszczyna. Cofamy spojrzenie za mgłę, uchodzącą wdół.

Jest... nad rzeką... jest!

Salwa! Dym, świst kul i znowu strzały.

Dosyć. Dym opada. Za nami rozlega się głębokie sapanie; oglądamy się niespokojnie; z za drzewa, z lornetką w ręku, wylania się porucznik. Wściekłe psia-krew — przeciągnięte, naładowane gniewem, złością i zrozumieniem głupiej sytuacji:

Przed nami pasie się spokojnie stado krów...

Kilka leży, inne poruszają się kołysząco. Ludzi ani śladu.

Wracają patrole. Nieprzyjaciela niema. Pięć krów zabitych, kilka rannych, inne pasą się spokojnie.

Furja, szal, opętał komendanta. Rzuca się, klnie, wrzeszczy. Wreszcie z desperacją wysyła adjutanta z raportem do Preuskera. Zbiegamy w dolinę. Hans śmieje się pod wąsem, mruczy, wyciąga gruby, niebieski ołówek, i na kolbie robi dwa znaczki...

Trochę nam głupio. Nie wiemy: śmiać się, czy kłąć. Zbiegamy z pagórka; dobiegamy do rzeki. Płytką; przechodzimy, zanurzeni po pasy, z karabinami wzniesionymi nad głową. Zatrzymujemy się na chwilę przy stadzie krów. Któryś z kolegów żga pałaszem ranną, inny wali kolbą; Hans cieszy się na myśl o smacznej wołowinie...

Idziemy dalej, zmoczeni, ale już raźniej, łąką, miękko zapadając ciężkimi butami w chyłą się trawę. Wspinamy się na zbocze doliny i biegiem dopadamy szerokich zabudowań folwarcznych. Ludzi nie widać. Pałac

pusty. Przebiegamy pokoje, nikogo, żywej duszy. Łączymy się z drugimi na podwórzu. W pośpiechu przeglądamy chlewy, obory, stajnie i wybiegamy znowu na podwórze.

Jest. Skurczony, blady, trzęsie się od strachu. Mamrocze coś niewyraźnie; pokazuje na migi. Znalazł go Hans; on naturalnie wszystko wyszpera. Wyciągnął go za gołe nogi z pod koryta owczarni.

Zrozumieliśmy tyle, że to on najprawdopodobniej wypędził rano bydło na łąkę, usłyszał strzały i uciekł. Właścicieli niema. Wyjechali wczoraj. Folwarkiem zarządza ekonom — żyd. Gdzie jest? Nie wie. Pewnie na wsi u ludzi, a może uciekł.

Składał ręce, żebrał oczami o litość. Krótka nara-da, sąd polowy, osiem strzałów! Nie wydał głosu, osunął się pod ścianę obory.

Około południa wróciliśmy na podwórze folwarczne. Nastąpił upragniony wypoczynek. Napół rozebrani, porozpinani, boso, wyciągnęliśmy się na środku podwórza, na słomie. Opodał urzędowała kuchnia polowa. Ciepły, tłusty buljon i wołowina.

Hans śmiał się głośno. Z koszulą rozpiętą, o piersi muskularnej, włochatej, opalony, wyglądał jak robotnik rolny. Wstawał, by długimi krokami podchodzić do kuchni, zamienić kilka słów z podoficerem Laubem. Rozejrzał się, spojrział raz i drugi na kociół, potem wrócił do nas: „Tak chłopcy, dziś prima żarcie, koszerne. Dobra wojna; kul nie szkoda“.

Od rana nic nie mieliśmy w ustach. Z radością też powitaliśmy oświadczenie kucharza: można.

Chłapczywie, z łakomstwem, rzuciliśny się na dzisiejszy obiad.

Poraz piewszy, od tygodnia, spokojnie, bez przeszkody. Był dobry.

Obok, pod oborą, w południowym słońcu piekł się trup pastucha.

— — — — —

Przedpołudniowa gonitwa za nieprzyjacielem nie dała żadnego wyniku. W wiosce moskali nikt nie widział. Chłopi, wzięci na spytki, wyśpiewali, że ekonom uciekł rano w kierunku Łęczycy. Sami nie poczuwali się do winy. Wszelkie poszukiwania u nich za bronią również nie dały żadnego rezultatu. Rzuciły natomiast światło na właściwy charakter mieszkańców.

Spokojni, podejrzliwi, byli przygotowani do zburzenia wsi. Chaty wyglądały dziwnie opuszczone. Przygłaskowo odkryliśmy kilka kryjówek. Za chatą, w polu, głęboki dół; w nim pierzyny, zapasy żywności i mały, żelazny piecyk, od którego rura dymna szła kilka metrów pod ziemią, zakończona na rżysku bardzo niewidocznym otworem. Dół, pokryty słomą i ziemią, posiadał wąskie wejście, którem z biedą można było się przecisnąć.

Dziwna psychika chłopca. Ciekawy przyczynek do poznania prymitywności jego rozumowania. Bał się kul armatnich w murach, a raczej w kurnych belkach swoich chałup, ale nie przewidział przysypania ziemią i zaduszenia w ciemnym dole. Siekiera, przygotowana, miała mu prawdopodobnie ułatwić wyjście na wypadek zapadnięcia się powierzchni nakrywy. Ale poco piec? Jakie miał znaczenie?

Nie mogliśmy zrozumieć.

Albo inny fakt:

W jednym z okolicznych lasów, po naszej stronie, znajduje się olbrzymi głaz narzutowy. Żołnierze, odpoczywając w lesie, zabłądzili i znaleźli się koło kamienia. Obchodzili wkoło, szukając najdogodniejszego wejścia na kamień, ażeby umieścić swoje podpisy na białej, na kamieniu znajdującej się figurze. Wtem jeden z nich spadł się. Krzyknął i w tej samej chwili zniknął pod

kamieniem. Koledzy, wystraszeni, gorączkowo nachylili się nad ciemnym otworem, nawołując towarzysza. Po krótkim czasie wysunął się, z twarzą zasypaną piaskiem, spokojnie roześmiany... z dwiema butelkami wina.

Pod kamieniem urządzony był schron, obszerny i wygodny, a w nim spiżarnia, której zapasy mogły wystarczyć na długie miesiące oblężenia.

Jeden strzał armatni, zabłąkana kula działowa, wystarczyły, ażeby pogrzebać żywcem tych, którzy tam szukali schronienia przed wojną. Olbrzymi głaz, o obwodzie co najmniej dziesięciometrowym, wysokości jakichś pięciu metrów, byłby doskonałą płytą grobową!

Dziwni ludzie.

Podczas, gdy u mieszkańców miasta, mimo większości żywiołu semickiego, widać było pewien hart i odwagę, śmiałe spojrzenie niebezpieczeństwu w oczy — tu, u ludzi wioski, pod bokiemi miasta, panowała nieograniczona ciemnota. Z oczu wyzierała podejrzliwa dusza człowieka przedhistorycznego. W całej pełni ujawniała się skłonność do zabobonu. Przebijała kultura ludzi dalekiego wschodu.

Brak cywilizacji i oświaty zachodu!

Brak nas — Kulturträgerów!

Zanurzeni w miękkiej trawie nadrzecznej łąki, odpoczywaliśmy po trudach przedpołudniowych.

Wyciągnąłem się wygodnie, położywszy obie ręce pod głowę i puściłem wodze wyobraźni. Choć niby byłem zmęczony, ale spać nie chciałem. Za wiele wrażeń nagromadziło się w ostatnich dniach. Umysł przyjmował, odsuwał, odbijał, ale nie zdążył się w nich rozejrzeć, nie zdołał ich przeżyć, przetrwać.

Wszak to dopiero początek wojny. Pięć dni wśród obcych, ale tyle krwi... wszędzie krew i trupy, trupy mężczyzn, kobiet i dzieci... i krew, krew...!

Obracamy się w jakimś błędnem kolisku, poddani wiernie narzucającej się rzeczywistości.

Bo czyż człowiek, któryby jasno patrzył na swoje czyny, na swoje morderstwa i grabieże, miał tyle sił,

żeby pogodnie myśleć o swoim człowieczeństwie? O tem wczoraj, które było jeszcze takie dziecięco - niefrasobliwe i bez krwi, bez krwi!

Byliśmy tak niedawno innymi ludźmi.

Przyszłość nasza przedstawiała się jasno, wyraziście. W życie szliśmy odważnie, śmiało patrząc w tajemnicę bytu.

Spojrzenie wprzód było głębokie, horyzont szeroki, rzut w to nieznane pewny.

Młodość, nauka, zawód — objawy, które sygnalizowały przyszłość twórczego czynu.

Dziś?

Bieg życia wstrzymany. Stał główny motor, rozprysło się koło zapędowe.

Poznajemy nowe drogi życia, które pod mgłą rzeczywistości okazują się błędnymi manowcami.

Wkraczamy w dziedzinę zmechanizowanego trybu.

Bojownicy materji, cofamy się myślą.

Zanika poczucie istoty życia. Jest owczy pęd ku płonącej świątyni uczuć ludzkich.

Krwawa smuga duszy i pogorzelisko serca!

Jest codzienność, ale niema jej kontynuatorów.

Życie zatracą się, gubi w rozpoznaniu troski doczesnej i odróżnianiu jej od obrazów chorobliwej wyobraźni. I ginie to życie, zniweczone chwilą istnienia.

Pionierzy cywilizacji, przyszliśmy wykuwać wyłomy, a nie dostrzegamy stępionych kilofów.

Napiętnowani rozpaloną nienawiścią, nie budzimy życia i... odejść musimy.

Jesteśmy jako ci chłopcy, którzy budują tamę na strumyku leśnym, a nie dostrzegają, że podnoszący się poziom wody zalewa urodzajne pola.

Zalew naszej buty obejmuje obszary nadgraniczne. U ofiar naszej zachłanności wzbudza bunt.

Słyszymy rozlegający się cichy pomruk:

Ciemńcy!

Kolisko uświadomienia jest tak małe, tak zamknięte w sobie, że umysł, od kilku dni pojony goryczą

morderstw, zapomniał wyjść poza horyzont rozkazu i zamknął się w ciasnej komorze podświadomości.

Rajem wypoczynku dla myśli stał się rozkaz.

On tłumaczy wszystko, ściągając błędne myśli na utworzone drogi obowiązku żołniersko-obywatelskiego, obchodzi prawa ludzkie i w szaleństwie rozpędu, napół zapomniany, półświadomy, pędzi naoslep w mroczną dal, nieznane jutro.

Rozkaz!

Nie cofa się przed prawem, gwałci pojęcia ludzkości, morduje, strzela, zawsze wyrachowany i obliczony, usprawiedliwiony władną ręką.

Wszechpotężny, nieopanowany rozkaz.

Przyszedł do mnie Hans. Nie ten Hans strzelający do ludzi, gniewny, cyniczny, kpiący i ordynarny, ale jakiś Hans inny, pokorny, nieśmiały.

Przyszedł, bo, jak i ja, nie mógł spać. Wyciągnął się obok mnie; milcząco spojrzał na mnie, odwrócił głowę, jakby ze wstydem.

Długo leżeliśmy bez słowa, patrząc w górę na rozedrgane w promieniach słonecznych igrające pyłki, przybierające w jasnym świetle kształty migających gwiazdek.

Wreszcie Hans pierwszy przerwał ciężącą nam ciszę. Coś między nami stanęło, coś nas rozdzieliło. A przecież byliśmy przez długie lata najserdeczniejszymi kolegami, potem przyjaciółmi, wspólnie przebywaliśmy na ławie szkolnej, razem szliśmy w życie, razem byliśmy w koszarach, dzieląc jedno łóżko, jedno legowisko i wspólne dzieląc kochanki. Ale są chwile w życiu człowieka, w których do najserdeczniejszego przyjaciela gotów powiedzieć prosto, zwyczajnie: „Nic mnie z tobą nie łączy. Idź do diabła, daj spokój mnie i sobie. Dawne chwile życia, razem spędzone, były tylko imaginacją i twoją i moją. Dziś jasno widzisz, ty i ja, że jesteśmy dla siebie ludźmi obcymi. Bądź zdrow przyjacielu“.

Byliśmy, jak dwaj wrogowie. I w takiej chwili on, Hans, przyszedł: „Ciepło dzisiaj“?

Co on chce, pomyślałem, bąkając pod nosem niewyraźnie: „ja“.

„Ciekawe, powiada Hans — jak człowiek zmienia się. Wiesz, otrzymałem wczoraj list. Czytałem go dopiero przed chwilą. Od matki.

Dziwi cię to?“

— Nie, odpowiadam — tylko tak obojętnie mówisz; chętniej, zdaje się, rozmawiasz o wzrastającej ilości kresek niebieskich i czerwonych na kolbie karabinowej? — Starałem się mówić spokojnie, od niechcenia, jakkolwiek gniew i uraza ponosiły mnie.

Cisza: Dopiero po chwili:

„Tak, może masz rację! — Ale nie, to niemożliwe!“

Hans niespokojnie, nerwowo tarł czoło.

„Czy widzisz w powietrzu błyskotliwe gwiazdki?“

O co mu chodzi? Co chce powiedzieć?

„Mam, wiesz, matkę. Tak, ale już nie pamiętam nawet o niej. I teraz, gdy tak patrzę w górę, nie dostrzegam jej rysów. Przypominam sobie natomiast pewien szczegół z przeszłości:

„Ile razy przyjeżdżałem z gimnazjum do domu na wieś, matka zmuszała mnie do jedzenia. Tak, jakbym w mieście nigdy nie jadł. Miałem jeść za czas ubiegły i napchać się na kilka tygodni naprzód. Obrzydliwe było to ładowanie żołądka.

„Teraz list. Znowu słowa nieudolnie złożone, naturalnie, ha, ha, o jedzeniu. Do diabła, o czym innem muszę myśleć, nie o żarciu.

„Jakie to jednak niezrozumienie: matka i jedzenie, co? Zresztą jedno i drugie obojętne mi“.

— Odpiszesz?

„Nie wiem. Poco. Nie!“

— Będzie się biedaczka martwić?

„Martwić? Niema czasu. Doi kożę, wyrabia serki i, pomyśl, składa na zapas dla mnie. Zresztą, może? Ale czego rzeczywiście miałyby się martwić?“

— Napisz jednak. Ucieszy się, przecież, bądź co bądź, to matka.

Hans długo nie odpowiadał; milczał, jakby potwierdzał podsunęty mu projekt wysłania kartki do biednej, opuszczonej staruszki.

„Ha! Ha! Ha! Co jej napiszę? O tem, że zażgałem kilku bezbronnych chłopów, kilku żydów? Zgwałciłem kilka młodych żydowic, ażeby potem to samo łono, którem nasyciłem zmysły, rozpruć bagnetem? A może o tym, wiesz, widziałeś, w parku o drzewo rozbitym dzieciaku, co? Głupi jesteś mój kochany! Najlepiej podaruję jej mój karabin. Pamiątkę czynów dzielnego syna! Nie mam żadnej matki! Nie chcę mieć! Jestem sam dla siebie, rozumiesz? Ha! Ha! Ha!”

Namiętny, gwałtowny szept, seplenienie człowieka chorego i ten djabelski śmiech.

Zerwał się i uciekł prędzej, aniżeli do mnie przyszedł. Gnębi go coś. Męczy się.

A jednak odezwała się w nim dusza. Przygłusza w sobie coś, gniecie, szuka zapomnienia, ale żyje w sobie.

Od strony miasta rozlegają się gardłowe wramm. Wtórjuje im bzim, bzim karabinowe i płaskie wuuu-u-rin-rins-bzz-bzz.

To mitraljezy. Walka widocznie wre na ulicach. Granaty sypią swoim odłamkowym win-winnn.

Pod nami ciężko dudni ziemia. Niskie bu-bu-bum-bu-bu-bum basem przechodzi w powietrzu. Swist, huk—to działa!

Armaty biją zrzadka, ale pewnie.

Sledzimy lekki obłoczek z lewej. To dym armatni od wiatraków, blisko stacji kolejowej.

Grają i maszynówki. Wiatr niesie ich muzykę.

Zbieramy się. Istnieje obawa, że artylerja, nieuwiadomiona, może bić do nas. Nawiazujemy utraconą

łączność i ruszamy przez łąki. Mijamy pas rannego obstrzału. Leżą jeszcze dwa cielska krów, jakieś nadeńte, grube. Dokoła nich z wrzaskiem unoszą się kruki. Uśmiechamy się niewyraźnie, przechodząc obok rannej naszej pozycji. Dążymy w kierunku artylerji, na wzgórze. Podobno mamy iść jeszcze w ogień na ulice miasta. Strzały wzmagają się coraz bardziej; artylerja strzela gęściej. Czyżby wróg?

Po długim, forsownym marszu, dobijamy do miasta od strony dworca. Zatrzymujemy się na rogatce, oczekując, z bronią gotową do strzału, hasła wejścia do śródmieścia. Nad nami warczą często kule armatnie. Gdzieś od miasta echo niesie, w huku strzałów armatnich, odgłosy rozsypujących się murów. Dym palących się domów dochodzi już do nas. Na tle zachodzącego słońca miasto wydaje nam się jakimś urojonem widziadłem, nastraszonym wysuwającymi się coraz wyżej w niebo językami ognia. Purpura słońca łączy się na horyzoncie z krwawą luną, buchającą wysokim słupem.

Armaty umilkły. Rozbici na grupki, posuwamy się szybko do miasta temi samemi ulicami, któreśmy już tylekroć przebiegali. Ratusz w gruzach; tylko tu i ówdzie sypią się jeszcze cegły, kurzy się odpadający tynk, z łoskotem wałą się belki. Ulice zastane gruzami. Trudno przejść. Wydaje nam się, że jesteśmy w zupełnie innem mieście. Śladu prawie niema po wysokich budynkach i szerokich, śródmiejskich ulicach.

Mieszkańcy ośmielili się zatrzymać jednego z naszych podoficerów, puszczając równocześnie pogłoskę, że od strony Opatówka zbliżają się patrole nieprzyjacielskie. Ranna nasza strzelanina, potem chaotycznie nadchodzące wieści, zmusiły nas do bacznej czujności. Miarki dopełniło ukrycie podoficera. W odwecie zniszczono kulami armatniami całe niemal śródmieście. My, wysłani celem przeszukania domów, blądziliśmy wśród cuchnących ruin i gryzącego dymu. Ludzi ani śladu. Czasem, wyciągnięte, wystawały nogi z pod rumowisk domów — gdzieindziej głosem bólu wył jakiś żydziak, którego przy-

gniotła paląca się gruba belka; temu, jak zwykle w takich wypadkach, Hans dopomógł! Wrzaski momentalnie milkły, przechodząc w jęczący skowyt, zakończony ochryplem charczeniem.

Zerwany dach jednego z kościołów był dla żołnierzy wystarczającym świadectwem, upoważniającym ich do zajrzenia do wnętrza.

Ciąg dalszy zawsze ten sam. Żołnierz wszędzie szedł już teraz z jednym zamiarem: szedł niszczyć i grabić; szedł z głębokim zresztą przekonaniem, że z domu, do którego idzie, więcej nie wróci, zginie, zamordowany podstępnie. Zdeterminowany więc, kończył wszelkie odwiedziny krwawo. Zwiedzał, zostawiając wszędzie niezbity dowód, najczęściej krwawy ślad swojej wizyty.

Poco nas, zmęczonych całodziennem uganianiem się za wrogiem, posłano do miasta? Przecież w tem mieście już prawie nikogo nie było; ludzi szukać trzeba było po norach, ukrytych w szczelinach piwnic.

Jakkolwiek armaty dawno przestały grać, chociaż my, prócz kilku żydówek, nikogo więcej nie mogliśmy w mieście odnaleźć, Preusker przysłał ordynansa z rozkazem, ażeby w nocy obstać wszystkie uliczki. Zdecydowani na śmierć, wolelibyśmy jednak ginąć w otwartym polu, aniżeli tłuc się po ciemnej nocy wśród gruzów i z nor wysuwających się szczurów. W dodatku w nocy, około godziny pierwszej, gdyśmy, rozbici na mniejsze grupki, włóczyli się po zaułkach Kalisza, rozległ się głuchy huk strzału armatniego — sygnał zbiórki na placu przed ratuszem. Nowy rozkaz. We wskazanej dzielnicy rewidować wszystkie domy; właściwie nie domy, tylko piwnice. Znowu trzeba się przedzierać przez rumowiska, w świetle prowizorycznych pochodni szukać zamieszkałych nor, przystawiać drabiny do ciemnych otworów, prowadzących do lochów i węszyć, szukać za ścierwem ludzkim.

Boże, jak komiczni są ludzie, jak obłędnie śmieszni w małościach życiowych! Ileż razy zdarzało nam

się, że, wpadając niespodziewanie w nocy do mieszkania, łapaliśmy ludzi w ich szarem, codziennem życiu.

Tu lekarz, wyrocznia w swoim zawodzie, zbudzony nocnym hałasem i nieoczekiwaną naszą wizytą, wypadł z łóżka, jakby onieśmielony, śmieszny, w krótkiej koszuli, dygocący ze strachu i zimna cienkimi nogami, gęsto owłosionymi... istny potworek.

Gdzieindziej znowu kobieta w nocnej bieliźnie, z papilotami na głowie. Podczas wojny. Wtedy, gdy naokół szalał huragan ognia i kuli! W dzień poważna matrona, zasiadająca pewnie w komitecie opieki nad rannymi mieszkańcami miasta, w nocy małostkowa, wystraszona, szczękająca zębami, wstydliwie unosząca w górę koronkę koszuli. Chwytailiśmy poprostu życie na gorącym uczynku. Życie takie, jakim ono było w rzeczywistości, bez osłonek, a nie to napuszone, ubrane odświętnie.

Specjalistą od takich odkryć był nasz feldwebel.

I dziś w nocy wpadliśmy, rozbiwszy żelazne drzwi od ciemnego lochu piwnicznego, do mieszkania, mieszczącego się pod ruinami spalonego domu. Rodzinka cała w komplecie. Nauczeni doświadczeniem, załatwialiśmy się szybko. Wchodziło nas do każdego domu zwykle kilku, około dziesięciu najmniej. Mniejszej ilości groziło niebezpieczeństwo. Zwłaszcza obecnie, gdy wciskać musieliśmy się w najbardziej ukryte kąty piwnic, ostrożność posuwaliśmy do tego, że stale jeden pilnował wyjścia. Inni wbiegali do wnętrza. Siekiery obowiązkowo musieliśmy zabierać; potrzebne były do rozbijania drzwi. Proceder cały trwał krótko. Wprawieni, wyćwiczeni, że tak powiem praktycznie, czuliśmy poprostu, gdzie są ludzie.

Wsunęliśmy się do głębokiej piwnicy. W najodleglejszem jej ukryciu były żelazne drzwi. Kilka wprawnych ciosów siekierą, dwa razy żelazną sztabą, zamek puścił.

W świetle migocących pochodni widoczny był tato, mamcia, dwie córunie i chłopak dziesięcioletni. Gdzieś za nami, jęcząca na ziemi, babka. Z tą załatwiliśmy

się najpierw. Pacierze potrzebne nam w kościele, a nie na wojnie! Od tego są księża, nie potrzeba więc, żeby nas stare, życiem zgruchotane baby, straszyły w imię Wielkiego Boga. Kopniak okutym butem w szczękę wystarcza w takich wypadkach, żeby ją zamknąć.

Reszta familji obeznana widocznie już z wojną; za wyjątkiem młodego chłopca, nikt prawie nie zwrócił uwagi na to, że jeden z naszych uśpił babcię. Może przybledli trochę, no, ale i nas, zmęczonych całodzienną wólczegą, nie paliły rumieńce.

Akcja zaczęła się od córek. Bo, gdy ojciec i matka byli w koszulach, córeczki były ubrane. Feldwebel lubił rozbierać dziewczęta.

Był zresztą bardzo grzeczny. Rzadko jeno, bardzo rzadko, tam, gdzie nie pomogło dobre słowo podoficerskie, uciekał się do innego środka. W tym wypadku było trochę krzyku, niepotrzebnych szturchańców, drobna pomoc kolby, a potem zaczęło się oglądanie życia na codzień.

„Das Leben in der Nacht“ — życie w nocy, jak pięknie takie historyjki określał wąsiaty podoficer. Oczywiście, że ujmowanie życia z tej strony, podglądanie „pod koszulkę“, jak mawiał Hans, nie przynosiło nam żadnych realnych korzyści. Wyciąganie śmieszności ludzkich nużyło nas wreszcie tą głupią niezaradnością, tem opuszczeniem długich rąk wdół, wzdłuż pofałdzonej koszuli, tem ustawicznym Boże, Boże — skuleniem się w sobie.

To było głupie. Kończyło się też najczęściej pchnięciem bagnetu. Kul szkoda. Czasu zresztą nie było na zabawy.

Szliśmy dalej.

W norce, skrzętnie ukrytej, odszukaliśmy gniazdko gruchającej parki. On, jakiś ziemianin, bogacz okoliczny, w obawie przed wojskami niemieckimi — tak tłumaczył się, uciekł do Kalisza. Jeden z niewielu; bo, podczas, gdy wszyscy inni wychodzili z Kalisza, ten, męczyzna w sile wieku, zaufał, jak twierdził, powadze

naszego komendanta i schronił się pod naszą opiekę. Był u swej kochanki. Odkryliśmy ich. Wojna, huk strzałów armatnich, jęk kul karabinowych, ogień i ruina miasta, rzuciły ich w objęcia, w ostatni, wydawało się, szal miłości. Było nas piętnastu. Piękna nałożnica po-
hulała, jak nigdy. Dla efektu przyniesiono kilka butelek wina; poczęstowano miłą parę, a potem, postawiwszy pod mur pana dziedzica, który, jak się okazało, był czystej wody semitą, zabawiano się z panią; obojętnie jej zresztą zdaje się było, kto ją bawi.

Dobrze umiała strzelać.

Przrzekliśmy jej, że życie swoje może okupić śmiercią kochanka. Podałem jej rewolwer. Bez cienia wahania przystąpiła do bladego mężczyzny. Radosny śmiech żołnierzy, patrzących na tę scenę, zamarł prawie natychmiast. Błyskawicznym ruchem wypaliła do Hansa, trafiając go w pierś. Nim zdaliśmy go podchwycić, wystrzeliła raz jeszcze i padła u stóp konającego Hansa, drgająca jeszcze życiem, zdeptana w tym samym momencie ciężkimi butami żołdackimi.

Śmierć Hansa pomściliśmy srogo, przysięgając na zmasakrowaniem ciele kobiety i posiekanego jej kochanka, że prędzej nie spoczniemy, aż kolba karabinu Hansa nie zapełni się kreskami czerwonymi i niebieskimi!

Hans był tym, któremu się najpierw oddała.

— — — — —
Straszna jest wojna; jesteśmy na wojnie, ale sami nie wiemy, czy ta wojna jest dla nas, czy raczej my dla wojny. Trudno sobie wyobrazić wojnę bez żołnierzy. Tylko...

Szeroko rozlała się rzeka ognia. Dym i rabunek i wszechwładna śmierć objęły panowanie nad ludźmi. Wojna roztoczyła wszechmożną władzę. Żołnierz rozhulał się, rozswawolił. Dawniej rozleniwiony, w koszarach, czasem tylko szukał ujścia dla nagromadzonych sił w zabawach i orgjach pijackich. Teraz, rzucony na pastwę wojny, uległ jej potędze. Proces psychiczny odbywał się w nim błyskawicznie. Były takie momental-

ne przeskokki duchowe, że sami nie mogliśmy się zorientować w tych nagłych przemianach naszej osobowości. Przejścia od dramatu serca, od spraw duszy, do krańcowego wyuzdania zmysłów, nie zwracały już niczyjej uwagi. Żołnierz, który jeszcze wczoraj był najspokojniejszym z ludzi, dziś, w obliczu śmierci przyjaciela, pełen nienawiści, pałający chęcią zemsty, rzucał się z bagnietem w rękę i żgał, mordował i zabijał; bez wahania chwycił spotkanego bachora żydowskiego, rzucając go w klatkę schodowej z wysokości kilku pięter na posadzkę parteru jak znienawidzone, wszawie szczenię.

Taki stan był dla nas zresztą całkiem zrozumiały i usprawiedliwiony. Wydawało nam się poprostu, jak gdybyśmy zeszliznęli z wąskiej ścieżki konwenansów życiowych na szeroką drogę walki o byt, o życie codzienne. Taka wegetacja była dogodniejsza i przyjemniejsza dla żołnierza, który poddaje się wrażeniom codziennych wypadków. Wojna wyrwała go z pospolitych form życia, rzuciła go w gorączkowy wir, pełen nieprzewidzianych zdarzeń. Cuchnący oparami smrodliwych rynsztoków, przyciśnięty w zakamarkach jestestwa duchowego, stał się sobą, stał się żołnierzem.

Żołnierzem jego cesarsko-królewskiej wysokości!

Zył szeroko, nauczywszy się, na wzór bohaterów powieściowych, przerzucać każdą nieprzyjemność i drobne wyrzuty sumienia lewą ręką przez prawe ramię.

Zresztą każdy z nas wie dobrze, że możemy pełnić największe łajdactwa. Ojczyzna znajdzie potem takie paragrafy, pod które można będzie podciągnąć nasze uczynki, a które nas usprawiedliwią z naszego postępowania.

No, a jak będą paragrafy, nadejdzie i spokój sumienia. Nastąpi kuracja sumienia. Wypędzanie djabła Belzebubem!

Obecnie przynajmniej nikt nam nie prawi morałów.

Każdy zresztą z nas ze wstrętem wspomina te mądre, światłe nauki, obmyślane zgóry frazesy o moralności, piękne słówka o życiu itd. My, idąc wczoraj palić

i mordować, szliśmy tylko za rozkazem; dziś idziemy mścić naszych braci.

Wiemy, że gdy nadejdzie pokój, każdy z nas, jak piesek, któremu dobrze na świecie, zwinie się, skuli, otworzy pysk, obliże się i zaśnie!

— — — — —

Jestem ranny. Rana lekka, postrzałowa, w lewe ramię — ale piecze niemożliwie. Stało się to całkiem niespodziewanie wówczas, gdyśmy, zluzowani przez dwa bataljony 7. pułku, mieli wyruszyć dalej. Przy wyjściu z miasta, gdy od ratusza żegnał nas pułkownik Hoffmann, padł niespodziewanie strzał, który stał się sygnałem do strzelaniny. Schronieni pod murami, ukryci w ruinach rozwalonych domów, biliśmy naoslep w okna pozostałych domów. Podniecenie nasze wzrosło, gdy ze śródmieścia odpowiadzano nam ogniem karabinów maszynowych, ustawionych niewidocznie za murami ruin, ukrytych, zamaskowanych. Poraz pierwszy wywiązała się obustronna strzelanina, która przynajmniej teraz nosiła charakter regularniejszej bitwy. Była to właściwie nasza pierwsza potyczka z wrogiem. Przekonała nas, że jednak moskale są w opuszczonem przez ludność mieście.

Zaskoczeni strzałami, nie mieliśmy czasu, ażeby zastanawiać się nad tem, jakim sposobem moskał mógł znaleźć się w mieście, którego niemal każdy kąt przejrzelśmy dokładnie.

W wyniku gwałtownej strzelaniny, która, jak rozpoczęła się niespodziewanie, tak wśród jakiegoś denerwującego popłochu, w ciągu pół godziny została zakończona, poległo dwóch naszych żołnierzy; rannych dwóch oficerów i dwudziestu czterech szeregowców. Wśród ostatnich i ja się znalazłem. Rana, której w pierwszej chwili zupełnie nie czułem, wnet poczęła dokuczać. Odwiezieni do szpitala miejskiego, zdani na łaskę miejscowych lekarzy, którzy, pod groźbą wymierzonych rewolwerów, przystąpili do operacji, słyszeliśmy jeszcze strza-

ły armatnie, rozlegające się zdala. Z całą bezwzględnością burzono miasto, w którego murach siedział nieprzyjaciół.

Sprawę naszych ran ciekawie postawił lekarz kaliski; oświadczył stanowczo i energicznie, że kule, znalezione u kilku naszych rannych żołnierzy, bezwątpienia pochodzą z karabinów niemieckich.

To już jawna prowokacja ze strony tych nielicznych mieszkańców Kalisza, błakających się jeszcze tu i ówdzie. Bez pardonu należałoby wszystkich powiesić. Kul dla nich szkoda.

Potem, wisząc, mogą światu całemu głosić, że stryczki są niemieckie! Domysły lekarza polskiego zaczął wśród rannych potwierdzać jeden z naszych, niejaki Knebloch, również raniony; pokazywał nawet kule. Dowód to jednak niewystarczający.

Spotkała go zasłużona kara.

W szeregach armji niemieckiej nie wolno szerzyć pogłosek, demoralizujących żołnierza.

Przez kilka dni przebywałem w szpitalu. Ponieważ istniały poszlaki, że cały personel szpitalny jest zwykłą jacejką szpiegowską, urządzono jeszcze jedną, tym razem nocną rewizję w szpitalu; wywleczono wszystkich za miasto i tam poddano ich szczegółowym badaniom. Więcej do szpitala nie wrócili.

Ich następcy, to już ludzie zaufani, nasi. Wytłumaczyli nam, że tamci nie mogli więcej wrócić do szpitala, no, bo przecież całe miasto w płomieniach! Szczerzy, żołnierski uśmiech, towarzyszący tym słowom, nie pozostawiał nam żadnych wątpliwości! Odetchnęliśmy!

Wobec złośliwości mieszkańców i niepewności, czy wróg rzeczywiście jest w mieście ukryty, artylerja nasza, po wycofaniu się wojska niemieckiego z miasta, zaczęła już planowo strzelać. Stosunki z pozostałymi mieszkańcami były tak naprężone, że tylko zbombardowanie miasta mogło nas usprawiedliwić wobec samych siebie. Doszło przecież już do tego, że księża jawnie zaczęli odprawiać pogrzeby, publicznie oświadczając, że jest tak

wielka ilość zamordowanych i spalonych, że dziennie trzeba by grzebać po dwustu mieszkańców.

Wśród huraganowego ognia dział zaczęto palić domy, teraz już całkiem jawnie, ryczałtowo. Było to jedynie możliwe wyjście z całej tej, zbyt długo już wlokącej się historii naszego dobrodusznego postępowania.

Pardonu nie znano odtąd dla nikogo. Wszystkie drogi zapełniły się resztkami uciekających.

W nocy, na tle szerzącego się pożaru, coraz częściej uwijały się okoliczne hijeny. Ludzie w obliczu armat i karabinów modlili się.

W mrokach nocnych kradli.

Wojna nauczyła ich pacierza i kradzieży!

Mieszkańcy coraz częściej wychodzili z miasta do okolicznych wiosek po żywność; coraz częściej też, w miarę, gdy pożar zaczął obejmować całe dzielnice, w ciemnościach nocnych skradały się do miasta postacie niewyraźne, tajemnicze. Szły z wiosek sąsiednich, sunęły w podskokach z pól podmiejskich, przyskakiwały z drzewa za drzewo, ukrywając się. Przystawały, węszyły...

Szły szakale.

Wracały temi samymi drogami po godzinie, dwóch, jakieś niekształtne, obładowane; szły wolno, miarowo, trochę niespokojnie, przyczajały się czasem, przypadały do ziemi, a potem znowu szły, ciągle szły...

Chłopi przyjeżdżali wozami z odległości dwóch i trzech mil, by ładować mąkę, rabować śpichlerze itp. A Polaczkowie potem dumnie twierdzili, że to my kradniemy.

Herr Gott und Himmel!

Żołnierz złodziejem nie był. Dopiero wy nauczyliście nas kraść.

Kradliśmy później, bo kradzież była nieodłącznym atrybutem wojny; była to zresztą niejako nasza, żołnierska, zawodowa czynność.

Żołnierz, wystawiony tu, między wami, na łup śmierci, rzucony w objęcie życia z godziny na godzinę, żył

więc tak, jakby miał umrzeć za dzień, za godzinę; używał, kradł, bił, gwałcił i rabował; pił gorzałkę, a dla odmiany, gdy było potrzeba, szedł w szeregu, czyniąc ze siebie karnego rycerza, podporządkowanego dyscyplinie wojennej: tak robili oficerowie, tak robił i szeregowiec.

Psychikę mieliśmy jedną, jak jedną była wizja nie-dalekiej śmierci, jak jedna była możliwość wspólnego gnicia w dole, gdzieś zdala od swoich...

Nas zmienił mundur, który, jak samotność szlifuje dusze ludzi, tak on wypełnia ją miazmatem nieprawości. Ale dlaczego wyście kradli? Jak wygląda ta wasza osławiona moralność?

W obliczu żerowiska wypęzły z najodleglejszych kątów wasze cnoty i zbladły.

Ja meine Herren, w życiu kommt es immer anders, als man sich's gedacht, no i jak zgóry powiedziano, prawda panowie?

Nasz wielki poeta Schiller, już tak dosadnie i umiejętnie to określił, chociaż żołnierzem nie był:

„Człowiek, powiedział, powstaje z błota, w błocie jakiś czas leży, błoto ze siebie wyrzuca i na błoto kiśnie, ażeby się kiedyś przylepić błotem do podeszew prawnuka. Koniec piosenki: błoto kołem ludzkiego przeznaczenia“...

W imię przeznaczenia idziemy...

Aksamitna wasza ziemia rodzi tyle żywności, że jej wystarczy i dla nas.

Ponieważ na świecie utarł się zwyczaj, żeby wszystko nosiło pewną markę, wszystko było wiernie zakatalogowane i oddane na papierze, więc niechże ten, cierpliwy, zatrzyma i dalszy ciąg naszej, panowie nieprzyjacielem z Kalisza, historii.

Vogue la galère; grzechy ojców mszczą się w trzecim i czwartym pokoleniu. Mamy więc czas na popelnianie grzechów. Wracamy do rabunku.

Nowy komendant Kalisza wydawał rozkazy za rozkazami. W parku wycinano więzy, topole, lipy. Na składanych wozach wysyłaliśmy hurtem do Niemiec.

Kammerherr Najjaśniejszego Pana Wilhelma II-go, właściciel niedalekiej wioski, mianowany głównym niejako komisarzem aprowizacyjnym w powiecie kaliskim, aprowizował bardzo dzielnie!

Nach Westen — w kierunku Berlina, szło dosłownie wszystko. Po całej bliższej i dalszej okolicy Kalisza rozsypały się drużyny naszej dzielnej armji, konfiskując wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Pewnej nocy zbudził nas gwałtowny alarm. Wojsko, zlokalizowane pod Kaliszem, wezwano do natychmiastowego obsadzenia wszystkich wejść do miasta. W chłodną, dżdżystą noc staliśmy pod pełną bronią, ubezpieczeni, wsłuchani w zbliżające się z oddali odgłosy. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że rozlegające się ciężkie dudnienie, ponuro brzmiące w nocy, to echo zbliżającej się artylerji rosyjskiej. Z całą powagą przemówił do nas komendant naszej kompanji, uświadamiając, że armja rosyjska zgromadziła się pod Łodzią. Wprawdzie, jak nas ze wszech stron zapewniano, dowództwo naszej armji zdołało przekupić generała rosyjskiego Rennenkampa.

Ten niespodziewany jednak alarm był najlepszym dowodem, że akcja szpiegowska w tym wypadku nie doprowadziła do żadnych konkretnych wyników. Skupieni, ruszyliśmy po godzinnem oczekiwaniu na zwiady. Rychło jednak, w świetle ранnego świtu, okazało się, że te ciężkie armaty rosyjskie, to poprostu duże maszyny parowe, kilka lokomobil, które, skonfiskowane w sąsiednich majątkach, „jechały“ do Niemiec. Historia całkiem zresztą naturalna. Wszystkie, sprowadzone przed wojną, nosiły markę „Made in Germany“ — wracały więc z powrotem do nas; szły służyć swoim.

Dziesięć tysięcy marek niemieckich, wypłaconych w złocie panu Rennenkampfowi, zrobiły swoje.

Nasza akcja szpiegowska na tyłach armji nieprzyjacielskiej była, jak się okazało, świetnie zorganizowana. Wielkie miasto przemysłowe Łódź wpadło z całym ogromnem bogactwem w nasze ręce.

Podobno żydom zawdzięczamy, że generał Rennenkampf spóźnił się z armją rosyjską o kilka godzin za ledwie...

My, pozostawieni w Kaliszu, mieliśmy czasy jak najlepsze. Za wyjątkiem drobnego nieporozumienia, którego padliśmy ofiarą jeszcze w sierpniu.

Okoliczni chłopci zżęli mianowicie w nocy owies, ustawwszy go w charakterystyczne kopice. Otóż, z odległości kilku kilometrów, wydawało nam się, że po drugiej stronie Prosny, na wzgórzu, ustawione stoją armaty. W przekonaniu, że najbliższy most na rzece jest podminowany, trzeba było zachować daleko idącą ostrożność, tem więcej, że w nocy przybyli do komendanta placówki dwaj strażnicy celni.

Ciche pukanie do okna strażnicy zerwało nas żywo na nogi:

„Kto tam?

„Tu Pritschow i Spiegiel, strażnicy celni. Przyszliśmy zameldować, że w pobliżu znajdują się kozacy“.

Karabiny na ramię, krótkie indagacje, wskazany kierunek i marsz. Dopiero z nastaniem jasnego dnia rozpoznano przez lornetkę, że to jest zboże.

Ażeby w przyszłości uniknąć takich, trochę przykrych, a w każdym razie ośmieszających nas sytuacji, wysłano na drugą stronę rzeki silniejszy oddział, który wnet zaprowadził porządek wśród mieszkańców. Owies skonfiskowano, zabierając po drodze kilka maszyn rolniczych, koni i krów.

Ta strona była zresztą domeną naszego komisarza aprowizacyjnego; a ten nie oszczędzał nikogo.

Wojska nasze nigdy, dzięki niemu, nie narzekały na brak żywności. Teraz już nikt pokwitowań nie wydawał; braliśmy wyłącznie w imię cesarza, prawem zwycięzców; braliśmy dla siebie i dla ojczyzny!

Dowództwo nasze dostarczało nam, według dawnego zwyczaju, czarnego chleba i wieprzowinę. Tu, w Rosji, nikt nie jadł twardych komyśniaków, ani świń. To

też nasz chleb całemi stosami leżał nieraz na śmietnikach; połcie słoniny trzeba było wyrzucać na gnój. Żywności było za wiele. Ten nadmiar psuł nas właściwie. Wiele czasu poświęcaliśmy sprawom kulinarnym.

Kammerherr słał nam partję za partją tłustych świń, tucznych wołów, stada krów, nieraz cielných, pochodzących z obór zarodowych, rasowych owiec i wiele, bardzo wiele gęsi, kur, indyków, kaczek itd.

Sztuk podlejszych, chłopskich, wogóle nie brano pod uwagę. Czasem jeno zdarzało się, że kadry aprowizacyjne zabijały krowy chłopskie, pozostawiając je chłopom samym na zjedzenie. Było to zresztą bydelko wychudzone, zagłodzone, gruźliczne.

Zabijając takie sztuki, mieliśmy raczej na oku poprawienie w przyszłości rasy bydła, a nie osobiste nasze korzyści!

Płaciliśmy też dość hojnie. Przecież nasz chleb, wozami zwożony, szedł do chlewów chłopskich. Można go było zawsze zużyć. W kraju nieprzyjacielskim pragnęliśmy lepszego pożywienia.

Bydła było bardzo wiele, pszenicy jeszcze więcej.

I, co ciekawe, te konfiskaty na wsiach nietylko nie wywoływały żadnych buntów, ale odwrotnie, ludność wieśniacza, zwłaszcza żydowska, odnosiła się do nas bardzo przychylnie, prawie z zaufaniem.

Do karczmy żydowskiej wstęp był wolny o każdej porze dnia i nocy.

Zdarzyło nam się raz, że przybywszy dość późno do jakiejś wioski, leżącej tuż pod Kaliszem, chcieliśmy w majątku zakupić większą ilość owsa. Ekonom, zastępujący nieobecnego właściciela, odmówił naszej prośbie, twierdząc, że owsa nie posiada.

Bagnet pomógł.

Za pieniądze i za dobre słowo nie można było nic otrzymać.

Drogę do ukrytego owsa wskazał żyd — arendarz karczmy dworskiej. Owies, ukryty w lesie, wystarczał conajmniej dla całej kompanji konnicy.

Potem, ugoszczeni przez żyda w jego gospodzie, zapłaciliśmy mu hojnie dworskiemi sarnami, ubitemi pod lasem.

Jaśnie pańska sarna musi chyba w przyszłości żydowi wyjść na zdrowie, zwłaszcza, gdy zetknie się jeszcze kiedykolwiek ze swym panem...

W tym zresztą czasie pieniędzy wogóle nie znaliśmy. Było ich wbród w Kaliszu.

Wszystkie płynęły do Berlina. Tu, na miejscu, prowadziliśmy handel zamienny; za krowę — chleb, za dobrego konia — półcie słoniny.

W razie oporu, kula w łeb.

Argument, który he, he, he, nigdy nie zawodził!

Kozacy.

„Die Kozaken sind da.

Von Osten zieht die russische Feldartillerie“.

Oto dwa urywane, krótkie zawiadomienia, jakie do nas dotarły przez specjalnego wysłańca z Pleszewa.

Miasteczko, położone w prowincji Poznańskiej, a więc nasze, oddalone około 30 kilometrów od Kalisza, zostało zaalarmowane niespodziewanem przybyciem kozaków.

Tą wiadomością zelektryzowani, pościgaliśmy oddziały naszego wojska, porozrzucane po Kaliszu i całej okolicy i w kilka godzin po odebraniu tych wieści, ruszyliśmy w stronę Pleszewa.

Sama wiadomość, przez nikogo jeszcze, poza wysłańcem, nie potwierdzona, wydała nam się nieprawdopodobną; wprost niemożliwa, tem więcej, że wszędzie kręciły się oddziały naszego wojska, którym by nieprzyjaciół nie mógł ująć niespostrzeżenie.

Zadnej dokładnej informacji, żadnego rozkazu, tylko dwie krótkie wiadomości.

Część wojska ruszyła na Ostrów, druga w kierunku Pleszewa.

Już w drodze potwierdzono pierwsze zawiadomienie.

Im bliżej Pleszewa, tem wieści coraz gorsze; sytuacja coraz niepewniejsza.

W dodatku, w miarę zbliżania się do Pleszewa, podawane szczegóły napadu kozackiego podkreślały prze-

dewszystkiem wielką ilość kozaków. Od wystraszonej ludności trudno było dowiedzieć się czegoś konkretnego.

Wszystkich nas natomiast uderzyło, że nigdzie nie spotkałimy ani jednego niemieckiego urzędnika. Wzdłuż granicy Prosny, wszystkie strażnice celne, wszystkie posterunki żandarmerji opuszczone. Pocztą pantoflową szerzono pogłoskę, jakoby armja rosyjska otaczała nas półkolem, obejmując obu ramionami, ażeby nas zamknąć w spalonym Kaliszu. Nic więc dziwnego ostatecznie, że nasi urzędnicy, nie mając na wsi, u miejscowej ludności żadnego oparcia i nie mając należytego zabezpieczenia, opuścili placówki, wysławszy już znacznie wcześniej rodziny swoje do Niemiec środkowych.

Wśród zachowania wielkiej ostrożności, zbliżyliśmy się po dwóch dniach do Pleszewa.

Oczywiście, po kozakach już nawet śladu nie było. Naoczni świadkowie opowiadali nam z najdrobniejszymi szczegółami o przebiegu tej wyprawy kozackiej.

Wieczorem któregoś dnia, o godzinie 8.15, zjawił się na rynku pleszewskim konny oddział wojska, złożony z około 30-u ludzi. Niemiecki policjant, wzięwszy ich zdaleka za wojsko niemieckie, powitał ich, salutując i podszedł, ażeby udzielić informacji. Dopiero siłą wzięty między dwa konie, zrozumiał biedak, że to kozacy. Pod groźbą wymierzonych rewolwerów zaprowadził ich na pocztę. Policjanta, odebrawszy mu pałasz i browning, postawili pod murem naprzeciwko poczty, grożąc, że najłżejszy objaw obrony, czy chęć ucieczki, skończy się krwawo.

Rozstawwszy szybko i sprawnie ochronę, zabrali się do otwarcia poczty.

Ponieważ główne wejście było już zatarasowane, wtargnęli bocznemi drzwiami.

Oddawszy na postrach kilka strzałów wewnątrz gmachu, spowodowali ucieczkę wszystkich urzędników i urzędniczek; te ostatnie, w przerażeniu, szukały schronienia na dachu urzędu pocztowego, skąd głośnem wołaniem i krzykiem alarmowały przechodniów o pomoc.

Oberasistent Doepner i drugi asystent Heinrich nie zdążyli ukryć pieniędzy, przeznaczonych tego dnia na wysyłkę.

Okazało się zresztą, że kozacy byli świetnie poinformowani nie tylko co do rozkładu wojska i poszczególnych gmachów urzędowych, ale znali nawet takie szczegóły, jak drogę i czas odejścia poczty wieczornej. Zgóry przygotowani na ewentualne niepowodzenie, w ciągu tych kilkunastu minut pobytu na poczcie rozstawili po dwóch konnych szeregowców na drogach, któremi zwykle odchodziła poczta wieczorna.

Sam gmach urzędu pocztowego, odcięty zupełnie przez ich żołnierzy od miasta, splądrowano szybko, przecinając druty telefoniczne i zabierając ponoć 168.000 marek niemieckich.

Na ulicy przed pocztą zgromadził się już tłum ciekawych; kozacy, z zachowaniem zimnej krwi i największego spokoju, zdołali wypytać się o ilość wojska w Pleszewie; od właściciela sąsiedniego sklepu zabrali kilkadziesiąt papierosów, pożyczili sobie na drogę zegarek i, nim ktokolwiek zdołał pomyśleć o zawiadomieniu miejscowego garnizonu, dosiadłszy koni i wystrzeliwszy z brawurą do wiszącego nad sklepem zegara, zniknęli w zapadającej mgle wieczornej.

Spotkawszy jeszcze tuż za miastem powózkę z jadącym księdzem, jakimś panem i jego małoletnią córeczką, rozkazali im wysiąść, zabrali konie, a wyprowadziwszy ich na otwarte pole, zapowiedzieli im, że otoczą kołem i wszystkich rozstrzelają.

Ksiądz za swoim towarzyszem, w przerażeniu i strachu, przeleżał całą noc w polu. Kozacy, wystrzeliwszy kilka razy w powietrze, zniknęli w mrokach nocy.

Co nas najbardziej uderzyło, to fakt, że kozacy w drodze do Pleszewa przejeżdżali obok wystawionego na przedmieściu posterunku niemieckiego.

Fakt, że w mieście, w którym znajdowały się odwachy wojskowe, niespodziewanie znaleźli się moskale, wzbudził pewne podejrzenia, że prawdopodobnie wśród

naszych żołnierzy muszą się kręcić szpiedzy rosyjscy; przypuszczenia te tem bardziej znajdowały potwierdzenie, bo w czasie napadu kozaków na Pleszew, całe dowództwo wojska niemieckiego grało, po wesołej podobno libacji, w karty w hotelu, oddalonym zaledwie o kilkadziesiąt kroków od poczty.

Landrat, urzędujący w gmachu obok poczty, znalazł schronienie wraz ze wszystkimi urzędnikami w ogrodzie, bezpiecznie ukryty w krzewach; wszystkie biura pozostawiono, naturalnie w popłochu, otwarte.

Brak należytej organizacji i dyscypliny.

Dyscypliny przedewszystkiem!

Pierwsze, odniesione nad moskalami zwycięstwa, spowodowały więc raczej jakieś uśpienie czujności wśród obywateli niemieckich:

„Steh ich in finsterer Mitternacht
So einsam hier auf stiller Wacht“.

Tak, podczas gdy my przebywaliśmy w piekle kałiskiem, wśród niebezpieczeństwa, narażając ustawicznie życie w obronie ojczyzny, tu, na najbliższych „tyłach“, panowie komendanci grali w karty i ochoczo zabawiali się w towarzystwie przygodnie poznanych dziewczynek.

A wróg czuwał.

Do miasta, opasanego potrójnemi rowami strzeleckimi, pilnie strzeżonego, przez którego ulice dzień przed napadem i w dzień po nim maszerowało kilka pułków, zdołał przedrzeć się nieprzyjaciół zupełnie swobodnie, przez nikogo niespostrzeżony i nie powstrzymany.

Ludność cała solidaryzowała się z brawurą kozaków, dowodzonych, jak głoszono, przez wielkiego Budiennego.

Landrat uciekł.

Dowódcy stracili głowę. Jeni mieszkańcy żydowscy widząc, że Polacy przed drzwiami wywiesili obrazy Matki Boskiej, jako jedyny skuteczny ratunek przed rabunkiem kozaków, w mgnieniu oka niemal wykupili w

całem mieście wszystkie te obrazy, zawieszając je nad wejściami do składów i mieszkań prywatnych.

Rozniosła się bowiem, niewiadomo przez kogo rzucona, pogłoska, że kozacy są wiernymi katolikami, którzy jawną cześć oddają Matce Najświętszej.

Niemiec w obliczu niebezpieczeństwa pił, albo uciekał, żyd odrazu znalazł drogę wyjścia.

Krótką groźba odjeżdżających kozaków, rzucona kilku mieszkańcom, zapowiadająca przybycie za kilka-naście minut całego pułku, wywołała w mieście taką panikę, że zamiast w pierwszym rzędzie zawiadomić garnizony sąsiednich miast, urzędnicy rzucili się na ratunek własnego mienia i swoich rodzin. Wagony miejscowej kolejki były przepelnione.

Szosa płynęły długie szeregi wozów, na których wywożono w pośpiechu zabrane majątek.

Reichsbank, landratura i wszystkie urzędy w przeciągu kilku godzin tej nocy wysłały pieniądze i papiery.

Po naszym wejściu do Pleszewa nie zastaliśmy do-słownie ani jednego urzędnika, no, i ani jednego żyda.

Hańba!

Dla nas moralny policzek za Kalisz.

Fliegende Division!

Lotna dywizja.

Żołnierza obowiązuje:

Mobilizacja — to jest pierwszy dzień wojny.

Długie tułanie się z licznymi bagażami domowymi po koszarach: szukanie miejsca spoczynku.

Iluż cywilów-żołnierzy musiało te pierwsze noce spędzić pod gołym niebem, na podwórzach koszarowych?!

Latanina, bieganie, szukanie przydziału — to chaos pierwszych dni wojennych, którego nawet w państwie niemieckiem, w państwie „trwogi i porządku“, nie można było uniknąć. Było wielu takich, którzy, spóźniwszy się o godzinę, dwie, nie zastali już w oznaczonym miejscu swojej kompanji; zmuszeni jej szukać, włóczyli się, zwiększając jeszcze bardziej zamęt mobilizacyjny.

Nieraz oficer, przypadkowo spotkany, kazał na ulicy porzucić ciężkie paczki z żywnością, zabrane na wojnę, na zapas.

Dopiero wtedy taki cywil, pozbawiony balastu, zaczął naprawdę gończy pościg za swoimi.

Drugiego dnia wojny odbywało się nudne stwierdzanie obecnych, potem wyznaczanie kwater.

Po godzinie znowu zbiórka, znowu wywoływanie nazwisk, rozdzielanie mundurów, pakowanie rzeczy cywilnych.

Pierwszy, wraz z wysyłką tych rzeczy, króciuteńki list do domu; potem odbiór karabinów; kompletny rynsztunek; pierwszy wojskowy posiłek, potajemnie wylany do kubłów i ścieków i pierwsza wspólna żołnierska noc na słomie.

Zbiórki, apele, krótkie musztry i ustawiczne prze-

rzucanie z jednych koszar do drugich — z jednej kwatery na drugą, z jednej miejscowości do drugiej! Zaw sze wśród śmiechów i śpiewu niezgranych jeszcze plutonów.

W tydzień później pierwszy Löhnungsappell. Za dekadę jedną markę! Dla ojczyzny i cesarza!

Czasem, w marszu, udało się temu i owemu wpaść na minutę do domu rodzinnego. Gorączkowe żegnanie się ze wszystkimi, uściski, ostatnie pocałunki; doganianie kompanji; zdała dochodzący płacz najbliższych, kiwanie ręką, czy chusteczką, wśród dwuznacznych żartów współtowarzyszy.

Czasem łza staczająca się na wąsy! Ostatnia! Głę bokie zadumanie się w sobie.

Po kwadransie: „Lieb Vaterland, mag's ruhig sein“... niosło się już szeroko, drgało na falach powietrznych ściszone, coraz dalej, dalej od domu, od swoich, jeszcze odbite echem, aż wreszcie rozplywające się na ostatniem „sein“ w beztroskiej przestrzeni!

Żołnierz zaczynał czuć łączność i pragnienie towarzystwa tylko żołnierzy. Na biwakach wdychał jeszcze głęboko, ale coraz częściej myślał o jedzeniu, słomie i spaniu.

Przekroczenie granicy nieprzyjacielskiej.

Wsluchiwanie się w głęboką ciszę, dopytywanie o drogę, o strzały, o armaty!

Notquartier! Kwatera, jak nazywaliśmy, z biedy!

Początkowo łagodne prośby o trochę słomy, o możliwe legowisko.

Później oswajanie mieszkańców wrogiego kraju z kolbą karabinową.

Z Notquartier urządziło się najwygodniejsze podczas wojny locum wypoczynkowe.

W pierwszej wiosce wywieszona biała chorągiew, na znak pokojowego nastroju ludności, ale zamknięte składy miejscowe i deskami zakryte okna.

Mieszkańcy przejęci strachem.

W drodze wejście do kościoła; wspólny dla katolików różaniec, suplikacje i błogosławieństwo księdza.

W kraju nieprzyjacielskim!

Błogosławieństwo na mordowanie, grabież i gwałt!

Dla Boga, cesarza i ojczyzny!!!

A wreszcie, w pół godziny później, pierwsze strzały i krew! Odgłosy kanonady ciężkiej artylerji, dochodzące z odległości 10 klm. Blisko prawdopodobnie front.

Ubezpieczenie; wyłamanie długiego płotu i pospieszne, gorączkowe kopanie rowów strzeleckich, ażeby do miasteczka nie dopuścić nieprzyjaciela, obsadzającego podobno sąsiedni most. W nocy pożar mostu, wysadzonego przez naszych i pożar kilku gmachów; dla „oczyszczenia” horyzontu widzenia.

Cała noc spędzona w prowizorycznych szańcach, a rano, o godzinie czwartej, o świcie, zmarznięci, głodni, wycofani nagłym rozkazem, przerzuceni na „drugie skrzydło”.

Linja niewidzialnego frontu ciągle się zmienia. W ciągu dnia bezcelowe wędrówki z miejsca na miejsce, by wreszcie na drugi dzień przybyć na pierwotne stanowisko.

Jeden Ruhetag.

Kąpiel w przepływającej rzece.

Popołudniu pogrzeb kolegi-żołnierza, zmarłego wskutek udaru słońca. Nikogo ze swoich na pogrzebie, tylko westchnienia kolegów, krótkie słowa komendanta i trzy salwy.

W nocy nowy wypadek. Patrolka niemiecka zastrzeliła przez pomyłkę żołnierza z własnego oddziału (Sikora z Walentynowa). Rano wymarsz z kwatery, pełnej pchlel i smrodu.

Nawiązywanie utraconej łączności z pułkiem—marsz 30 kilometrowy — długa wólczega. Słońce przyświeca.

Żołnierzom wydaje się, jakoby, wśród uśmiechającej się do nich złocistej jesieni, szli gdzieś na wielką

uroczystość, na odpust. Mimo ogólnego znużenia, humor dopisuje wszystkim.

Na ściernisku: „halt“; obiad — a potem znowu powrót do miejscowości przed godziną opuszczonej.

Ze względów strategicznych.

Nieprzespana noc przy muzyce wystrzałów armatnich i znowu forsowny marsz... wtyl!

Komunikaty o zwycięskiej bitwie i przełamaniu frontu.

3.000 jeńców.

Marsz w kierunku frontu.

W drodze mijamy transport 30 jeńców okaleczonych, zmęczonych. Długie szeregi wozów z rannymi. Wbrew komunikatom, jeńców więcej nie widać, natomiast coraz liczniej spotykani ranni w mundurach armji niemieckiej.

Wkrótce, w czasie marszu, nowy rozkaz.

I znowu przerzucenie na lewe skrzydło.

Fliegende Division!

I ja obecnie należę do tej lotnej dywizji. Jestem bez pułku i bez kompanji!

Dorywczo przydzielony do komp. II. baonu 46 pułku.

Ale takich, jak ja, jest znacznie więcej. Jeden z nowopoznanych kolegów szuka swojego przydziału od trzech tygodni. A teraz już nawet pułku nie może odnaleźć, zgoła oczywiście nie wiedząc, gdzie znajduje się jego kompanja. Przebywa z nami pod Kaliszem i „zbiera“ wiadomości. Pułk ponoć wyjechał na front zachodni!

Takich wszędzie chętnie przyjmują. Oni sami zresztą głośno przyznają się do przynależności do tej osławionej już w pierwszych dniach wojny lotnej dywizji.

Oficjalnie nazwą tą oznaczono całą dywizję niemiecką, maszerującą w kierunku miasta Łodzi, przeciwko Rosjanom. Wnet jednak przyjęła się ona, jako określenie wszystkich rozbitków kompanijnych.

W Jedlcu.

Mój pułk dawno już z Kalisza wyruszył. Wobec tego, po dłuższej włości, odkomenderowano mnie, z powodu odniesionej lekkiej rany i celem rekonwalescencji, uznanego jako „G” — garnisondienstfähig, do bataljonu pomocniczego 155-go pułku piech. do Ostrowa. Zdolny do użycia w „załodze”, wkrótce wyruszyłem z całą kompanją tegoż bataljonu na granicę niemiecko-rosyjską do Jedlca, miejscowości, leżącej w pobliżu Kalisza.

Znajdujący się tu Landsturm, pospolite ruszenie, nagwałt kopał szanice wzdłuż doliny Prosny, zaciągając w miejscach ukrytych zasieki z drutów kolczastych, budując schrony do armat i karabinów maszynowych, zatapiając w rzece żelazne drągi, koła, wozy i druty, celem uniemożliwienia przejścia nieprzyjacielowi.

Dokonałem bardzo wielu spostrzeżeń.

Wszystkich niepokoił Kalisz. Szeroka łuna, rozlewająca się wieczorem na horyzoncie, raz po raz głucho dochodząca kanonada od strony bombardowanego Kalisza, wzmagały niepokój, budząc wśród mieszkańców grozę i niepewność położenia.

Za dnia, uzbrojeni w lornetki, z wysokości drzew, stogów i dachów trwożnie patrzeli w kierunku palącego się miasta.

Podniecenie wzrosło do punktu bodaj kulminacyjnego, gdy rozpuszczono pogłoskę, że nas przysłano tu w celu pilnowania granicy, przez którą usiłują przedrzeć się samochody rosyjskie, wiozące złoto z Francji! W prawdziwość tej szerzonej wiadomości uwierzyli, znajdując jej potwierdzenie w rozkazie do wojska i odezwie

do miejscowej ludności, nawołującej do obstawienia wozami drabiniastemi wszystkich dróg, wiodących do mostów na Prośnie.

Ponieważ mieszkańcy jawnie wyrażali przekonanie, że wojsko niemieckie pali i bombarduje Kalisz celowo, nie z zemsty, ale po to jedynie, ażeby przez zburzone ulice uniemożliwić przejazd tym legendarnym samochodem ze złotem, więc, jakkolwiek głośno solidaryzowali się z Moskalami, w obawie, ażeby wioska ich uniknęła losu Kalisza, skwapliwie zawiadomili nas, że polecenia komendanta są ściśle wykonane.

Tam, gdzie nie było wojska, ustawiano chłopów, uzbrojonych w widły. Strzeżono wszystkich dróg, wąwozów i ścieżek, ustawiając strażę nawet na wąziutkich przejściach w lesie, jak gdyby i temi mogły samochody przejechać!

Wszelkie tłumaczenia, dotyczące zniszczenia Kalisza, były daremne. Starąłem się nawiązać kontakt z ludźmi; pokazywałem im odniesioną w Kaliszu ranę. Opowiadałem z najdrobniejszych szczegółami o śmierci naszych żołnierzy w Kaliszu, zmarłych wskutek strzelania mieszkańców. Cały trud oczywiście daremny, a skutek mojego przekonywania wręcz odwrotny.

Uważano, że to moje skwapliwe opowiadanie ma im oczy zamydlić. Ten, z którym rozmawiałem, szedł do sąsiada i utwierdzał go, że te nieszczęsne samochody ze złotem francuskim, przeznaczone dla Moskali, stały się wyłącznym i jedynym powodem strasznego zniszczenia Kalisza!

Jeńcy.

Moja przygodna kompanja wyruszyła dalej. Mnie pozostawiono na miejscu, przydzielając do pilnowania jeńców rosyjskich, ulokowanych w obozie koncentracyjnym, specjalnie dla nich prowizorycznie przygotowanym. Ponieważ budowa okopów postępowała zbyt wolno, a natomiast coraz częściej rozchodziła się pogłoska o „wygięciu się linii frontowej“, o zamierzonej ofensywie Moskali, wobec tego przysłano do Jedlca 500 jeńców rosyjskich z obozu w Lanbau, zabranych do niewoli w pierwszych dniach wojny podczas zwycięskich bitew naszej armji w Prusach Wschodnich.

Rozlokowano ich w czterech dużych barakach, z których każdy mógł pomieścić po 125 ludzi. Obóz cały otoczono podwójnym płotem, pozostawiając między płotami wolną przestrzeń, na której w dzień i w nocy znajdowały się nasze straże.

Do pilnowania jeńców przydzielono 45 żołnierzy niemieckich, w skład których niestety wchodziło kilku Polaków, co bardzo niekorzystnie i nader smutnie odbijało się później na wzajemnem pożyciu i stosunkach koleżeńskich.

Ponieważ jeńcy zachowywali się hardo już w obozie w Lanbau, Generalkommando w Poznaniu, któremu obóz podlegał, wydało bardzo ostre przepisy, polecając surowo miejscowej straży, ażeby dopilnowała bezwzględnie zastosowania się jeńców do rygoru obozowego.

Ja sam, niestety, nie byłem świadkiem wszystkich scen; jako czasowo przydzielonego do pilnowania jeńców i, w dodatku, będącego na kończącej się rekonwalescencji, nie obciążano mnie obowiązkami strażni-

czemi; o szczegółach wiem tylko z ust Polaka, który, jako sanitariusz, miał wszędzie i każdego czasu wstęp wolny do namiotów jeńców.

Ponieważ bezpośrednio podlegał lekarzowi wojskowemu w Pleszewie, wobec tego na miejscu nie był od nikogo zależnym. Nic więc dziwnego, że doszło do scen bardzo przykrych. Jeńcy bowiem, ludzie przeważnie z wyższem wykształceniem i wyższej rangi, wśród których był zresztą znaczny odsetek Polaków, wnet wyuczuli w nim swojego sprzymierzeńca.

Na drugi dzień po przybyciu jeńców do Jedlca, oznajmiono im, że wszyscy, bez wyjątku, muszą iść kopać rowy strzeleckie. Wówczas wystąpił dowódca jeńców, młody, przystojny student, w randze oficera, oświadczając, że niema siły, któraby ich zmusiła do wznoszenia schronów wojennych, zwróconych przeciwko ich własnym braciom.

Mówił głosem cichym i bardzo spokojnym, ale postawa jego i stanowczość, przebijająca w tych kilku wypowiedzianych słowach, aż nadto wyraźnie wskazywały, że opór będzie wielki.

Komendant straży i obozu Kortz wydał wobec tego rozkaz oficerowi, ażeby zgromadził jeńców i polecił im wykonanie przeznaczonej pracy w okopach.

Student, przemawiający w imieniu wszystkich jeńców, krótkim rozkazem zwołał ich.

Wysoki, zdala widoczny dla wszystkich, stojący na przodzie, w oddaleniu kilku kroków od jeńców, w towarzystwie naszego komendanta i żołnierzy, odwrócił się, zboku przelotnie oczyma ogarnął swoich współbraci i głośno wypowiedział: „Oświadczam wam, panowie Prusacy, w imieniu moich towarzyszy niedoli i mojem, że wszyscy pozostaniemy wierni przysiędze, złożonej carowi”.

Przemówił po rosyjsku i zaraz, nim ktokolwiek z nas zdołał na te słowa zareagować, przetłumaczył je na język niemiecki, wypowiadając je zresztą bardzo dobrym akcentem.

Odwrócił się i przyłączył do jeńców, którzy, zbici razem, z głowami ponuro pochylonemi na piersiach, o spuszczonych bezradnie wdół rękach, wyglądali, jak stado baranów, pędzonych na rzeź.

Oficer-student zaimponował nam swoją powagą i męską postawą. Nie było jednak czasu na okazywanie litości i miłosierdzia.

Wobec jawnego buntu, trzeba było wystąpić, jak wypadało na zwycięzców wobec zwyciężonych. Bunt był cichy, ale stanowczy. Zgóry było widać, że ani jeden jeńiec nie przystąpi dobrowolnie do pracy.

Na drugi dzień rano, godzina była może 5-ta, komendant Kortz, zabrawszy swego zaufanego gefreitera K., wyszedł z oficerem jeńcem „w teren”. Oddalił się od obozu o jakieś dwa kilometry, idąc w kierunku Kallisa. Komendant, swobodny, nadzwyczaj rozmowny, wnet wciągnął oficera do rozmowy. Poczęstował go papierosem. Oficer odnosił się do niego zrazu nieufnie. Kortz i gefreiter K. nie mieli jednak broni. Tylko rewolwery.

Komendant prosił oficera, ażeby nie buntował jeńców. Potem, widząc, że wszelkie perswazje nie odnoszą skutku, machnął niedbale ręką:

„No, dajmy tym sprawom spokój. Podoba mi się ten pański patriotyzm. Nie będę pana zmuszał do roboty. Więcej o tem ani słowa”.

Uściskawszy mu serdecznie dłoń, począł z nim rozmawiać o walkach na froncie, dowiadywać się o szczegóły wzięcia do niewoli itd.

Przybyli na miejsce; tam, gdzie miały być budowane zasieki, w małym lasku leszczynowym, położonym na wzgórzu doliny Proсны.

Kortz pokazał jeńcowi miejsce, przeznaczone na zasadzkę dla wrogów. Mówił o wycięciu drzew, budowie schronów, zamaskowaniu gniazda karabinów maszynowych, chodził, pokazywał, szczegółowo objaśniał sytuację. Po dłuższej chwili, gdy oficer, nie przeczuwając nic złego, oddalił się o kilka kroków i wskazując na do-

my, leżące po drugiej stronie rzeki, zapytał o nazwę tej osady, Kortz, podchodząc do niego z tyłu, udzielał mu objaśnień; równocześnie, wyjąwszy rewolwer, wymierzył spokojnie w głowę jeńca, stojąc za nim o dwa kroki zaledwie; pociągnął za cyngiel...

Do obozu powrócił komendant Kortz uśmiechnięty, wesoły...

Z nim jego ulubiony gefreiter K.; jakiś zadumany, zamknięty w sobie, rozdrażniony.

Niestety Polak.

Nie wiedział o tem Kortz.

Jeńców wyprowadzono z obozu w kierunku wsi Kuchary; tam, w polu, stały wozy z łopatami. Rozdzielono je. Jeńcy mieli przystąpić do pracy. Podzielono ich na drobne grupki, ażeby w ten sposób uniemożliwić im porozumiewanie się.

Ani jedna partja nie podjęła poleconych prac. Zgromadzili się wszyscy razem, rzucili łopaty i oświadczyli, że wpraw chęć porozumieć się ze swym dowódcą.

Nie było go!

Wobec jawnego buntu 500 jeńców, uzbrojonych w łopaty, otoczonych zaledwie garstką 45 ludzi, Kortz zawezwał do pomocy przebywający w Jedlcu Landsturm. Przyszli. Otoczono jeńców. Kortz przemówił do nich i polecił wydać im topory. Oświadczył, że rowów kopać nie będą. Poleciał im natomiast obcinać gałęzie potrzebne... na opał!

Ponieważ i teraz odmówili, zawezwał „Arbeitskompanie“.

Jeńców odprowadzono do obozu. Pomagano im kolbami.

W barakach ustawiono ich grupkami, po pięciu. Każda piątka musiała się wyciągnąć na ziemi, ręce wysunąć naprzód i leżeć zupełnie spokojnie.

Nad każdą piatką czuwał żołnierz z wymierzonym karabinem!

Sanitarjusz B. R. już zdołał się dowiedzieć, że Kortz postanowił jeńców „ukarać”. Począł ich namawiać, ażeby tłumaczyli się chorobą, wskutek której pracować nie mogą. Nakłonił jednak tylko 74. Ci i tak zresztą wyglądali, jakby ich z grobu powyciągano. Inni byli zdecydowani na wszystko.

Zawezwany Landsturm stanowczo odmówił znęcania się nad jeńcami, dowodząc, że Kortz nie jest ich komendantem i dlatego nie potrzebują wykonać jego rozkazów.

„Czynność” kary wypełnili żołnierze wspomnianej „Arbeitskompagnie” i z pośród straży.

Kara nie była zresztą ciężka...

Lekka chłosta.

Dla przykładu.

Każdy jeńiec „wziął” około 40 kijów. Kije były takie sobie, średnio grubawe. Zmieniono je, bo okazało się, że jeńcy na bicie wogóle nie reagują.

Ze zdziwieniem też zauważyliśmy, że nie mogą się prawie podnieść i odwrócić nawznak. I znowu trzeba było pomagać im karabinami.

Ciekawi ludzie: przedtem nie chcieli pracować, a teraz, nie wydawszy ani jednej skargi, leżeli spokojnie i nie chcieli przyjąć podanego pokarmu. Któryś z nich poprosił o wodę. Mówił cicho, udawał chorego czy zmęczonego. Inny oświadczył, że nie mogą jeść, bo tak ich skatowano, że nawet ust nie są w stanie otworzyć.

Ten pewnie już nigdy nikomu nawet słowem nie wspomniał o biciu!

Przez cztery dni jeńcy nie przyjmowali pokarmu.

Fakt, że podawano im codziennie to samo pożywienie, nie dowodzi oczywiście, że było ono zepsute. Mięso może miało lekki zapaszek, no, ale przecież i my nie otrzymywaliśmy mięsa wprost z lodowni. Było ciepło, czasem niemal gorąco; cóż więc dziwnego, że pożywienie szybko ulegało zniszczeniu?

Przez cztery dni jeńcy nie ruszali się z namiotów.

Leżeli tam, gdzie ich położono w dniu chłosty. W kałużach błota i własnego kału.

Obrzydzenie! I to ludzie kulturalni, z wyższem wykształceniem!

W namiotach rozciągał się taki fetor, że nikt z nas do nich nie wchodził.

Sanitarjusz tylko biegał, jak wściekły. Groził Kortzowi, wymyślał żołnierzy, i ciągle wchodził do namiotów, obławowany bandażami i jakimiś butelkami. 50 jeńców było, według relacji sanitariusza, tak wyczerpanych, że już prawie konali. Na jego rozkaz wyniesiono ich ostatecznie do sąsiedniej trupiarni, którą w mgnieniu oka przerobiono na szpital.

Kilku z jeńców umarło w nocy. Zwłoki ich pozostały przez cały dzień na tem miejscu, na którem ich śmierć zaskoczyła. Nie było miejsca na urządzenie osobnej trupiarni. Wywieźć można ich było dopiero późnym wieczorem. W dzień był taki upał, że nawet nie można było myśleć o zabraniu zwłok.

Zwłoki, załadowane na dwóch wozach, wywieziono do Szczypiorna. Kondukt pogrzebowy wyruszył z miejsca wśród bicia dzwonów i śpiewu miejscowej ludności.

Na czele kroczył komendant Kortz.

Ksiądz, niejaki zdaje mi się Szymoniak, mimo naszego sprzeciwu, pokropił zwłoki. Z honorami wojskowemi odprowadzono wozy o jakieś pół kilometra od obozu. Zawróciliśmy, tamtych wywieziono.

Czy jednak do Szczypiorna?

Wozy wróciły już w dwie godziny później.

Szczypiorno oddalone o 20 kilometrów od obozu jeńców!

Sanitarjusz, unosząc się gniewem coraz gwałtowniej, wezwał lekarza wojskowego z Pleszewa. Przyjechał tego samego dnia, obszedł wszystkie namioty, spróbował pożywienia i ostro zjechał sanitariusza:

„Pocoście mnie wzywali? Czy myślicie, że mam czas, żeby do tego bydła zaglądać? Niech jedzą, to nie będą umierać“.

Odjechał, nie zbadawszy ani jednego jeńca.

Sanitarjusz biegał, jak opętany. Zagrożono mu natychmiastowem wysłaniem na front, jeżeli niepotrzebnie będzie przywoływał lekarza i obciążał swojemi głupimi skargami Kortza i podległych mu żołnierzy.

Z pośród jeńców umarło znowu 12. Lekarz stwierdził śmierć z powodu paraliżu serca.

Sanitarjusz powiedział głośno:

„Tak, wszyscy umarli na chorobę „bicia“!

Pod zmarłymi było pełno krwi.

Po czterodniowej głodówce zarządzono, z polecenia sanitariusza, sztuczne odżywianie jeńców. Sanitarjusz nakłonił ich wreszcie do przyjęcia pokarmów, przyrzekając, że pracować nie potrzebują.

Dla każdego przeznaczono litr mleka z jajkiem.

Byli jednak tak wyczerpani, a może raczej tak zacięli się w uporze, że niektórym usta trzeba było przemocą otwierać. Czasem dobrowolnie otworzył; czasem, zwłaszcza, gdy sanitariusz był na drugim końcu namiotu, pomagano jeńcowi pochwą pałaszem, obcęgami, w najgorszym razie kopniakiem w szczękę.

Ze temu i owemu wyłamano ząb, lub pokrwawiono twarz, to już trudno.

Chodziło o ratowanie życia, a nie o jeden głupi ząb.

Zapuszczano gumowe węże, tym sposobem wlewając jeńcom mleko. Fachowo umiał się z tem oczywiście obchodzić jeden tylko sanitariusz. Nam ta sprawa szła znacznie trudniej. To też wąż, gwałtownie wyciągany z przełyku, wychodził nieraz cały zakrwawiony. Nie było innej rady.

Żołnierz jest tylko wojakiem, a nie lekarzem i do tego lekarzem wrogów.

Skończyło się na tem, że sanitariusz przeklinając, wyrzucił nas z namiotów i dalej sam pracował.

Wieść o biciu jeńców rozniosła się bardzo szybko po wiosce. Ludność, zawsze solidaryzująca się z jeńcami, już w pierwszych dniach okazywała im swoje współczucie, gromadząc się na cmentarzu, przylegającym do obozu koncentracyjnego.

Jeńcom rzucano papierosy, kielbasę, chleb, masło, śledzie, aż wreszcie komendant zagroził ostreimi represjami w stosunku do mieszkańców Jedlca. Ale i groźby nie pomogły. Nadal na podwórzu obozowym znajdowaliśmy papierosy i wszelkiego rodzaju wiktuały.

Trzydziestu feldweblów rosyjskich, głównych buntowników, odesłano do folwarku, gdzie ich umieszczono pod silną strażą, w wilgotnej ciemni pod śpichrzem. Mimo, że żywności otrzymywali niewiele, czuli się jakoś dobrze. Byli uradowani. Podpadło nam, że co chwilę prosili o odprowadzenie do ustępu.

Oczywiście. Bliższe śledztwo wykazało, że w ustępie ukrywano dla nich żywność i papierosy.

Ale skąd oni o tym wiedzieli? Narazie trudno było dociec.

Gdy im zabroniono wychodzenia do ustępu, nie tylko nie byli tem przejęci, ale odwrotnie, widać było, że zamknięci, nabierają sił...

Dym papierosów stale unosił się w ciemnej piwnicy, wychodząc wąziuteńką szczeliną przez małe drzwi wejściowe. Przeprowadzono rewizję. Odebrano im kilka paczek papierosów, kielbasę i chleb.

Na drugi dzień powtórzyło się to samo.

Jeńcy, mimo ścisłego odseparowania ich od świata i ludzi, znowu mieli żywność i papierosy. Do piwnicy prowadziły jedne jedyne drzwi, pilnie strzeżone przez dwóch żołnierzy. Okna nie było. Posądzaliśmy straż, że dostarcza jeńcom pożywienia. Wobec tego wzmocniono straż do czterech żołnierzy. Wybrano wyłącznie Niemców.

Mimo to, nazajutrz rano, znaleziono w piwnicy kielbasę, ukrytą w kącie. W powietrzu unosił się zaduch

ludzkich odchodów i wilgoć, ale ponad tym odorem wisiał zapach papierosów.

Badanie nie doprowadziło do żadnego wyniku.

Pytania: „Skąd? od kogo?” — były bezcelowe.

Wobec tego w nocy potajemnie wyprowadzono jeńców polną drogą do obozu.

Wewnątrz piwnicy ulokował się Kortz z kilku żołnierzami. Dla zmylenia czujności tych, którzy jeńców odżywiali, przed drzwiami do piwnicy pozostawiono straż; wszystko miało upozorować, że jeńcy są nadal zamknięci w piwnicy.

I w ten dopiero sposób udało nam się dociec prawdy.

W nocy, około pierwszej, rozległy się nad piwnicą ciche kroki. Chwilę później lekkie pukanie. Jeden z żołnierzy również odpowiedział pukaniem. Zgóry powtórzono ten sygnał jeszcze raz, na który Kortz odpowiedział silnem uderzeniem w sufit.

W tej chwili rozległo się nad nami głośnie stukanie. Ktoś uciekał.

Wypadliśmy z piwnicy, obeszlśmy cały śpichrz dookoła, nigdzie najmniejszego śladu.

Wcześniej rano zażądał komendant klucza od śpichrza; udał się w towarzystwie zarządcy majątku na śpichrz, badał długo i szczegółowo. Nad piwnicą pracowały dwie dziewczyny, przesypując żyto z jednego miejsca na drugie. To podpadło Kortzowi. Godzina była piąta rano; praca zaczynała się więc dopiero, a tu już dwie dziewczyny zdołały w zamkniętym śpichrzu przeszuflować tyle żyta.

Wszelkie indagacje były daremne. Dziewczyny słowa nie rozumiały po niemiecku. Rządca był zupełnie spokojny.

Kortz wezwał nas kilku do przerzucenia żyta.

I oto okazało się, że w tem właśnie miejscu odbito w podłodze deskę, wywiercono dziurę, świetnie zresztą w piwnicy zamaskowaną i tą drogą komunikowano się z więźniami, dostarczając im pożywienia.

Na gorącym uczynku nikogo niestety nie chwycono.

Rządca zdziwił się naszym odkryciem i nie okazał żadnego zmieszania i niepokoju.

Dopiero drogą poufnych badań i żmudnych śledztw, popartych lekką chłostą, zdołano wydobyć od jednego jeńca, że przez otwór w podłodze śpichrza szły kielbasy, salcesony, kiszki, chleb i papierosy, a nawet wino.

Jeńcy, uwięzieni w piwnicy, nikogo naturalnie w ciemnościach nie widzieli. Dziurą wsuwała się jeno ręka człowieka litościwego; więźniowie gwałtem ją zatrzymywali i całowali ze czcią.

Spracowana, szorstka ręka polskiego robotnika.

Dla więźniów ręka błogosławiona!

I tę całowano.

Ludzie z wyższem wykształceniem, oficerowie rosyjscy.

Bez krzty poczucia ambicji i honoru oficerskiego!

— — — — —

Dwóch jeńców uciekło.

Krótki, cichy alarm o godzinie szóstej rano. Poszukujących wysłano nas dziesięciu. Prowadził podoficer. Cała akcja zrekonoskowania terenu, w pościgu za uciekinierami, odbyła się szybko i sprawnie. Śladów żadnych nie znaleźliśmy.

Po dwóch godzinach męczącego poszukiwania wróciliśmy z niczem. W czasie naszej nieobecności znaleziono na cmentarzu dwie czapki rosyjskie...

Wprawdzie rano przechodziliśmy przez cmentarz; nikomu jednak nie przyszło na myśl, że Rosjanie, uciekając, czapki swoje pozostawiają na mogiłach nam na pamiątkę.

Mając niezbity corpus delicti ucieczki jeńców, komendant Kortz zaostrzył rygor obozowy. Nas wogóle nie pytano o wynik poszukiwania. Tylko żołnierz, pełniący wachtę od strony cmentarza, widząc nas powracających, odezwał się ze śmiechem:

„Szukajcie tu gdzie bliżej. Uciekli! Pod ziemią może ich prędzej znajdziecie“.

Co chciał powiedzieć?

Bunt jeńców powtarzał się często.

Dziś znowu nie przyjęli pożywienia. Leżą całymi dniami w barakach; nie czyszczą ich wcale i nie porządkują. Zmuszeni do wyjścia na podwórze obozowe, stoją, podpierają się wzajemnie, obdarci, zawszawieni, niechlujni i przytem dziwnie spokojni. Wszyscy zresztą nie wychodzą z namiotów. Są tacy, którzy od tygodnia leżą nieruchomo na tem samem miejscu, sztucznie odżywiani przez sanitariusza.

Tłumaczą się osłabieniem.

Dziś jednego wyciągnięto z cuchnącej latryny; upadł tam i zemdlął. Leżał chyba kilka godzin, przez nikogo niezauważony, zabrudzony, śmierdzący.

Sanitarjusz stwierdził nie zemdleńie, a śmierć, krzycząc, że to prawdopodobnie żołnierz, konwojujący jeńca, dopomógł mu kolbą karabinową do tej sytuacji w latrynie.

I znowu naturalnie powtórzyły się awantury pomiędzy sanitariuszem a komendantem obozu.

Tym razem nie urządzono pogrzebu, ażeby nie podniecać miejscowej ludności. Zwłoki zmarłego, czy też w kale zaduszonego jeńca, wywieziono, zdaje się, w nocy, na pole.

Gefreiter K. i podoficer R. twierdzą, że napewno zakopano go w latrynie.

Obaj Polacy, wierzyć im więc nie można.

Nie wiemy, dlaczego Generalkommando przydziela do pilnowania jeńców buńczucznych Polaków. Wszędzie coś wietrzą, wciskają się, zawsze pewni siebie. W razie grożącego im niebezpieczeństwa, powołują się na wysoką kulturę Niemców.

Szyderstwo, czy ironja?

Utрудniają nam jeno pracę i uniemożliwiają właściwe traktowanie jeńców tak, jak ci na to zasługują.

Wśród jeńców jest wielu, jak wspomniałem, Polaków. Ci stale są w zмовie i porozumieniu z sanitariuszem. Im też powodzi się najlepiej. Chociaż bowiem sanitariusz z troskliwością, naprawdę godną lepszej sprawy, obiega jednakowo wszystkich jeńców, Polacy widzą w nim pewnie swojego rodaka. Zapominają, że to nie jest żaden Polak i rodak, ale z krwi i kości żołnierz niemiecki, który w pierwszym rzędzie musi być Niemcem i uczciwym obywatelem niemieckim.

Jeden z jeńców Polaków namalował na desce obraz Matki Boskiej, umieszczając pod nim napis:

„Matko Boska Częstochowska, zmiłuj się nad nami“.
Skąd wziął farby?

Obraz podawano sobie z rąk do rąk. Jeńcy prawosławni przyciskali go drżącymi rękami, zwracając oczy w kąty namiotów, jakby tam szukali swoich świętych ikon.

We wszystkich wstąpiła nowa fala otuchy i radości. Ciężko chorym podawano obraz, przykładając go do zaciśniętych w bólu ust. Całowali z takim namaszczeniem, jakby do nich bóstwo z nieba zstąpiło.

Groziła oczywiście obawa nowego buntu. Wszystko wskazywało na to, że tym razem będzie on jawny i silny, posunięty chyba do głodowej śmierci wszystkich jeńców.

Uwagę straży zwróciło wielkie poruszenie w jednym z baraków.

Jeńcy skupili się dokoła umierającego towarzysza. Szemrali coś półgłosem, a jeden, klęcząc obok umierającego, trzymał nad nim obraz, jakby go nim żegnał. Z sąsiedniego baraku przekradło się kilku jeńców do umierającego. To ich właśnie zdradziło. Nie wolno bowiem było przechodzić z jednego namiotu do drugiego. Okazało się, że to ten nieszczęsny obraz był zarzewiem mającego wybuchnąć buntu. Mimo bowiem wzmożonej czujności podwojonych straży, obraz przemycano z jednego namiotu do drugiego. W każdym zatrzymywano go jak najdłużej.

Jeńcy cieszyli się, jak małe dzieci. Pieścili obraz, dotykali palcami, całowali go. Dopiero współtowarzysze

sąsiedniego baraku zgorączkowani, niecierpliwi, przysyłali po obraz.

Na szczęście udało się wysledzić te knowania.

Obraz odebrano. Rozległ się płacz, wyciągnęły się ramiona, z namiotu do namiotu roznosił się szloch długi, przeciągły, który zakończył się jakimś głuchym skowyt-em w chwili, gdy, w obliczu jeńców, obraz spalono na środku podwórza.

Sprawcę, malarza, spotkała zasłużona kara: trzy dni w ciemnicy; o głodzie, wśród upalnego dnia bez kropli wody.

I znowu sanitariusz, grożąc, puścił pogłoskę, że człowiek ten umarł, zamęczony głodem. Tymczasem komisja, wyłoniona ad hoc przez dowódcę z pośród landsturmistów kompanji z Jauer I stwierdziła, że jeńiec umarł najprawdopodobniej tak, jak jego poprzednicy, na udar serca.

Jeńcy zmienili taktykę. Dotąd spokojni i cisi, teraz, za najlżejszem popchnięciem ręką, za wskazanie kierunku karabinem, krzyczeli głośno, wyli, jakby ich kto conajmniej mordował.

Wściekłość Kortza nie miała granic. Jeńcy przecież nigdzie nie wychodzili, a mimo to te ogromne wrzaski ściągały pod obóz moc ludności.

Zołnierze gęstym pasem otoczyli obóz, odsuwając ciekawych jak najdalej. Droga, obok obozu, nikomu nie wolno było przechodzić.

Wszystkie nasze usiłowania okazały się daremne. Mieszkańcy wsi gromadzili się na cmentarzu kościelnym, oddalonym od obozu zaledwie o kilkanaście metrów, a znajdującym się na wzniesieniu. Pomędzy nimi był ksiądz, który, nie tając swojego oburzenia, głośno zymyślał komendanta.

Jeńcy, przylepieni formalnie do drucianego płotu, z gęstym zarostem na twarzach, długimi, zwichrzonemi włosami, robili wrażenie dzikich małp, zamkniętych w klatce. Wycie pięciuset ludzi było okropne. W promieniu jednego kilometra od obozu słyszać było te

wrzaski. Zmusiliśmy ich do wejścia do namiotów. Tam, zamknięci, kontynuowali swoje krzyki.

Oburzenie ludności wzrastało. Kortz wysłał żołnierzy, ażeby przepędzili przypatrujących się z cmentarza.

Ksiądz, nie chcąc dopuścić do znieważenia „świętego“, jak się wyraził miejsca, wezwał swoich parafjan do dobrowolnego opuszczenia cmentarza. Wszyscy poszli do kościoła, gdzie, wśród szlochów i płaczu kobiet, odprawiono podobno jakieś modlitwy za umierających i odśpiewano suplikacje. Potem, na prośbę księdza, rozeszli się spokojnie do domów. Ksiądz natomiast, zamknąwszy się w kościele, wszedł na ambonę i przez okno spoglądał na obóz.

Przy zapadającym zmroku wieczornym znowu z namiotów rozległy się krzyki. To jeńcy otrzymywali karę cieńkami wtkami wierzbowymi za całodzienne awantury. Kolacji nie podano im tego wieczoru.

W oknie kościoła majaczyła ciągle blada twarz księdza.

Jak długo tam stał?

Upiorna jego głowa zniknęła dopiero w ciemności nocy. Wyszedł chyba nazajutrz rano, po nabożeństwie.

Kortz zagroził mu aresztowaniem, a w razie konieczności rozstrzelaniem.

Ksiądz pokiwał głową, rozejrzał się i tak, jak stał, bez nakrycia głowy, pochylony, udał się gdzieś; szedł powoli, jakby miał zbolące nogi.

Mężczyzna zawsze żywy, energiczny, w sile wieku męskiego.

Podobno poszedł szukać interwencji.

— — — — —
Dzisiaj znowu kilku jeńców zmarło. Tym razem chyba z głodu.

Sami sobie winni. Zawsze gwałtem nie można im wpychać.

Pochowano ich w nocy.

Tak czyniono zresztą zawsze, ze względu na upał.

— — — — —

Generalkommando z Poznania zawiadomiło nas o zamiarze zwiedzenia obozu koncentracyjnego przez komisję lekarską.

To pewnie skutek intryg księdza, który podobno o wszystkim doniósł jakiejś wpływowej arystokratce, interwenjującej u generała.

W obozie ruch. Jeńców, zdolnych do chodzenia, wyprowadzono na przechadzkę. Chorych umieszczono wygodnie w sali szkolnej.

Sami musieliśmy czyścić śmierdzące baraki parszywych moskali.

Kortz przemówił do jeńców, zapowiadając im przyjazd komisji i jak najenergiczniej polecając mówić tylko i wyłącznie prawdę.

Wymowę miał silną, szorstką, żołnierską. Słowa jego, przetłumaczone jeńcom, wywołały pewne zdziwienie.

Wnet zrozumieli, gdy Kortz, powtarzając raz jeszcze słowa o mówieniu prawdy, wskazał na stojącą obok siebie straż!

To najskuteczniejszy argument dla hardych i głupich.

Na drugi dzień po odebraniu zawiadomienia, przybyła komisja, złożona z dwóch osób. Chodzili od namiotu do namiotu, wypytując jeńców o pożywienie, o stosunki, o pożycie towarzyskie. Próbowano pożywienia.

Wszędzie towarzyszył im Kortz, który, wchodząc do namiotów, uśmiechał się przyjaźnie do jeńców, poklepywał poufale po ramieniu, czasem przemawiał, posługiwał się zasłyszaniem słowem rosyjskiem...

Kortz, dowódca obozu i serdeczny przyjaciel jeńców!

Komisja nie znalazła nic szczególnego.

Tu i ówdzie pewne niedopatrzienia, brak jakichś drobnotek, o które zresztą trudno w prowizorycznym obozie; poza tem czystość, porządek, jak najlepsze warunki higieny, smaczne pożywienie, świeża woda...

Z żołnierzami odwachu przeprowadzono szczegółowe badania protokółarne. Sanitarjuszowi polecił Kortz dzień poprzednio złożyć pisemne oświadczenie. W czasie po-

bytu komisji w Jedlcu, wysłano go, z polecenia lekarza, do sąsiedniej wsi. Wyszedł w sprawach służbowych.

Po powrocie do obozu, z którego już komisja wyjechała, twierdził, że w protokóle, zabranym przez komisję, brakowało jego pisemnych zeznań.

— — — — —

Kortz będzie pewnie odznaczony orderem.

Wobec negatywnego wyniku badań komisji, sanitariusz, widząc, że już w godzinę po wyjeździe komisji przywrócono w obozie „status quo ante“, telefonicznie zawezwał lekarza.

Z powodu pilnych zajęć służbowych, przybył dopiero w cztery dni później. Wśród jeńców nic się na zmieniło. Nadal stosowali bierny opór. Pożywienie przyjmowali bardzo rzadko. Zarła ich jakaś tajemnicza choroba. Wszelkie zabiegi sanitariusza przerywał Kortz jednym krótkim: „nie“.

Kilka razy ksiądz próbował jeszcze swoich wpływów. Kortz zbył go lakoniczną odpowiedzią, że panem jeńców jest on, komendant; ksiądz niech pilnuje spraw kościelnych i parafjalnych.

Ten ksiądz powoływał się na uświęcone tradycje narodu niemieckiego, szanującego spokój niedzielny, który tu w Jedlcu zakłócono najpierw budową baraków podczas głównego nabożeństwa, uniemożliwiając wygłoszenie kazania, a teraz, jakby z rozmysłem, tak twierdził, wybiera się porę nabożeństwa, jako godziny tortur dla jeńców.

Na, na, księżu! Tak źle nie jest. Przecież i my uznajemy prawo Boga. Tylko chwilowo zawisła nad nami groza okrutnej wojny. Nikt nikogo nie torturuje. Dawniej posługiwano się wymyślnymi machinami, my stosujemy najłagodniejszą karę — chłosty.

Prawo wojny!

Nad nami unosi się obłądna wizja naszych dzielnych żołnierzy, którzy tam, na odległych frontach, ponoszą śmierć od kuli nieprzyjacielskiej. A jeżeli już gdziekol-

wiek są nasi jeńcy, to wróg napewno nie umieszcza ich w obozach koncentracyjnych.

Jest dla nich tylko kula i bagnet. Śmierć najokropniejsza. Znęcanie się nad rannymi.

My stosujemy tylko prawo odwetu.

Forma tego odwetu jest poważna, utrzymana na wysokości humanitarnych zobowiązań może nie między-narodowych, ale naszych własnych.

Potęgę państwa oparliśmy na wysoko postawionej etyce, na bojażni bożej.

— — — — —

Sanitarjusz coraz częściej oddala się z obozu. Wraca po krótkim czasie, zawsze obładowany. Bez przeszkód wchodzi do namiotów.

Na pytanie Kortza: „Co pan tam znowu temu bydlu znosi?” -- wogóle nie odpowiada.

Pokazał kilka buteleczek, zawierających niby lekarstwa. Tymczasem jeden z landsturmistów znalazł wyrzuconą butelkę. Zapach jej zupełnie nie przypominał lekarstwa.

Chyba umówimy się między sobą, że odtąd koniak i dobre, czerwone wino będziemy nazywać lekarstwem!

W kieszeniach kilka razy dziennie przynosił cukier w kostkach, przesycony jakąś piołunówką, czy podobną miksturą. Podobno na żołądek.

Pewnie! Pewnie!

Jeżeli jeńcy sądzą, że w niewoli można w jedzeniu przebierać i wybierać smakołyki, to bezwzględnie niedługo wszyscy zachorują na... żołądek.

Nasza żołnierska kasza i peklówka z grochem najzupełniej nie nadaje się na wybredne moskiewskie podniebienia.

— — — — —

Z Poznania nadszedł rozkaz.

W najbliższych dniach mamy opuścić Jędec.

Jeńców przeznaczono do obozu koncentracyjnego w Parchinie.

Chwała Bogu!

Skończy się wreszcie ta nasza udręka.

Mamy pójść na odpoczynek do stałego pobytu stacjonowania pułków, a potem prawdopodobnie na front.

Kortz odznaczony. Otrzymał awans na Offizierstellvertreter!

Przez ostatnie dwa dni ćwiczymy jeńców. Prawie gwałtem trzeba ich wyciągać z namiotów.

Uczymy ich maszerować. Urządzamy z nimi dłuższe przechadzki, ażeby im trochę nogi wyprostować. Mają odbyć przecież piętnastokilometrowy marsz do Pleszewa na dworzec.

W ostatnim dniu pobytu w Jedlcu Kortz przemówił do jeńców:

„Najjaśniejszy nasz cesarz Wilhelm II-gi w dobroliwości swojej raczył darować wam, wy ścierwa ludzkie i psy, życie. Odpowiedzieliście buntem. Łaskę najjaśniejszego pana przyjęliście z pogardą. Za chleb i strawę płaciliście awanturami i krzykiem.

Wielkiemu Bogu w niebie spodobało się wyrwać kilku z waszego grona i powołać do siebie. Zwłoki ich, jak wiecie, złożyliśmy, z zachowaniem wszelkich należnych wam honorów, w grobach w Szczypiornie.

Wychodźcie z pod mojej ojcowskiej opieki. Przebaczam wam bunt i wasze niesłuszne skargi. Tam, w Parchinie, dokąd pójdziecie, pracujcie. Oby wam Majestat Cesarski raczył przebaczyć“.

Skończył.

Słowa krótkie, twarde, jak całe życie komendanta-żołnierza.

Jeńcom pozwolono, ażeby w ostatnich godzinach pobytu w Jedlcu wyrazili swoje życzenia. Zbici w jedną gromadę, w łachmanach, pokurczeni, skuleni, szeptem porozumieli się; poczem wystąpił jeden feldwebel rosyjski, zdaje się Polak, silnie zbudowany, trzymający się

jeszcze najlepiej ze wszystkich i zwrócił się do komendanta z prośbą.

Chciał nam wszystkim podziękować. Zgromadziliśmy się, z komendantem na czele, prawie wszyscy; nie było sanitariusza. Jeniec wysunął się kilka kroków naprzód i zaczął w języku niemieckim:

„W imieniu nas, jeńców, wszystkich tu obecnych, żyjących i w imieniu tych, którzy zakopani, leżą tam pod latryną...

Kortz mu przerwał.

Jeniec, cofnąwszy się, otoczony współtowarzyszami, wołał już teraz w nerwowym podnieceniu:

Wobec wszystkich tu zgromadzonych, w obliczu Boga i czekającej nas śmierci, was żołnierze barbarzyńskiego państwa niemieckiego oskarż...

Nie dokończył.

W ostatniej godzinie w Jedlcu połała się krew.

Po nieprzespanej nocy wyruszyliśmy o godzinie 6-ej rano, konwojując jeńców z obozu w kierunku Pleszewa.

Mieszkańcy Jedlca z płaczem rzucali odchodzącym jeńcom słowa otuchy, obdarzając ich paczkami. Te zresztą natychmiast konfiskowaliśmy.

Taki był rozkaz Kortza.

Jeńcy rzucali z podziękowaniem na pamiątkę jakieś blaszane pierścionki, miniaturowe figurki; wszystko bez wartości. Pracowali nad ich wykonaniem w barakach, wyrabiając je z puszek, papieru, chleba i gliny sposobem najprymitywniejszym. Na każdym takim przedmiocie umieszczano datę pobytu w Jedlcu, imię i nazwisko jeńca. Wiele zdołaliśmy odebrać. Inne zatrzymywała pewnie miejscowa ludność jako dowód, że i tu „wojna“ dotarła.

Drogę do Pleszewa odbywaliśmy bardzo powoli. Jeńcy nie chcieli iść. Czasem ten i ów upadał. Nie było wozów; towarzysze musieli ich podtrzymywać. A przecież dzień poprzednio otrzymali dodatkowe porcje!

Mimo to maszerowaliśmy od godziny 6-ej rana do godziny 8-ej wieczorem.

Wszędzie ścigały nas nienawistne spojrzenia; mieszkańcy odprowadzili jeńców; widzieli tylko ich. Kwiaty rzucano im pod nogi, a nie nam, zwycięzcom i obrońcom ich mienia.

I to w naszym własnym kraju.

W śpichlerzu całego państwa niemieckiego.

Miarą przykładnej kary Kalisza i jego buńczucznych mieszkańców trzebaby i tę dzielnicę zmierzyć.

Rzucić do nóg. Nauczyc milczenia i pokory!

Wtedy dopiero rozległyby się błagalne skomlenia o łaskę.

W Pleszewie na dworcu wieczorem krótkie pożegnanie. Na pamiątkę od nas, jako podziękowanie za przeszłość i nauczkę na przyszłość, kilka ostatnich, serdecznych, nietyłe może pięknych słów, Ile raczej gestów.

Jeńców zdaliśmy konwojentom kolejowym. Pojechał z nimi nasz sanitariusz,

Od niego po powrocie dowiedziałem się, że w drodze otrzymał polecenie, ażeby na każdej stacji zabierać dla jeńców żywność i koniak.

Na stacji w Brandenburg zebrał się tłum ludzi z wiktuałami dla jeńców. Tam też do sanitariusza podszedł jakiś stary major pruski. Otrzymawszy na swoje pytanie odpowiedź, że to są jeńcy rosyjscy, spuścił głowę i rzucił krótkie:

— Czy to jest „menschlich“?

Niby co?

Po kilku minutach do wagonów z jeńcami podeszli kelnerzy restauracyjni, obładowani wodą, piwem, papierosami i ciastkami.

Przysłał major.

Nazwiska jego niestety nikt nie zdołał stwierdzić. W bufecie zakupił te towary, zapłacił gotówką, polecił

natychmiast podać jeńcom i, wmięszawszy się w tłum, stojący przed dworcem, znikł.

Do obozu koncentracyjnego w Jedlcu przybyło pięciuset jeńców rosyjskich, po trzytygodniowym pobycie wyszło ich do Parchina około czterystu...

W kilka dni później na ich miejsce do Jedlca przybyli jeńcy francuscy.

Pewni siebie, buńczuczni, hardzi. Nie pracowali. Wylegiwali się na słońcu, śmiejąc się z pogroźek straży. Często wychodzili pod opieką żołnierzy do wioski po zakup towarów i pożywienia. Z Francji codziennie otrzymywali paczki.

Na groźby odpowiadali groźbami, powołując się na jakieś międzynarodowe układy, dotyczące opieki nad więźniami.

Ze strażą żyli się zresztą szybko.

Wracam do Kalisza.

O pobycie swego pułku nic nie wiem.

Idzie nas kilku. Terminu nie mamy wyznaczonego, więc maszerujemy powoli.

Chociaż od Kalisza dzieli nas zaledwie jakieś piętnaście kilometrów, drogę tę odbywamy w ciągu trzech dni.

Idziemy po stronie rosyjskiej. Niebezpieczeństwa niema. Gorejąca luna nad Kaliszem jest najlepszym postrachem dla ludności. Każdą prośbę o żywność, czy nocleg, popieramy jedynym argumentem: wskazujemy płonący Kalisz.

Jest on dla nas równocześnie drogowskazem, za którym idziemy do naszych. W przenośni jest drogowskazem dla naszej bohaterskiej armji.

Podczas tej trzydniowej wędrówki zapoznajemy się bliżej ze stosunkami ludności rosyjskiej.

Po naszej stronie, w okolicy Pleszewa i Ostrowa, widzieliśmy sznury wozów; ciągnęły od Kalisza, wioząc pierwszą zdobycz wojenną.

Tu, w Rosji, czy, jak mieszkańcy tutejsi mówią „w Polsce“ (?) spotykamy się również ze śladami Kalisza. Jenó, że to wszystko pochodzi już wyłącznie z kradzieży. A kraść nie było wolno w Kaliszu.

Wywozić łupy wojenne mogli tylko ci, którym wojna dała prawo: Niemcy. Wszyscy inni, to złodzieje cudzego mienia, hijeny i szakale, żerujący na ludzkim nieszczęściu. Za kradzież kula w łeb.

Dziewczyny na wioskach nosiły barwne pończochy, kolorowe parasolki, wzorzyste suknie. Sam ich wygląd wskazywał, że importem pochodzą wprost ze spalonego Kalisza.

Nie było jednak widać przedmiotów większych. Meble, fortepiany, obrazy były u naszych mieszkańców w prowincji Poznańskiej.

Tu przeważały drobnostki, dla których nie warto było życia narażać.

Ponieważ ogłoszenie mobilizacji ludzi i koni w Rosji nie zdążyło już dotrzeć do zachodnich granic państwa, mieszkańcy wiosek, przez które przechodziliśmy, przebywali prawie wszyscy w domu. Niektórzy mężczyźni zgłosili się ochotniczo. Kilku dotarło do małego miasteczka Łasku. Wojska rosyjskiego, ani urzędników już nie zastali. Rozbiwszy monopol z wódką, wrócili do domu.

Czy nie tak było może też w Kaliszu?

Czy i tu nie kradli ci sami?

A może to oni, obrabowawszy składy monopolowe z wódką, dopuścili się prowokacji naszego wojska?

Najlepiej wie o tem nasz pierwszy komendant w Kaliszu, chluba naszego wojska, major v. Preusker!

Wogóle, po drodze spotykamy wszędzie ślady pobytu Moskali, którzy zresztą w pierwszym dniu wojny porzucili swoje „posty“. W pośpiechu nie zdołali pozabierać nawet siodeł i karabinów.

Dzielni carscy wojacy!

Rosyjskie strażnice graniczne zajęli nasi urzędnicy celni i żandarmerja. Gdy jednak w pierwszych dniach

wojny rozniosła się pogłoska o następującej na nas armji rosyjskiej, opuszczono te „posty“, zabrawszy z nich wszystko, zwłaszcza kozackie siodła i karabiny.

Był to jedyny sposób uchronienia tych przedmiotów przed kradzieżą mieszkańców.

W kilka tygodni później, w wioskach rosyjskich, położonych nad granicą, rozlokował się nasz Landsturm.

Zarządzono przedewszystkiem poszukiwania za papierami mobilizacyjnymi. Ludzie potrzebni byli do prac ziemnych. Konie jeszcze bardziej,

Wszelkie papiery jednak tak ukryto, prawdopodobnie zakopano, że poszukiwania były daremne. Broń urzędów gminnych zatopiono w stawach. Ludność miała na wszystko jedno, jedyne wytłumaczenie: papiery zabrał sekretarz gminny i uciekł.

Z tymi sekretarzami to było zresztą niejednokrotnie tak, że przebywali oni u krewnych, względnie u znajomych. Ponieważ z naszych nikt ich nie znał, więc zdarzało się, że nieraz taki sekretarz sam wojsku naszemu udzielał szczegółowych informacji o swojej własnej ucieczce. Sam za jasnego dnia paradował swobodnie bez obawy po wsi.

Z tej komicznej, a dla wojska naszego przykrej sytuacji, wnet landsturmistów wybawiło dowództwo.

Ludzie byli pod urokiem naszego zwycięstwa w Kaliszu. To też wcześniej rozeszły się po całej okolicy kadry posłusznych naszych szpiegów, którzy w ciągu kilku tygodni wysledzili i sekretarzy gminnych i ukryte papiery mobilizacyjne. Szybko i sprawnie zabrano się, przy pomocy miejscowej ludności i obowiązkowo dostarczonych podwód, do budowy dróg.

Tak nakazywały względy strategiczne.

W kraju nieprzyjacielskim, w kraju analfabetów, zaprowadzaliśmy kulturę i cywilizację.

Ludność na wsi tak zżyła się z żołnierzami, że przy opuszczaniu przez nich tych okolic, pożegnanie odbyło się z obustronnym płaczem.

Żołnierze mieli nadmiar bielizny, ubrań, jedzenia.

Mieszkańcy żalowali ich za papierosy, chleb, tłuste mięso.

Dziewczęta za miłość!

Kraj okupowany był w pierwszych miesiącach wojny krainą bogatą, śpichlerzem dla naszych rezerw.

Paczki do ojczyzny odchodziły codziennie. Później, w latach głodu w Berlinie, zamiast przetrzebionych i niezupełnie wybitych świń, krów, kur, indyków, kaczek i gęsi, szły kosze, pełne młodych wron! Lasy polskie dostarczały ich mnóstwo!

Kalisz.

Po dłuższej nieobecności taki inny, odległy, jakby nie ten sam, z okresu naszych w nim walk zwycięskich. Ludności niewiele. Ale jednak jest jeszcze.

Dawniej, gdy byłem niejako mieszkańcem Kalisza, podczas codziennych naszych na miasto napadów, nie widziałem całego zniszczenia. Wówczas zresztą było to jedno morze ognia, przez które przebiegaliśmy chyłkiem, tropiąc zwierzynę, sami ścigani, tropieni, niepewni życia.

Dziś, chociaż nad miastem wiszą jeszcze obrzękłe chmury czarnego dymu, chociaż walą się jeszcze mury i płoną belki, mogę się lepiej zorientować.

Wojsko szybko przechodzi ulicami. Wszędzie smród, zaduch spalenizny; tu i ówdzie wymykające się oknem czerwone płomienie ognia, a poza tem wzdłuż i wszerz, przedewszystkiem całego śródmieścia, duszący dym, nabrzmiały od fetoru rozkładających się po kątach trupów ludzkich, ścierva końskiego, zabitych psów, kotów i szczurów, na każdym kroku zalegających ulice.

Mieszkańcy chodzą, jakby zaciekawieni. Na twarzach ich maluje się zdziwienie. Nie wierzą, że są pozbawieni dachu nad głową, pożywienia...

Pod murem leży kobieta. Nogi spuchnięte. Koledzy opowiadają, że to jest ich wierna towarzyszka. Wszędzie z nimi maszeruje. Urządza z nimi napady na domy i sklepy. Nic nie bierze. Ogląda przedewszystkiem wszystkie ściany, szuka łóżek, przewraca w strachu pozostawione pierzyny, przerzuca szafy, zagląda we wszystkie kąty, a nie znalazłszy tego, czego szuka, zaczyna się śmiać histerycznie, wrzeszczy, rzuca się na ziemię, rozdziera i tak poszarpane już suknie...

A potem z jakąś furją wybiega na ulicę. Wraca, niosąc w ręce płonący kawał belki, zapala pierzyny, ubrania...

Z palącego się mieszkania trzeba ją gwałtem wyciągać.

Raz zapaliły się na niej włosy. Zdawało się, że nawet tego nie zauważyła. Żołnierze uratowali ją. Poparzona na twarzy, czerwona, z rękami napół zwęglonemi, zrzuciła z siebie suknie i nago tańczyła przed idącym za nią wojskiem.

Młoda, około trzydziestu lat.

Z urywanych słów domyśliliśmy się, że szuka swojej córki. O mężu nigdy nie wspominała.

Jeden z żołnierzy zlitował się nad nią.

Leży już teraz, spokojnie skulona, tam, pod murem; siedzi, jak żywa, na tem samym miejscu. Zboku zwisa kilka kropelek zastygłej krwi.

Już więcej tańczyć nie będzie.

Kobieta chora, obłąkana.

Mieszkańcy wreszcie nauczyli się nas szanować. Jak w pierwszych dniach naszego między nimi pobytu okazywali wyniosłą dumę, tak teraz, na widok żołnierzy kłękają, składając błagalnie ręce.

Włoką się z tobołami. Z miejsca na miejsce, z jednej nory do drugiej przenoszą pierzyny, szafy, łóżka, słomę...

Po co?

Jeżeli nasz żołnierz zastąpi im drogę, rzucają się na kolana, puszczają wszystko z rąk i złożone wznoszą wysoko do nieba.

Dziś naprzykład w samem śródmieściu, w pobliżu spalonego ratusza, spotkaliśmy kobietę z trojgiem dzieci. Obładowana jakimiś workami i kołdrami, jedną ręką podtrzymywała cały ciężar, okręcony dokoła szyi; na drugiej trzymała małe, kilkomiesięczne dziecko. Zobaczywszy nas, chciała ukłęknać. Ponieważ to zbyt długo trwało, jeden z nas pomógł jej, pociągnawszy z tyłu za ciężki worek. Przechyliła się momentalnie, z prawej

ręki wypuściła węzeł sznurów, podtrzymując w upadku obu rękami dziecko. Wskutek ciężaru sznur zacisnął się na szyi...

W kilka godzin później wracaliśmy tą drogą.

Kobieta leżała w tej samej pozycji, oparta o tłumoki. Twarz cała sina, oczy szeroko otwarte, na ustach wysuwający się w pianie język...

Rękami przyciskała kurczowo dziecko, które spokojnie ssało odkrytą pierś. Dwoje innych obok. Chłopczyk spał smacznie, wtulony między kolana matki; dziewczynka obchodziła wkoło, ciekawie się rozglądając. Gdy nas dojrzała, skrzywiła bladziuteńką twarzyczkę.

Kilka cukierków, wciśniętych w rączkę, udobruchało małą...

Tak ładnie uśmiechała się do nas, kiwając zdaleka małą rączką i opychając się cukierkami.

Nie wolno było kraść. Przypominaliśmy o tem na każdym kroku. Cóż, kiedy słowa nigdy nic nie pomagały. Zawsze trzeba było przykładów.

A i te nie zdołały ludzi odstraszyć.

W jednej z bocznych uliczek do składu jubilerskiego wciskał się jakiś jegomość. Wchodził przez rozbite okno. Przechyliwszy się, wystawił na ulicę tylną część tułowia, podciągając się nogami po murze.

Krótki rozkaz, a raczej szybkie porozumienie się na migi.

Odwiedzione cyngle i równocześnie osiem kul w szeroką sempiternę.

Uśmialiśmy się serdecznie.

Sprawozdania oczywiście nie potrzeba było z tego nikomu zdawać. Oficerowie wogóle nie pytali się nigdy. Strzelać wolno było każdemu żołnierzowi o każdej porze dnia i nocy, jak tylko fantazja taka wpadła mu do głowy.

W tym wypadku zresztą nie ponosiliśmy nawet odpowiedzialności moralnej za nasz czyn: ukaraliśmy złodzieja, chwyczonego na gorącym uczynku.

Sprawiedliwości stało się zadość.

W małym kościółku, dawniej podobno klasztorным, było jeszcze kilku zakonników. Na wymarcu. Staruszkowie po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat. Schronili się gdzieś wszyscy. Jednego jednak odkryliśmy za ołtarzem. Udawał głuchego. Ciągłe nadstawiał uszy, wysuwające się z pod długich, siwych włosów. Zgarbiony, powoli dreptał za nami. Pomagano mu, jak tylko kto mógł i umiał. Tak pocieszenie składał zgrzybiałe, pomarszczone ręce, jak tresowany piesek.

Nie wiem dokładnie, co się z nim stało.

Z nami nabiegał się bardzo wiele. Włączony do jakiejś czwórki, odbywał marsz ćwiczebnym krokiem. Nogi podnosiliśmy mu wysoko.

Po pewnym czasie zginął. Szukaliśmy go w jego ulubionym kącie za ołtarzem.

Nie było go tam.

Pewnie wpadł gdzie do lochu piwnicznego podczas brania „przeszkód“ w biegu naprzelaj, cośmy zresztą, w pogoni za złodziejami, bardzo często urządzali, a w czym nam zacny księżunio wiernie towarzyszył.

Może potknął się i ze strachu wcisnął gdzie w ostatni, ciemny kąt, nie mogąc i może nie chcąc wydrapać się w górę.

Od kilku dni mieszkamy w mieście. Nie mam właściwie przydziału do bataljonu, przebywającego w Kaliszu, ale, jako „obdachlos“, korzystam z „Erholungsurlaub“.

Do domu zadaleko. Odpoczywam więc po trudach tu, w Kaliszu.

Zakwaterowano nas w gimnazjum i w gmachach urzędowych. Gdy bowiem w czasie pożaru spłonęła wielka ilość domów prywatnych, dziwnym zbiegiem okoliczności artylerja oszczędziła domy urzędowe. W kilku pozostałych domach prywatnych mieszkańcy stawili stanowczy opór, sprzeciwiając się zakwaterowaniu żołnierzy. Tam oczywiście urządzano kwatery przymusowe.

Taka pani gospodyni wymyślała żołnierzom od złodziei, rozpustników i morderców, a po kilku dniach przy-

nosiła pięknie wykalfigrafowany rachunek za mieszkanie, za używanie połamanych łóżek, zawszawionej i zgnilej słomy, za rozbite krzesła i cienką kawę.

Okna były zabite deskami, lub zalepione papierem, zasłonięte workami, kołdrami, sukniami... szyb nie było chyba w całym Kaliszu.

I za te przyjemności, za mieszkanie na trzeciem piętrze, na które wchodziło się po zbutwiałych, czasem napół spalonych schodach, mieliśmy płacić słone rachunki. Ponieważ komenda garnizonu, obozującego w Kaliszu, wydała, w formie dziennego rozkazu, polecenie do żołnierzy, ażeby obchodzili się bardzo łagodnie z mieszkańcami, więc ludność, dowiedziawszy się o tem, wnet zapomniała o ubiegłych, krwawych dniach gniewu niemieckiego żołnierza i już chciała z niego ciągnąć zyski.

Taką panią przekonywano długo o tem, że cena kawy jest znacznie niższa od tej, którą ona wypisała na rachunku, że gdzieindziej żołnierze śpią w salonach na eleganckich kanapach, rozsiadają się w wygodnych fotelach, że od swojej gospodyni otrzymują śniadania, obiady, kolację... a potem jeszcze... naddatek.

Wybuchła na to długą litanją przekleństw, przeplatanych słowami modlitwy i morałami i od początku zaczęła swoje.

Zniecierpliwieni, przedstawialiśmy wreszcie Quartier-zettel z wypisanemi szczegółowo cenami, obowiązującymi żołnierza.

Wydarty ręką gospodyni, zdeptany. Wtedy dopiero, po wyczerpaniu tych wszystkich argumentów, można było, w myśl instrukcji dowództwa, wszczać kroki mniej ugodowo-pokojowe. Babę za drzwi. W razie krzyku, zamykało jej się usteczka na kilka dni conajmniej.

Gdy wrzaski stawały się zbyt dokuczliwe, spuszczało ją się na sznurze w klatce schodowej z trzeciego piętra na wysokość pierwszego. Po godzinnej huśtawce w powietrzu, baba, wciągnięta zpowrotem, wracała udobruhana, spokojniuteńka. Ale takie potem uciekały. To nie było nam na rękę. Kobięca pomoc zawsze jest

żołnierzowi potrzebna. Urywały się guziki, podarte były mundury, brudna bielizna. Kobiety były zawsze potrzebne.

Bywało i tak, że taką trajkocącą języczkiem przekupkę „spuszczało się” oknem na podwórze, albo na ulicę.

Naturalnie już bez liny!

Czasem zatrzymała się na poręczy balkonowej, czasem, zahaczywszy sukniemi o wystające belki, zawisała w powietrzu, z przerażenia krzycząc wniebogłosy...

Do takich zdołu strzelano z rewolwerów; tem przedewszystkiem odznacжали się podoficerowie, którzy twierdzili, że taki ruchomy cel w powietrzu wyrabia „rękę“!

Bywało! Bywało!

W szkole rozlokowaliśmy się jak najwygodniej. Ławy, stoły, krzesła szły pod piec, na ogień. Przez dwa dni znosiliśmy łóżka z całego miasta. Aula gimnazjalna przedstawiała barwną mozaikę leżących na podłodze wspaniałych dywanów, materaców, pięknych sof, foteli, itd, To była sypialnia klasyczno-salonowa. Bez słomy i żelaznych łóżek! Miednice wyłącznie porcelanowe. Innych nie używano. Żołnierze codziennie przynosili drobnostki nieraz, które upiększały naszą kwaterę. Staraliśmy się wszyscy o to, ażeby nam było „gemütlich“, jak u matki! Czasem obraz, zawieszony na ścianie, srebrne, w kandelabrach zdobycznych lichtarze, ówdzie gobeliny, dobrane gustownie, serjami. Bogactwo Kalisza pozwalało nam na wygodny tryb życia w mieście. W drugim gimnazjum, tak zwanej szkole realnej, urządzono szpital! Początkowo przebywali w nim chorzy. Wielu zaraziło się tu, w Kaliszu. Spotkałem np. Ebersa, kolegę z pierwszych walk.

Ten, który po zabitym Hansie odziedziczył jego karabin. Pomnożył tak znacznie ilość czerwonych i niebieskich kresiek na kolbie karabinowej, że następny właściciel karabinu będzie musiał już chyba na łufie znaczyć pomszczoną śmierć naszego druha.

Ebers, chłop silny, mocny, zachorował nagle na suchoty gardła. Twierdzi, że to pewnie od pocałunków młodych, zgwałconych żydówek!

Mówi bardzo cicho, męczy się szybko, osłabiony i wyczerpany, leży właściwie na łożu śmierci. A tak pragnął wrócić do kraju i matce Hansa podarować karabin jej syna oraz jego Erkennungsmarke. Już nawet wyrobił sobie pozwolenie u dowództwa na zabranie karabinu. Choroba mu przeszkodziła w wykonaniu szlachetnego zamiaru, spełnionego w imię pamięci nigdy niezapomnianego Hansa! Sam zawsze marzył o śmierci na polu chwały!

Drugi kolega, niejaki Bromms, zmarł dzisiaj na tyfus.

Podobno Rosjanie, uciekając, zatruli wodę we wszystkich studniach. Zarazki tyfusu i cholery czyniły ogromne spustoszenia wśród ludności cywilnej.

Żołnierze, otrzymawszy szczepienia, również gromadnie chorowali, ale przebieg choroby był naogół łagodny. Nie groziło im niebezpieczeństwo.

W kilku tylko wypadkach żołnierze zachorowali obłożnie. Do takich należał i Bromms. Podczas marszu napił się wody z głębokiej studni, z której zresztą następny po nim żołnierz, czerpiąc wodę wiadrem, zawieszonem na długim łańcuchu, wyciągnął zdechłego kota i dwa szczury.

Brommsa już w drodze chwyciły kurcze żołądka tak, że napół przytomnego przynieśli towarzysze do szpitala. W kilka godzin później zmarł.

Coraz częściej rozpuszczano wśród żołnierzy pogłoski o zatrutej wodzie.

A ponieważ we wszystkich studniach pełno było cuchnących i rozkładających się zwłok zwierzęcych, najczęściej kotów, psów i szczurów, więc w kilku wypadkach, dla przykładu i odstraszenia ludzi, wrzucono do studni ich dzieci.

Studnie były wogóle ulubionem miejscem mieszkańców Kalisza. W nich ukrywano wartościowe przedmioty, w żelazne skrzynie opakowane papiery urzędowe, czasem, wygodnie ułożony na wystającej wewnątrz desce, czy belce, siedział uciekinier.

Odkryty, więcej do swoich nie wracał!

Wiele dokumentów wywieziono do Charkowa. Bardzo wiele jeszcze zostało ukrytych. Musiały zawierać ważne dla Moskali informacje, jeżeli w przeciągu kilku pierwszych tygodni zorganizowali akcję szpiegową, otaczając gęstym pasem szpiegów Kalisz i okolicę. Od wypadku z Poniatowskim mieliśmy spokój. Dopiero w tych dniach odkryto rano na podwórzu jakiegoś domu żelazną skrzynię, okutą mocnymi obręczami. Natknięto się na nią zupełnie przypadkowo. Stała tuż obok otwartej studni, jeszcze opasana resztkami poprzerywanej liny; otwarta. Widocznie ktoś musiał ją w ubiegłej nocy wyciągnąć ze studni. Obok leżało kilka papierów, zapisanych drobnuteńkim pismem rosyjskim, Nadto w pobliżu studni znaleziono mapkę z okresu przedwojennego garnizonów niemieckich, rozłokowanych wzdłuż granicy Prosny. Najwymowniejszy dowód, że w mieście są szpiedzy.

Tym razem zmobilizowano dwie kompanje, rzucając je odrazu poza miasto na wszystkie drogi, wiodące do sąsiednich, w „Polsce“, wiosek. Po żmudnem szukaniu, u jakiegoś wieśniaka odkryto żołnierza niemieckiego, śpiącego najspokojniej w mundurze.

O tej godzinie? Zdala od miasta?

Wydało się trochę podejrzanę. Po niemiecku nie umiał ani słowa. Dowodu żadnego nie posiadał!

Dowódca naszej drużyny polecił mu dać na początek 25 „lekkich“ kijów.

Niedaleko leżały belki. Przełożono go, ściągnięto porcięta i wówczas dopiero okazało się, że to kobieta. Szpieg.

Uradowaliśmy się; czekała nas bowiem pochwała od dowódcy kompanji i conajmniej ze dwa dni wolne, tak zwane „Schonung“, nie licząc Liebesgabe: jak papierosów, gazet z kraju i t. d.

Zamiast wyznaczonych 25, szpieg odebrał conajmniej pięćdziesiąt kijów, zamienionych na „ciężkie“.

Mogła mieć około 20 lat. Pewnie żydówka, albo

rosjanka. Obznajmiona doskonale z terenem, orjentująca się świetnie, widocznie mieszkanka Kalisza.

Plutonowy, zbadawszy ją, polecił jednemu z żołnierzy, ażeby ją odprowadził do dowódcy kompanji, który był oddalony od nas może o jakie pół kilometra.

Miało ich dwóch odprowadzić. Ten pierwszy jednak, mrugając znacząco na podoficera, uparł się, że sam pójdzie.

Znaki porozumiewawcze znali w wojsku wszyscy! To też wzajemnie sobie nie przeszkadzali...

Żołnierz poszedł sam.

Już w kilkanaście minut później zerwał nas strzał. To żołnierz, konwojujący szpiega, strzelał za nim. Kobieta-szpieg, zgwałcona przez żołnierza, pchnęła go silnie, wyrwała mu się i zginęła w krzakach, gęsto rosnących nad rzeką.

Urządziliśmy obławę. Wypadła postrzelona w nogę i rzuciła się do wody. Dosięgło ją kilka kul.

Do brzegu przyciągnięto już nieżywą. Natychmiastowa szczegółowa rewizja wydała nadspodziewany wynik. W koszuli były zaszyte plany naszego wojska i wiele innych, cennych dla wroga szczegółów, dotyczących ruchów naszej armji na pograniczu niemiecko-rosyjskiem.

— — — — —

Dziś przechodziło przez Kalisz wojsko. Kilka kompanij Armierungsbat. Szli okupować kraj nieprzyjacielski na tyłach naszej armji, walczącej pod Łodzią. Wielu z nich pójdzie wprost na front.

Korzystają z odpoczynkowego pobytu w Kaliszu; jako nasi goście, ciekawie zwiedzali wszystkie domostwa.

Wódka łała się w tym dniu szczerze. Trudno, żołnierz, idący na front, ma przed sobą tylko śmierć. Całe życie pozostaje za nim, wlokąc się cienkim sznurkiem odległych wspomnień. Im bliżej frontu, tem dalszych, zacierających się we mgle pamięci. Pozostają tylko chwile radosne, przyjemne, te, w których życie brało się pełnym haustem.

Nie w duszę naturalnie, bo tu, na wojnie, wogóle o niej nie mówimy.

Zycie bierzemy z pożywieniem, z uciechą zmysłów. Wszystko to, co dla nas dostrzegalne, co możemy wziąć do ręki, co jest wygodne. To należy do żołnierza.

A przedewszystkiem wódka i kobiety.

Przed wyjściem na front, godziny radości są skondensowane, ograniczone do kilkunastu minut.

To są chwile, w których głosimy powszechną równość i braterstwo.

W takich momentach wszyscy są pijani. Dowódca kompanji leży w przyjacielskim uścisku ze swoim ordynansem. Naczelný lekarz, wyjeżdżający za kilka godzin na front zachodni, kuma się dobrodusznie z posługaczem szpitalnym, starym wygą górnośląskim.

Naszych towarzyszy gościliśmy serdecznie.

Obdarzeni przez nich dobremi, krajowemi papierosami, rewanżowaliśmy się wiktuałami. Na te zresztą urządziliśmy specjalną wyprawę.

Ponieważ żołnierz dość często hulał, mieszkańcy podmiejskich wiosek ukrywali wszystko skrupulatnie. Każda wycieczka na wieś już teraz była nacechowana długiem śledzeniem, a potem szczegółowem szukaniem.

I dziś wyszliśmy na wioskę, było nas pewnie około dziesięciu.

Towarzysz, starszy podoficer Reuch, wyjeżdżał na front. Tak błagał jakąś babuleńkę o trochę masła. Pokazywał pieniądze. Chciał płacić gotówką. Nie orjentował się jeszcze „w cenach”. Pierwszy raz był w kraju wrogim.

Ani rusz, masła nie było. Baba tłumaczyła się, że zabrano jej dwie krowy; a ta jedna chudzina tak mało mleka daje, że dla niej samej nawet nie wystarcza. Reuch, uwierzywszy, chciał już wyjść.

„Nie, kolego, my cię ugościmy“!

Jeden odsunął kobietę, — drugi wlażł gdzieś za przypiecek i zaczął przewracać. Wykulnęło się kilka jaj,

a po chwili ukazał się sam, na żółto osmarowany porozbijanemi jajkami, z donicą masła.

Reuch, przejęty trochę krzykami i płaczem kobiety, wciskał jej pieniądze.

Ażeby nas lepiej zapamiętała, wypędziliśmy z chlewa tłustego wieprzka, którego zaraz na podwórzu zaczęliśmy odpowiednio przyrządzać dla towarzyszy, wychodzących na front. W tej mozolnej pracy pomogła nam druga partja kolegów, która w tym czasie nadeszła, poszukując również podarków dla idących na front.

Teraz dopiero zaczęły się prawdziwe wrzaski baby.

Dwa dni przedtem straciła męża. Pocieszenie znalazła już drugiego dnia po jego śmierci.

Z powodu głupiej świni, którą zabiliśmy, nie mogła się uspokoić.

Koledzy urządzili dodatkowe poszukiwanie za masłem; rzecz zrozumiała, że znaleziono go jeszcze sporo, nie licząc około dwóch kop jajek. Przy tej sposobności dokonali ciekawego odkrycia. W sieni, w jakimś, jakgdyby alkierzu, ukrytym za główną izbą i świetnie zamaskowanym, była ...krowa. Żywa, prawdziwa krowa.

Jedna, napół żywa, w oborze, a tu, w alkierzu, druga, wysoka, rasowa.

Jak ją tam wprowadzono?

Z głównej izby prowadziło do alkierza chyba ze sześć stopni.

Do wyciągnięcia bydlaka potrzeba było siły dziesięciu żołnierzy. A i tak krowa, spadając ze stopni, zła mała sobie nogę.

Kobietę już uspokojono.

Krowę zarekwirowano.

Taki zresztą był rozkaz. Ludność winna była dobrowolnie dostarczać żywność.

Dwa duże połcie słoniny zabrał Reuch; resztę zakopaliśmy. Nam w Kaliszu nie była potrzebna. Wieźliśmy krowę.

Obładowani „paczkami“, wróciliśmy pod wieczór do miasta. Pełno w niem żołnierzy.

Stan ich bardzo wesoły.

W nocy, o godzinie dwunastej, mieli wyruszyć pociągiem ze spalonego dworca dalej. Butelki z wódką krążyły z rąk do rąk.

Udaliśmy się na tak zwany Tyniec.

Dzielnica chętnie, o każdej porze dnia i nocy, odwiedzana przez żołnierzy. Tu bowiem zgromadził się cały miejscowy półświatek. Jak dotąd, wiodło mu się nieźle.

W świetle pochodni powyciągano dziewczki. Zaczęła się orgja, przewalająca się z sieni na ulicę, do ogrodów, na podwórza.

Tam szli wszyscy.

Obok oficera tarzał się wyuzdanie zwykły żołnierz. Obok ojca — syn.

Za rozkosze płacono hojnie.

Zabawa na Tyńcu przeciągnęła się zbyt długo. Dawno już przebrzmiała pobudka alarmowa, zwołująca do odjeżdżającego pociągu, nim wreszcie żołnierze, zmorzeni wódką i orgjami, ocknęli się. Na dworze był już świt.

Rozkaz.

Natychmiastowa zbiórka w mieście. Dowódca bataljonu wściekły. Oficerowie gromadzą się wolno, z głowami od wstydu spuszczone. Żołnierzy brakuje jeszcze bardzo wielu.

Wszystkim grozi natychmiastowa wysyłka na front. Dowódca miasta wysłał w podejrzone ulice tak zwane ekspedycje karne.

Otoczono cały Tyniec.

Rozpoczęła się krwawa rzeź tych, które w swoich ramionach dawały żołnierzowi rozkosz i odpoczynek.

Wywleczono z łóżek, odkrywając zresztą u niektórych śpiących jeszcze żołnierzy; rozespiane postawiono pod ścianą i wystrzelano hurtem.

Strzelali i bagnetem kłuli ci, którzy byli ich cono-
cnymi gośćmi!...

Cały Armierungsbat wyjechał.

Most kolejowy w Piwonicach pod Kaliszem, wysadzony w pierwszym dniu wojny przez uciekających Moskali, rozleciał się częściowo tylko. Już na drugi dzień po zajęciu miasta przez nas, podparto filary belkami, wyreperowano naprędce, zmieniając również tory kolejowe, ażeby je dostosować do naszych wagonów. Wkrótce już można było wojsko koleją wysyłać wgląb kraju nieprzyjacielskiego.

Żołnierze strzegli mostu pilnie w dzień i w nocy.

A jednak, mimo nadzwyczajnej ochrony, zdołali się do niego podkraść jacyś ludzie, którzy, chwyceni przez naszych żołnierzy, w ostatniej chwili wyrzucili jakieś pakiety. Badani, oświadczyli, że nieśli żywność do znajomych w Kaliszu. Odprowadzono ich do komendy dowództwa.

Dwóch mężczyzn, jedna kobieta.

Na drugi dzień, przy świetle dziennem, znaleziono pod mostem trzy duże paczki, zawierające materiał wybuchowy; napewno przeznaczony do wysadzenia mostu. Chodziło o uniemożliwienie bezpośredniego transportu naszych wojsk z Niemiec do Rosji.

W komendzie krótka narada wojenna.

Sąd. Wyrok: śmierć przez powieszenie.

Ekspedycja ośmiu żołnierzy otoczyła więźniów, skrupowanych sznurami. Wyprowadzono ich za miasto. Na wzniesieniu, tuż pod miastem, ustawiono prowizoryczną szubienicę. Była to zresztą dawniej, zdaje się, huśtawka, przeznaczona dla dzieci. Obecnie wzmocniono ją podporami. Przerzucono linę, pod której zwieszającym się końcem pętlicowym ustawiono dwie skrzynie.

Na wzgórzu zgromadziło się już dowództwo, sąd polowy i wielu żołnierzy. Zdała przyglądało się kilku obdartych wyrostków.

Więźniów ustawiono pod szubienicą. Rozdzielono ich, w środku umieszczając kobietę. Ręce i nogi mieli skrupowane.

Jeden z oficerów odczytał wyrok i dał znak katowi i jego pomocnikom. Konwojenci kołem otoczyli szu-

bienicę. Kat, ochotnik z pośród podoficerów, człowiek ze średnim wykształceniem, z zawodu kupiec, nie mający nigdy nic wspólnego z zabijaniem ludzi, zabrał się do wypełnienia egzekucji z humorem, ale bez odrobiny koniecznej „fachowości”.

Kobietę ustawiono na skrzyni. Kat założył pętlę tak, że sznur, zamiast ścisnąć szyję z przodu, objął ją z boku. Pomocnicy poderwali pudło i równocześnie, wśród wybuchu salwy śmiechu oficerów, całego sądu i żołnierzy, kat upadł na ziemię, a na niego jego ofiara, której głowa poprostu wysunęła się z niezaciągniętej nalezycie pętlicy.

Kobieta zerwała się z przeraźliwym śmiechem.

Druga próba powieszenia powiodła się lepiej. Kobieta, śmiejąc się ciągle, sama założyła sobie pętlę. Gdy jej z pod nóg usunięto stojącą skrzynię, rozległ się jeszcze jakiś charkot, rżenie; ciało ściągnęło się kurczowo kolanami w górę i zawisło. Kat pociągnął kilka razy za nogi. Po kilkunastu minutach zwłoki jej zdjęto.

Pierwszy mężczyzna sam wszedł na skrzynię. Tym razem egzekucja poszła sprawnie.

Zaciągnięto jeszcze jedną linę, na której miał zawisnąć ostatni więzień.

Z chwilą, gdy kat przystąpił do niego, ażeby mu zarzucić pętlę, więzień odepchnął go i, jak poprzednio nie powiedział ani jednego słowa, tak teraz je poprostu wypluwał, zwracając się z buntowniczą przemową do żołnierzy. Oficerowie dali znak, ażeby przerwać tę szubieniczną parodję śmierci. Żołnierze głośno jednak sprzeciwili się, domagając się dla skazanego spełnienia ostatniego życzenia. Dopiero, gdy ten, wśród nerwowych grymasów twarzy, zaczął rzucać oszczercze bluźnierstwa na naszą armję, kat z pomocnikami powiesili go.

Wszyscy troje podobno wyznania mojżeszowego.

Żydom pozwolono zabrać zwłoki.

Przybyło kilku starszych żydów, trwożnie oglądających się na wszystkie strony. Po dwudziestu minutach

zajechali wozem, stanęli pod szubienicą, długo pochyłali się, kiwając głowami.

Zabrali zwłoki powieszonych!

Ludność cywilną chowano najczęściej potajemnie, w nocy. Urządzano wspólne mogiły w parku, w ukryciu.

Żydzi więc nie dowierzali, że wolno im zabrać zwłoki i pochować je, według rytuału ich religii, na cmentarzu żydowskim. Zwłoki powieszonych ukrywali dość długo, zanim zdecydowali się je pogrzebać.

Na froncie zaszły pewne zmiany.

Do Kalisza przywieziono osiemdziesięciu rannych. Między nimi jest Otto. Ciężko ranny. Kula urwała mu obie nogi. Leży na łóżku cały obandażowany, śmiertelnie blady, jakby z niego wszystka krew wypłynęła. Oczy ma zamknięte, wpadnięte głęboko, ale nie śpi. Opowiada jego sąsiad. Podaje nam szczegóły. Tegośmy jeszcze nie znali:

„Znajdowaliśmy się, mówił, w kotlinie. Noc naogół dość spokojna. Od godziny czwartej do ósmej rana mordercza bitwa, podczas której oba fronty, nasz i nieprzyjacielski, chwiały się na zmianę. Szała zwycięstwa przechylała się raz na naszą stronę, to znowu, odepchnięci przez Moskali, ustępowaliśmy. O godzinie ósmej przerwa. Okopaliśmy się na wzgórzu. Wróg wyszedł naszą placówkę; otoczył nas ogniem zaporowym. Nie można było się wycofać. Z przodu szedł na nas huraganowy ogień artylerji. Z całej kompanji, leżącej na wzgórzu, zostało pięciu żywych i całych. Reszta zabici; trup przy trupie, nakryty trupem. Inni ranni. Wśród nich większość ciężko. Wyratowały nas posiłki, które odrzuciły nieprzyjaciela, dezorientując swojemi posunięciami jego ciężką artylerję. Pół godziny dłużej, a nikt nie byłby żywcem z tego piekła wyszedł.

Po kilku godzinach morderczej walki, dowództwo ogłosiło zwycięstwo naszego odcinka. Do niewoli, tak głosił komunikat wojenny, zabrano dwa tysiące jeńców. Z nas żywych nikt ich coprawda dotąd nie widział.

Zdradzę wam tajemnicę frontową; sami zresztą dowiecie się o niej na froncie. Po każdorazowej potyczce, czy walce, gdyśmy się znowu wszyscy zgromadzili w kompanjach, dowódca kompanji pytał, ilu kto jeńców wziął do niewoli.

I nas pytano. Bywało tak: ja wziąłem jednego, kolega jednego, czyli razem dwóch jeńców; trzech następnych żołnierzy odpowiada głośno „zero”, nikogo nie chwycili. Nasz dzielny dowódca umieszczał te trzy zera obok podanej poprzednio przez nas dwójki. W ten sposób powstała piękna, okrągła cyfra dwóch tysięcy jeńców.

Nas naturalnie podano do odznaczenia.

Za dzielność i bohaterstwo!

Za zabranie do niewoli dwóch tysięcy jeńców!

Pięciu żołnierzy niemieckich osaczyło dwa tysiące Rosjan i pod grozą wymierzonych kulomiotów zabrało ich do niewoli — tak brzmi oficjalne zawiadomienie, wysłane do prasy krajowej!

My tam na froncie wiemy wiele. O! Więcej od was! O tem się jednak nie mówi. Idźcie sami zadowolnić swoją ciekawość“.

Rannych wysłano nadzwyczajnym pociągiem ambulsowym do Frankfurtu nad Odrą.

W drodze zmarł Otto.

Wśród żydów ożywienie.

Potajemną, przez własnych gońców zorganizowaną pocztą, dowiedzieli się o walkach na wschodzie.

Bardzo wielu ucieka od Rosjan do nas. Są tacy, którzy przed kilku tygodniami opuszczali płonący Kalisz, a obecnie znowu do niego wracają. Ukrywają się u znajomych.

Widać jednak, że ilość mieszkańców zwiększa się. Dowództwo w mieście wydało nowe rozkazy-instrukcje. Żołnierzom nie wolno chodzić pojedynczo. Zawsze w grupkach. Obowiązkowo uzbrojeni. Wieczorem, po godzinie siódmej, nie wolno wydalać się z kwater. Po ulicach krążą wzmocnione patrole. W kilku punktach miasta

rozstawiono karabiny maszynowe. Idzie fala nowego pogromu żydów. Za jakąś podobno prowokację. Wracających ze wschodu legitymuje się, bada skrupulatnie. Żywiół niepewny. Ażeby ich można w mieście odróżnić od tubylców, witamy ich, zabierając brody na pamiątkę.

Czasem z włosami odetnie się kawał skóry. Taka broda, wyglądająca jak skalpel, jest wyższa w cenie.

Tak.

Brody żydowskie stały się przedmiotem codziennego handlu.

My staramy się o towar; odsprzedajemy go za gotówkę podoficerom, którzy są pośrednikami tego zyskowego handlu i towar odnoszą oficerom.

Oficerowie za punkt honoru uważają zdobienie okien brodami żydowskimi. A ci, którzy wyruszają na front, wiozą większe zapasy, zawieszając je w oknach wagonów kolejowych.

Talmudyczne amulety przynoszą podobno szczęście na froncie; chronią przed kulami nieprzyjacielskimi.

Ceny są różne.

Od pięciu fenigów za sztukę.

Wysoką cenę mają rude. Najwyższą oczywiście na giełdzie bród mają skalpowane. Tych bardzo niewiele. Wysokość ceny, zależnie od ubarwienia takiej brody, waha się od pięćdziesięciu fenigów do jednej marki.

Wśród podoficerów naszego wojska jest jeden niemiecki żyd. Do tego czasu zachowywał się całkiem lojalnie. Dopiero walka o brody jego współwyznawców wzbudziła w nim odruch litości dla nich.

Potajemnie udziela im informacji: ułatwia ucieczkę.

Wczoraj chwyciliśmy taką całą partję żydłaków, wymykających się od strony parku za miasto. Na nasz widok zaczęli uciekać w pole. Szybko otoczyliśmy ich półkolem. Pozwoliliśmy im oddalić się na kilkadziesiąt metrów, a potem kaprał zarządził polowanie.

Nie uszedł ani jeden.

Żyda podoficera chwyciliśmy wreszcie na gorącym uczynku, gdy porozumiewał się z żydami. Z punktu

wrzucono go do rzeki. W pełnem umundurowaniu spławiłmy go tak, że z biedą, po trzech dniach, przyszedł do siebie, przeleżawszy te trzy dni i trzy noce w gorączce. Po wyjściu ze szpitala stawiał wniosek o natychmiastową translokację na front zachodni.

Prośbie uczyniono zadość.

Wyjechał tego samego dnia wieczorem z transportem wojska na... wschód.

Powiesił się na pasie żołnierskim w ustępie pociągu.

Kąpaliśmy się w Prośnie. Powietrze wprawdzie już chłodne, ale woda jeszcze możliwa.

Trzeba przecież zmyć porządnie te żydowskie brudy.

Z boku naszej plaży płynie wąziuteńka struga, wpadająca do Proсны.

Płyną w niej resztki chleba, brudy, pomyje. Żerowisko dla wron, których tu zawsze pełno. Dziś, niewiadomo skąd, znalazły się trzy gęsi. Pasła je mała, może dziesięcioletnia dziewczynka. Widok dla nas tak niecodzienny, że z prawdziwem zdziwieniem rozglądaliśmy się, szukając obok małej jej matki, czy może starszej siostry. Nie, nie było nikogo. Brzeg rzeki i wpadający do niej strumyk leżały zubocza, kędy bardzo rzadko przechodziliśmy. To pustkowie, niezakłócone niczem, zdała od kwater żołnierskich, było tak sielankowe, że nie przypominało odległego o kilkadziesiąt metrów spalonego miasta.

Dziewczynka najspokojniej dozorowała gęsi, zachodząc od strony rzeki, żeby do niej nie wpłynęły. Na nas prawie nie zwracała uwagi. Było nas pewnie ze trzydziestu. Wszyscy nago, pluskając się u brzegu, wzajemnie szorowaliśmy się, zmywając kilkotygodniowy brud, przesycony potem.

Któryś z feldweblów rzucił hasło wyprawy na gęsi. Momentalnie otoczyliśmy je wkoło. Dziewczynka stała w środku niezaradna, niewiedząca co z sobą począć w obliczu tych trzydziestu nagich, obrośniętych chłopów, goniących jej gęsi.

„Walka“ była krótka. Trzy tłuste gęsi przypłaciły ją śmiercią. Włochaty brandenburczyk odprowadził płaczące dziecko pomiędzy domy.

Więcej do nas nie wróciła.

Przed nami, na brzegu rzeki, łup polowania: trzy śnieżno-białe gęsi. Kolacja zapowiadała się niezłe. Trzeba jeszcze ryb nałowić. Ktoś przyniósł kilka granatów. Wybraliśmy głębsze miejsca. Woda zakotłowała się od wybuchających w niej granatów i wnet cała powierzchnia rzeki zaroila się od drobnych rybek. Rzuciliśmy się na połów. Wyciągnięto kilka szczupaków i kilkanaście funtów innych, mniejszych ryb. Jeden z żołnierzy, zapuszczywszy się w nadbrzeżne krzewy, pochylające się nad taflą wody, sięgnął ręką pomiędzy korzenie, twierdząc, że w takich norach i zapadlinach są większe sztuki.

Wyciągnął rzeczywiście większą sztukę.

Wydobył na powierzchnię wody obnażone zwłoki chłopca, częściowo już w rozkładzie, w kilku miejscach napoczęte przez ryby.

Zwłoki noworodka.

Natychmiast zawiadomiono istniejący w mieście urząd policyjny, który, oddawszy zwłoki do szpitala, celem przeprowadzenia sekcji, wszczął dochodzenia śledcze za wyrodną matką.

My, do żywego poruszeni tą sprawą, szukaliśmy również, ale daremnie.

Chwilowo ważniejsza była gęsina i ryby.

Za przyrządzenie pieczeni gosposia otrzymała pierze i wnętrzności.

— — — — —
Szewcowi — żydowi oddałem moje buty do przeróbki. Po dwóch dniach poszliśmy w trójkę je odebrać. Obejrzałem dokładnie. Porozmawialiśmy z żydem. Mieszkał w piwnicy, której jedyne okno, zapuszczone poniżej jednego metra głęboko w ziemię, otoczone było ceglanym murem. Na ulicę patrzyło się w górę. Widać było tylko nogi przechodzących. W izbie, o kamiennej posadzce,, zaduch był niemożliwy.

Żyd; uprzedzająco grzeczny. uprzejmy, za pracę żądał 50 fenigów. Siedzieliśmy jakieś pół godziny; potem wyjąłem nagle zegarek, krzyknąłem z przerażeniem i, niby śpiesząc się, wybiegłem z piwnicy, rzuciwszy pod adresem żyda:

„Ten, wskazałem na Karla, panu za mnie ureguluję“.

Na ulicy szedłem naturalnie zupełnie powoli. Nigdzie nie spieszyłem się.

Chodziło jeno o uratowanie tych 50-ciu fenigów za pomocą niewinnego fortelu.

W kwaterze czekałem na kolegów. Przyszli.

Po mojem wyjściu od żyda pozostali u niego jeszcze chwilę, a potem zgłupia frant udając, że o niczem nie wiedzą, zaczęli się z nim przyjaźnie żegnać. Poprosił o zapłatę za buty. Oburzeni, wśród tłumaczeń, że to przecież nie ich buty, wyszli, zatrzaskując za sobą mocno drzwi. Żydowi przycisnęli palce.

Na drugi dzień przybył ze skargą do dowódcy kompanji. Korzystał z tego przywileju rozmawiania z oficerami, jako główny ich dostawca dobrych butów.

Dowódca wezwał mnie. Uważałem, że za taką drobnostkę żołnierz nie powinien być karany i nie poszedłem. Dopiero za trzecim razem przyszedł sierżant, morowy chłop, ledwo widoczny od ziemi, z rozkazem aresztowania mnie. W tym czasie obowiązywał nas ostry rygor frontowy, w myśl którego żołnierzowi nie wolno było bez karabinu ukazywać się na ulicy. Zarzutowałem z sierżanta:

— „Słuchaj, mały, kto to właściwie wobec tego będzie prowadził aresztowanego? Ty z karabinem; a i mnie nie wolno iść bez broni. Kto nim będzie?“

Ponieważ był to chłop bardzo przyjacielski, z którym wszyscy żyliśmy w przykładowej zgodzie, wspólnie dzieląc dołę i niedolę, poszedłem z nim wreszcie do dowódcy, ażeby go nie narażać.

Dowódca szczegółowo wysłuchiwał mojego opowiada-

nia, pogroził, zalecając w przyszłości zwracać większą uwagę na palce żyda i puścił mnie.

To takie proste!

Szczerze, po żołniersku wyrozumiale!

— — — — —

Z Proсны wydobyto zwłoki naszego żołnierza. Wypłynęły na powierzchnię wody.

To prawdopodobnie jeden z tych dziewięciu, którzy na początku zginęli.

Odeły, śmierdzący, nie miał ani jednego śladu, któryby wskazywał, że poniósł śmierć z ręki skrytobójczej. Do kanału wpadł pewnie w nocy, podchmielony.

Był już bez butów. Ale i ten fakt nie dowodził, że go zamordowano. Najwyraźniej bowiem było widać, że buty ściągnięto, zdzierając z niemi skórę z całej stopy, co kazało się domyślać, że buty zdjęto gwałtem po kilku dniach leżenia we wodzie.

Dla naszych trumien w mieście było dosyć. Nie potrzeba ich zbijać. Okazały się jednak za wąskie; nogi bowiem topielca były rozszerzone, brzuch nadęty. Ale i na to znaleziono radę. Nogi ściągnięto silnie rzemieniem, że aż ciało pękało, wydając duszący odór, pełen wstrętnych gazów. Takie, gwałtem zesnurowane zwłoki, umieszczono w dębowej trumnie.

Pogrzeb odbył się wielki; z przemową samego komendanta i potrójną salwą.

„I znowu jeden ubył. Odszedł od nas. Opuścił nas. Zeszedł z posterunku cichy, spokojny. Pozostała po nim tylko blaszana Erkennungsmarka, zardzewiała, z wrytem nazwiskiem, imieniem i ogólnem, w skrótach, wojskowem Lebenslaufem.

Zginął tu, w ciszy niemal pokojowej. Taki jest przecież właściwie nastrój w Kaliszu.

Wojna narodów wre w pełni gdzieś na dalekim zachodzie i na wschodzie. My stąd zdala jeno dowiadujemy się o niej. Dumni, spoglądamy na naszą dzielną armję i jej wzniosłego wodza, Najjaśniejszego Pana i Cesarza!

Armja nasza, przebywająca w odległych stronach wrogich krajów, potężną ręką trzyma nieprzyjaciela, broniąc mężnie granic naszej ukochanej ojczyzny. Z wielkiem poczuciem bezpieczeństwa i ufną nadzieją możemy swobodnie spoglądać w przyszłość naszego wielkiego państwa!

Pięknie przemawiał pastor. Mówił, że giniemy za ojczyznę i za wielkiego jej cesarza. Porównywał naszego cesarza do Boga. Jak Zbawiciel, otoczony uczniami, głosił naukę w Ziemi Świętej, tak nasz Najjaśniejszy Pan, otoczony strażą wojskową, wydaje „parole”. Wszak w mowie tronowej sam raczył podkreślić: „Powołany przez Boga na tron ojców moich, pielegnować będę pobożność mojego ludu i bojaźń bożą; wszelkimi siłami starać się będę, ażeby zachować pokój. Biedni i uciemienzeni zawsze znajdą we mnie swojego obrońcę. Wiernie czuwać będę na straży prawa!”

Stoimy, mówił pastor, nad otwartą mogiłą naszego towarzysza, którego dusza jest już przed obliczem Boga. My, odchodząc z tego miejsca wiecznego spoczynku, ślubujemy, że, czujni na niebezpieczeństwo, do ostatniej kropli krwi bronąć będziemy naszych granic, bo ta czujność jest nakazem boskim.

Cesarzu, Najjaśniejszy Nasz Panie, oto odchodzi jeden z tych, którzy, posłuszni Twoim słowom, dotrzyмали przysięgi!

Wśród rannych w szpitalu znajduje się Polak, który skrzętnie notuje w pamiętniku codzienne wypadki. Jakżeż one jednak różnią się od moich, luźnych, niepowiązanych uwag.

On na wszystko patrzy jako Polak; dla mnie istnieje tylko jeden możliwy punkt widzenia: na wszystko spoglądam jako jeden ze zwycięzców.

Pisze ten pan między innemi naprzykład tak:

„Godzina przedpołudniowa; leżymy w polu. Przed chwilą zjedliśmy „Fusslapy”. Sumiennie niniejszem stwierdzam, że Niemcy, mimo podatków, jakie ściągali

na wojsko, bardzo lichy nas odżywiają. Brak chleba, raz na dzień trochę rozcieńczonego jadła i po kilka łyków czarnej, gorzkiej lury. Ustawiono mnie na straży przy komorze żywnościowej. Przez zakratowane okno widać było chleb, poukładany na stosie, sięgającym do wysokości okna. Chodziłem dość długo. Wreszcie nie mogłem wytrzymać. Człowiek głodny, a tu każą pilnować chleba i na niego łaskawie patrzeć. Nie. Po krótkim namyśle przez wybitą szybkę wsunąłem bagnę i wyciągnąłem trzy chleby; dla siebie i dla swoich Schlaft kolegów. I tak się nie wyda“.

Notatka nosi datę 10 września 1914.

Jest poprostu w swej naiwnej głupocie bezczelna. Same kłamstwa.

Jakto? a papierosy, cygara, wołowina, smalec? Pośliki, podawane kilka razy dziennie?

Różne Liebesgaby, Wochenhilfe i tak dalej?

Do tego kradzież publicznego mienia!

Ze szczegółami zameldowałem naczelnemu lekarzowi. Pamiętnik natychmiast skonfiskowano, polecając polaczkowi, ażeby w przyszłości podobnych głupstw nie wypisywał.

Z transportem rannych wywożą go do Frankfurtu.

Po opuszczeniu szpitala będzie surowo ukarany. Jest ciężko ranny; ma urwaną rękę i ciężki postrzał w brzuch.

Nam pożywienia nigdy nie brakowało. Nawet zawsze, krótko przed każdorazową bitwą, czy przed napa-dem na miasto, otrzymywaliśmy podwójne porcje. Prócz wypłacania pieniędzy, żołnierzom rozdzielano sporo papierosów i cygar, nie wspominając o wódce. Tę mieliśmy zawsze.

Wkoło nas wszędzie jakaś zjełczała nędza, stale wśród ruin śmierdząca brakiem miejsca, nadmiarem nieproduktywnych dzieciaków i ogólnem zawszawieniem, a jednak mimo to, jedzenia mamy bardzo wiele. Nikt

z nas nie narzekał. Paczki odbierano coprawda z ojczyzny, ale z gazetami i papierosami.

To my wysyłamy bardzo często z żywnością, załączając różne drobnostki „na pamiątkę” z Kalisza.

Tych pamiątek jest bardzo wiele.

W Kaliszu też pozostaną po nas!

Dziś dowództwo urządziło koncert w parku miejskim.

Popołudniu zebraliśmy się tam prawie wszyscy. Pierwszy raz bez karabinów. Ogoleni, wymyci, w mundurach, trochę może zniszczonych, ale porządnie obciągniętych; rozbici po dwóch, trzech, raz znowu od dłuższego czasu wyglądaliśmy na ludzi, na wojsko niemieckie.

Niektórzy chodzili z kobietami. Skąd je wydostali?

Pogoda była wspaniała. Trochę wiatr od miasta przynosił niemiłą woń spalenizny; tu i ówdzie połamane od kul drzewa, ale poza tem nic nie przypominało wojny. Wydało nam się, że jesteśmy w swoich miasteczkach, gdzie to w niedzielę urządza się publiczną, wesołą zabawę ludową.

Na poczekaniu urządzono tańce.

Na trawniku tańczyła para za parą. Kobiet było niewiele. Za to te obecne cieszyły się wielkiem powodzeniem.

Koncert był przewidziany na jedną tylko godzinę poobiednią. Ale, ponieważ towarzystwo rychło zabrało się do tańca, a brali w nim udział również oficerowie, dowódca przedłużył koncert, który zamienił się we wspaniałą zabawę, bo i kantyna znalazła się niebawem.

Park obszerny; włóczyliśmy się, wypisując swoje nazwiska na drzewach i połamanych ławach.

Na pamiątkę.

Pozostaną po nas zresztą i żywe pamiątki!

Będą! Będą!

Z przykrością trzeba było wracać na kwatery.

Co za kontrast, tam, w parku cisza, kołyszące się spokojnie czuby drzew, zielona trawa i lekko żółknące liście, a tu cmentarzysko śmierzącego miasta.

Powrót na kwatery.

„Reichsbienen“, wszy, pluskwy i wszelkiego rodzaju robactwo opadło nas z podwójną siłą.

Przedtem odświeżeni, staliśmy się teraz dobrym łupem.

Boże! żeby jaknajprędzej stąd wyruszyć.

Z prowincji poznańskiej ucieka bardzo wielu Polaków.

Chronią się na terenie b. Polski, w państwie rosyjskiem. Kręci ich się nadzwyczaj wielu.

Uciekinierzy.

Tacy, którzy boją się iść na wojnę.

Mamy rozkaz, żeby ich traktować, jako zwyczajnych dezertarów. Uwijają się po całej okolicy, zajętej już przez nasze wojska. Trudno ich naturalnie odróżnić od miejscowych mieszkańców. Kilku przyprowadzili nam szpiedzy.

Od czasu spalenia Kalisza, nie wolno nieupoważnionym przekraczać granicy niemiecko-rosyjskiej w okolicy Kalisza. Na „zwiedzenie“ miasta trzeba mieć pozwolenie komendantury. Na kupowanie żywności specjalne kartki.

To nam ułatwia kontrolowanie obcych, przybywających do miasta. Dzięki takiemu obostrzonemu zamknięciu granicy, udało nam się chwycić na terenie Kalisza jednego dezertera.

W tym czasie, gdy odbywał się sąd polowy, szpie-dzy przyprowadzili jeszcze trzech. Jeden z nich wprowadzie legitymował się w języku rosyjskim, co miało być dla niego dowodem, że nigdy nie był w Niemczech. Sąd polowy trwał krótko. Słowom Rosjanina nie dano wiary.

Wszystkich czterech rozstrzelano.

Trzech Polaków za dezercję z szeregów w czasie wojny, Rosjanina, jako podejrzanego o uprawianie szpiegostwa. Egzekucja odbyła się pod murem cmentarnym.

Tam zresztą najczęściej rozstrzeliwano ludzi. Miejsce to najlepiej nadawało się.

Marschbereit!

Przygotowania. Zbiórki. Apele! Przydział do pułków.
Ostatnie pamiątki z miasta!
Na pożeganie libacja.

W sąsiednim majątku pozostała jeszcze właścicielka. Kobieta starsza, matrona poważna, cieszyła się zaufaniem jednego z wyższych oficerów, dobrego znajomego z okresu przedwojennego. Dzięki temu w okolicy pozostała jak gdyby oaza. Wprawdzie inwentarz żywy niemal wszystek dawno zarekwirowano. Ale zapasów żywności było sporo. Oficerowie dawno ostrzyli zęby na ten dworek, a zwłaszcza na bogatą zawartość spiżarni i piwnicy. Względ na kolegę nie pozwalał na urządzenie wycieczki. Wczoraj wyjechał na front.

Za kilka dni mamy i my wyruszyć.

„Wycieczka“ pożegnalna obowiązkowa.

Okolo 15 oficerów i nas kilkunastu do „asysty“.

Na ganek dworku wyszła rumiana pokojówka.

Miła zapowiedź wesołej zabawy!

Na rozkaz stawiała się dziedziczka. Oficerowie poprosili o posiłek. Hardo odpowiedziała, że może nas poczęstować, ale na zamówienie i na nasze rozkazy nic nie ma. To nie zajazd i nie restauracja publiczna. Wylegitymowała się jakąś kartką oficera. Kartki nie mają już dziś znaczenia. W Kaliszu rozrzucono takich samych dziesiątki tysięcy. I to w pierwszych dniach sierpnia.

Groźba wymierzonych rewolwerów poskutkowała.

Oficerowie do jadalni, my do obszernej kuchni.

Dla oficerów, na żądanie, wspaniałe nakrycia. Przed ucztą wyborny koniaczek francuski, przekąski, obiad, wy-

trawne wina i jakieś wspaniałe nalewki, przez nas już odkryte w ciemnej piwniczce.

Gospodyni ukryła się.

Usługiwały dwie dziewczyny. W jadalni oficerów musiały obowiązkowo wypić po jednym kieliszku z każdej rozpoczętej butelki; to była gwarancja, że trunków nie zatruto.

Dziewczyny krążyły z rąk oficerów do naszych!

Po dwugodzinnej libacji, przyszedł do nas młody oficer. Przyniósł rozkaz, że dziś możemy wszystko robić.

I tak już nie żalowaliśmy sobie. Kilku oficerów wyszło do parku. Po chwili wrócili z całemi naręczami kwiatów i gałęzi świerkowych.

Wezwano nas do jadalni oficerów.

Wzdłuż długiego stołu — talerze i półmiski, ozdobione kwiatami, przybrane zielenią gałązek świerkowych. Na talerzach i półmiskach... ekskrymenty ludzkie. W butelkach reszta.

Na największym, ślicznym, porcelanowym półmisku, całe stopy „tego“! Również przybrane zielenią. Półmisek schowano do bufetu.

W sąsiednim pokoju znaleziono kilka futerałów z damskimi kapeluszami. Przyozdobiono je również „skutkami“ wesołej i sutej libacji. Nakryto to pięknie kapeluszem, futerał zamknięto i zpowrotem wstawiono do szafy.

My nie zadawaliśmy sobie tyle trudu. Wzdłuż ścian całej kuchni, na środku, na krzesłach!

Do ustępów nikt nie chodził. Szkoda czasu.

Pamiętki!

Z tem zresztą nigdy nie zadawano sobie wiele trudów. Tak samo działo się w Kaliszu. Salony i gabinety zapełniano fekaljami. Gdzieś pod miastem żołnierze urządzili sobie latrynę w grobowcu.

We Francji było gorzej. Pisał do mnie kolega, że biwakują w kościele, a ustęp mają w podziemiach pod głównym ołtarzem. Trumny służyły im za oparcia.

Aus Unvorsicht.

Do Kalisza przyjechał Generaloberst von Hindenburg!
Odbyla się lustracja obozującego bataljonu.

Von Hindenburg wywarł na nas ogromne wrażenie.
Pokrzepił na duchu!

Otoczony błyszczącą aureolą zwycięstwa nad Rosjanami pod Tannenbergiem, które wieńczyło jego wzniosłe skronie laurami bohaterstwa i odwagi, dumny, wyniosły, był dla nas wzorem mitycznych bohaterów.

Krążyła dookoła niego legenda, wynosząca go do świata genialnych nadludzi.

Drang nach Osten!

Z nim!

Szedł przed nami i, jak gorejąca pochodnia, oświecał drogę wgląd ciemnego kraju nieprzyjacielskiego.

Sunęła za nim złota wstęga sławy!

Żołnierze poddańczej armji, szliśmy za nim zahypnotyzowani żądzą posiadania.

Zawsze według planu, opracowanego na długie lata przed wybuchem wojny.

Posłuszni rozkazom, szliśmy wykonać szczegóły tego planu.

W drodze do Piwoniec oświadczył pan generał ówczesnemu burmistrzowi, że Kalisz spalono:

„Aus Unvorsicht“!

Tak jest!

Stąd, „aus Unvorsicht“, ta przezorna premedytacja, precyzyjne palenie Kalisza partjami, mordowanie dzielnicami!

Projekty i obliczenia nie zawiodły!

Wykonane!

Generaloberst von Hindenburg, obejrzawszy szczegółowo spalone miasto, pokiwał głową i oświadczył, że wszystkie straty materialne muszą być mieszkańcom zwrócone!

Pamiętne słowa z ostatnich dni września 1914 r.

Wielkie słowa von Hindenburga, najdzielniejszego z naszych generałów, muszą być wypełnione czynem!

Czekamy na rozkaz!

Życia wracać nie potrzebujemy! Zostawiamy je w łonach zgwałconych kobiet!

— — — — —

Pierwszy etap zdobyty! Droga do kraju nieprzyjacielskiego zabezpieczona!

Gruzy i ruiny!

„Wir Deutschen fürchten Gott allein,

Sonst nicht's auf dieser Welt!“

Ekscelencjo! — Rozkaz spełniony!

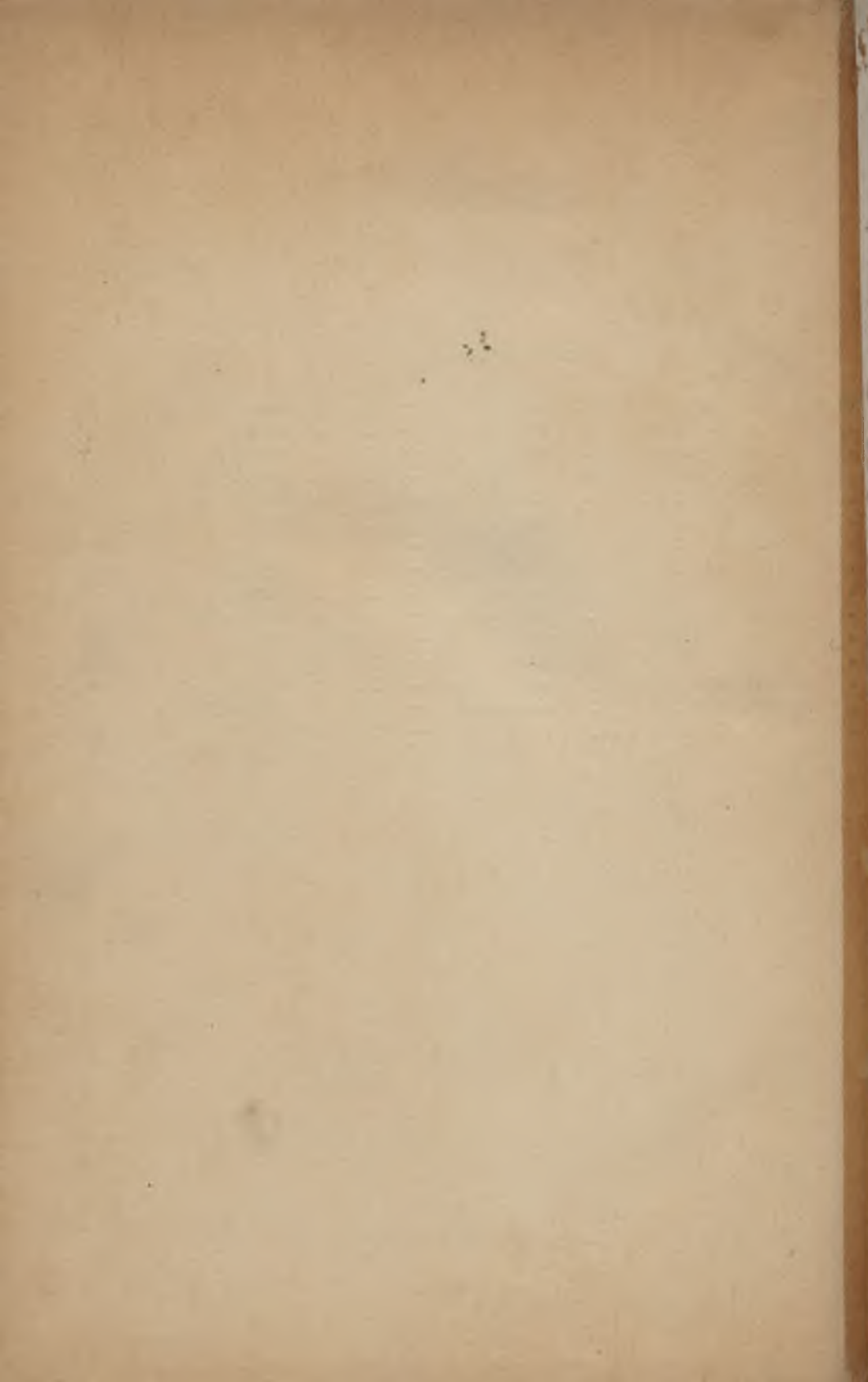
— — — — —

Odznaczono nas żelaznym krzyżem II-iej klasy!

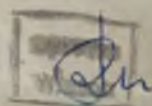


ERRATA

na str.	5 w motto	zamiast <i>vird</i>	— winno być <i>wird</i>
" "	17 w. 2 od góry	" śmietle	— " " świetle
" "	31 w. 11 " "	" zwroku	— " " wzroku
" "	38 w. 3 zdołu	" pasożytne	— " " pasorzytne
" "	58 w. 2 "	" Eurem	— " " Euren
" "	58 w. 2 "	" für	— " " für's
" "	65 w. 8 "	" ciągle	— " " ciągle
" "	71	" klęska	— " " klęskę
" "	73 w. 2 zdołu	" piwszy	— " " pierwszy
" "	80	" nastraszonym	— " " nastroszonym
" "	82 w. 1 zdołu	" nami	— " " nimi
" "	89	" galère	— " " galère
" "	96 w. 30	" za	— " " ze
" "	119 w. 17 "	" zrozumieł	— " " zrozumieł
" "	124 w. 17 "	" ile	— " " ile







Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000436100



II 376829